

Dr Joanna Stojer-Polańska
Kazirodztwo skrzętnie ukrywane

Zdalny nauczyciel
na skraju wytrzymałości

Hiszpania i Portugalia bliżej
legalnej eutanazji

Bocian lepszy
niż bielik

LICZY SIĘ TYLKO ZYSK

ZŁOTE

ŻNIWA

DEWELOPERÓW

Samotna Wielkanoc?

Spokojnie, są książki PRZEGLĄDU
Zrób prezent sobie lub bliskim!



~~44 zł~~
34 zł



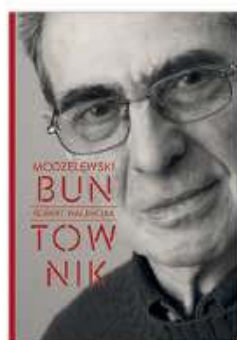
~~49 zł~~
39 zł



~~53 zł~~
43 zł



~~67 zł~~
57 zł



~~65 zł~~
55 zł



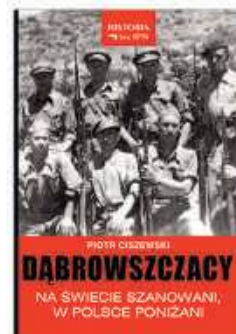
~~52 zł~~
42 zł



~~48 zł~~
38 zł



~~47 zł~~
37 zł



~~49 zł~~
39 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Promocja trwa do 31 marca 2021 r. lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 3a3a7961e9

P
Przegląd



Kto nas dziś oszuka?

„Wszyscy Polacy to jedna rodzina”, śpiewa zespół Bayer Full. Przerobili harcerski utwór Mariusza Gabrycha „Bo wszyscy harcerze to jedna rodzina”, o czym autor dowiedział się po latach. Z nowymi słowami trafili do słuchaczy. Polak, jak widać, potrafi pograć z Polakiem w durnia.

A jak to jest z tą polską rodziną, możemy śledzić w kolejnych odcinkach telenoweli o Danielu Obajtku. Losy rodziny Obajtków, z ich wujami, kuzynami i tabunami bliskich znajomych są jak panorama dziejów wielu innych rodzin. Zapisem ich sposobu myślenia, obyczajów, pązości i wzajemnych powiązań. Takich Obajtków miały wszystkie ekipy dotąd rządzące. I to pomnożonych przez sto czy tysiąc. Bo to i Nowak z PO, i Pęczak z SLD. Jeśli są między nimi różnice, to w skali, na którą robili to, co robili. I w bezwstydie, z jakim traktują te swoje październikowe działania. Patrząc na nich, możemy jak w lustrze zobaczyć znaczącą część społeczeństwa. Bo przecież za tymi, których pokazały media, stoją całe rzesze ich pomagierów i pomniejszych beneficjentów skubania państwowych instytucji. A za tymi mniejszymi też stoją kolejni rwacze.

Czy to, co się dzieje w Polsce, nie idzie już w stronę włoskiego modelu współżycia państwa z mafią? Jaka czeka nas przyszłość? Rozpleniające się jak chwasty tałatajstwo ma coraz więcej do powiedzenia. I za chwilę może już nie dać się oderwać od kasy.

Wystarczy zobaczyć, jak rosną powiązania świata polityki i biznesu ze służbami. Byli pracownicy CBA, ABW czy policji z etapu pilnowania interesów państwa przechodzą do cywilnej pracy, pilnują teraz interesów właścicieli firm i prezesów zarządów. Bo oni ich zatrudniają i dobrze płacą za ochronę oraz gwarancję bezkarności.

Sprawiedliwość zaczyna się ograniczać do biednych i do tych, którzy nie mają kontaktów ani znajomości.

To, o czym piszę, jest dość powszechnie znane. Choć bez konkretnych nazwisk. Ale z tej wiedzy nie za wiele wynika. Bezradność i frustracja z jednej strony. A z drugiej niechęć do bycia frajerem. I dołączanie do tych, którzy nie mają oporów.

Skala społecznej degeneracji oznacza klęskę wszystkich instytucji, które chcą wpływać na postawy ludzi. Z systemem edukacji i Kościołem włącznie.

Ciężko wstaje się rano, gdy pierwszym pytaniem jest: kto nas dziś oszuka? Czyja rodzina zapoluje na naszą? Jaka sitwa zarobi na naszej pracy albo na naszej naiwności? W świecie polityki oznacza to, kto sprawniej i skuteczniej omami wyborców. Bo jak słyszymy na znanych taśmach PiS z Wałbrzycha, każdy chce coś mieć z tego, że zajmuje się polityką. Niestety, poczucie wstydu i obciachu staje się w Polsce coraz większą abstrakcją.

Andrzej

WALICKI

PRL i skok do neoliberalizmu

jurysta

Solidarność

Zorads elite

Przedsprzedaż

w formie E-BOOKA

TYLKO 19,90 zł 29,90 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Czy opozycja złowi Kaczyńskiego?**
Rozgrywki wokół Funduszu Odbudowy
- 10 Złote żniwa deweloperów**
Liczy się tylko zysk
- 14 Nauczyciel jak stacja benzynowa**
Trudno być wsparciem dla uczniów
- 18 Za drzwiami domów trwa piekło dzieci**
– rozmowa z dr Joanną Stojer-Polańską
- 21 Byczy protest**
Toruńska burgerownia nie obsługuje policjantów
- 24 Wirus w małym mieście**
Ludzie oswoili się z pandemią

ZDROWIE

- 28 Idziemy się szczepić**
– rozmowa z Łukaszem Durajskim

ZAGRANICA

- 30 Ziemia, która nie może zaznać pokoju**
Papież Franciszek w Iraku
- 33 Nowy amerykański socjal**
Plan ratunkowy Bidena
- 36 Przygotowania do śmierci**
Hiszpania i Portugalia legalizują eutanazję

HISTORIA

- 40 Niechlubne dziedzictwo bratanków**
Rola Węgier w zagładzie Żydów

OPINIE

- 44 Andrzej Dryszel**
Pomóście sobie sami

KULTURA

- 46 Teatr prowizorycznych rozwiązań**
Święto w cieniu pandemii
- 50 Pisanie na emigracji**
– rozmowa z Evą Stachniak
- 53 Kulturalia**
- 66 Saturacja**

SPORT

- 54 Futbol w czasach covidowej zarazy**
Bezpowrotnie stracone pieniądze

EKOLOGIA

- 58 Plemienny totem**
Bocian lepszy niż bielik

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kto nas dziś oszuka?
- 17 Jan Widacki**
Obajtek wszystko może...
- 27 Andrzej Szahaj**
Dwie lewice i religia
- 39 Roman Kurkiewicz**
Rzecznik praw rzek, drzew, traw
- 43 Tomasz Jastrun**
Tasiemiec
- 48 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Teraz już wiem, po co mi IPN
- 57 Wojciech Kuczok**
Mglistość rzeczy



28
ZDROWIE

IDZIEMY SIĘ SZCZEPIĆ

– rozmowa z Łukaszem Durajskim



54
SPORT

FUTBOL W CZASACH COVIDOWEJ ZARAZY

Bezpowrotnie stracone pieniądze



58
EKOLOGIA

PLEMIENNY TOTEM

Bocian lepszy niż bielik

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





PYTANIE TYGODNIA | Czy sędziowie pokoju poprawiliby pracę sądów?

PIOTR CHAŃKO,
sędzia Sądu Rejonowego w Łodzi

Prawo w Polsce jest niestety bardzo skomplikowane, a ostatnie zmiany np. procedury cywilnej spowodowały wysyp problemów, które wcześniej nie występowały. Jakość tworzenia prawa bardzo się obniża, przez co powstaje pokusa, by szukać dróg na skróty – choćby w postaci wprowadzenia instytucji sędziów pokoju. Przy czym nie wiadomo, kto miałby ich wybierać, jakie powinni mieć kompetencje i wykształcenie. Jeśli zaś nie będą doświadczonymi prawnikami, a od ich orzeczeń będzie przysługiwało odwołanie do sądu, to ten pomysł jest receptą na pogłębienie chaosu.

MARTA KOŻUCHOWSKA-WARYWODA,
Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia

Duża liczba spraw trafiających do sądów i to, że np. sędziowie karni muszą orzekać w sprawach dotyczących zarówno rozbójów i gwałtów, jak i wykroczeń, rzeczywiście powoduje poważne problemy. Mam jednak wątpliwości, czy rozwiązania, które znajdą się w ustawie o sędziach pokoju, będą skuteczne, czy nie

wprowadzimy kolejnego bubla prawnego, który jeszcze bardziej skomplikuje orzekanie. Pewnym ostrzeżeniem mogą być doświadczenia z kolegiami ds. wykroczeń, które się nie sprawdziły. Najważniejsze jest to, że konstytucja wyraźnie wskazuje, że wymiar sprawiedliwości sprawują sądy, a wydaje się, że planowana instytucja będzie miała inny charakter.

BARTOSZ PILITOWSKI,
Fundacja Court Watch Polska

Tak, ale pod pewnymi warunkami. Żeby się przyjęli, należy ich wprowadzać stopniowo i z wykorzystaniem pilotażu w kilku rejonach, gdzie istnieje duża przychylność dla tego rozwiązania. Należy też wykorzystać rodzime tradycje sądów pojednawczych, dzięki którym sądy pokoju mogłyby być nimi nie tylko z nazwy, ale rzeczywiście przyczyniłyby się do wygaszania sporów. Aby to było możliwe, wybór sędziów powinien być podyktowany przede wszystkim autorytetem tych osób w lokalnym środowisku. Dlatego jestem przeciwny powierzaniu tej funkcji młodym prawnikom. W naszym raporcie „Jak zwiększyć udział obywateli w wymiarze

sprawiedliwości” zwracamy również uwagę na ryzyko upolitycznienia wyborów sędziów pokoju. Dlatego proponujemy system mieszany.

BEATA SIEMIENIAKO,
advokatka, aktywistka

Pomysł jest dobry i warto śledzić prace nad projektem. Nie ma co się bać powoływania sędziów pokoju w wyborach powszechnych ani pełnienia tej funkcji przez osoby inne niż sędziowie zawodowi. Niektóre sprawy, np. o mandaty drogowe czy zaległe wynagrodzenie, nie wymagają rozległej wiedzy, a jedynie tematycznych szkoleń i być może weryfikacji wiedzy za pomocą egzaminu. Przekazanie drobnych spraw nowej instytucji pozwoliłoby ograniczyć problem przewlekłości postępowań, gdyż sądy mogłyby się skupić na sprawach, które faktycznie wymagają przeprowadzenia procesu. Sędziowie pokoju mogliby ponadto pomóc w odbudowie zaufania społecznego do wymiaru sprawiedliwości, a także zwiększyliby w nim udział czynnika obywatelskiego. Pamiętajmy ponadto, że od orzeczenia sądu pokoju będzie można się odwołać do sądu rejonowego.

Not. Michał Sobczyk

Czy opozycja złowi Kaczyńskiego?

Im bliżej do ratyfikacji Funduszu Odbudowy, tym bardziej nie wiadomo, jak będzie przebiegała

Robert Walenciak

Złapał Kozak Tatarzyna? Sprawa Funduszu Odbudowy i jego ratyfikacji pokazuje jak na dłoni, jak nisko upadła polska polityka. I jak szybko ten proces się dokonał. Że politycy nie znają prawa, ani polskiego, ani unijnego, i rzeczywistość co rusz ich zaskakuje.

Gdy jeszcze w ubiegłym roku Polska zgodziła się na przyjęcie unijnego Funduszu Odbudowy (gwarantującego krajowi 57,3 mld euro, czyli ponad 252 mld zł!), wydawało się, że wszystko pójdzie już jak z płatka. Wystarczy, by Sejm go ratyfikował (to konieczne, bo Unia zaciągnie na fundusz pożyczki), i do kasy.

Tymczasem zaczęły się pojawiać przeszkody. Najpierw Zbigniew Ziobro ogłosił, że jego partia będzie przeciw ratyfikacji. A to dlatego, że Unia wiąże udostępnianie funduszy z praworządnością. Wtedy wydawało się, że Kaczyński poradzi sobie z nieposłuszeństwem Ziobry, bo poparcie Funduszu Odbudowy zadeklarowała Lewica. W imię solidarności europejskiej i po to, by pieniądze z Unii trafiły do Polski. – To nie wina Polaków, że mają głupi rząd – tłumaczył Włodzimierz Czarzasty. Kaczyński rozpoczął też rozmowy z Kukizem, którego pięcioosobowa grupa ma zasilić Zjednoczoną Prawicę. Ale teraz okazuje się, że nawet głosy Lewicy i Kukiza nie dadzą mu niezbędnej większości. Dlaczego? A dlatego, że – jak mówią konstytucjonaliści – Fundusz Odbudowy wymaga ratyfikacji w trybie art. 90 konstytucji, czyli większości dwóch trzecich zarówno w Sejmie, jak i w Senacie. W Sejmie ta większość to 307 posłów, senatorów trzeba zebrać 67. *De facto* więc ratyfikacja wymaga wspólnego głosowania PiS i PO.

I wszystko OK – tylko dlaczego tak oczywistą sprawę polscy politycy odkryli dopiero teraz?



Burza wokół majątku nie złamała kariery premiera Morawieckiego. Jak będzie z prezesem Obajtkiem?

Zajrzyjmy do konstytucji. Umowy międzynarodowe ratyfikować można zwykłą ustawą. Art. 89 kwalifikuje do takich umów m.in. te, które dotyczą pokoju, sojuszy, układów politycznych lub układów wojskowych, członkostwa Rzeczypospolitej Polskiej w organizacji międzynarodowej bądź „znacznego obciążenia państwa pod względem finansowym”.

Ale jest jeszcze art. 90. Opisuje on sytuacje wyjątkowe, w których Polska przekazuje organizacji międzynarodowej część swoich kompetencji. Ratyfikacja takiej umowy wymaga przyjęcia większością dwóch trzecich głosów, w Sejmie i Senacie. I zdaniem grona konstytucjonalistów ten właśnie artykuł powinien być zastosowany.

Dr hab. Jacek Zaleśny, konstytucjonalista z Uniwersytetu Warszawskiego, mówi PRZEGLĄDOWI wprost: – W ramach tzw. Funduszu Odbudowy rząd w szerokim zakresie

zrzekł się na rzecz Unii Europejskiej części władzy suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej. Rząd zgodził się, aby organy UE nakładały na Polskę podatki (recyklingowy), gdy zgodnie z art. 217 konstytucji nakładanie podatków jest wyłączną kompetencją Sejmu. Zgodził się też, aby Komisja Europejska zaciągała pożyczki, których płatność obciąża Polskę (użytkuje status dłużnika), co oznacza ingerencję w kompetencje ministra finansów do zaciągania pożyczek w imieniu skarbu państwa. I zgodził się poręczyć pożyczki zaciągane przez Komisję Europejską na rzecz wszystkich innych państw UE, co oznacza ingerencję w kompetencje Rady Ministrów, ministra finansów, Banku Gospodarstwa Krajowego. Zmiany, na które zgodził się rząd, bezpośrednio i w rozległym zakresie ingerują w kompetencje organów państwowych Rzeczypospolitej Polskiej. Zmieniają stosunki konstytucyjne zachodzące między Polską

a Unią Europejską i jako takie podlegają realizacji w przewidzianym na taką okoliczność trybie określonym w art. 90 konstytucji.

Okazuje się więc, że polscy politycy są niekompetentni, bo przez długie tygodnie nie zdawali sobie sprawy, jak ratyfikacja kluczowej umowy powinna przebiegać. Choć na ich usprawiedliwienie można napisać, że być może, widząc, jak traktowane jest w Polsce prawo, nie przywiązywali już do tego wagi.

Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie tej dezynwoltury. Otóż wydawało się, że ratyfikacja Funduszu Odbudowy będzie formalnością. Że poprą ją wszyscy (no, może bez ziobrystów i Konfederacji), szkoda zatem czasu na zagłębienie do konstytucji. Ale sytuacja się zmieniła.

Co takiego się stało, że opozycja zdecydowała, że jest gotowa blokować Fundusz Odbudowy? Otóż integralną jego częścią są krajowe plany odbudowy. Czyli projekty rozdysponowania tych pieniędzy, które rządy państw członkowskich muszą do końca kwietnia wysłać do Brukseli, by zatwierdziła je Komisja Europejska.

Krajowe plany odbudowy są dokumentami rządowymi, nie przechodzą przez parlament. I oto opozycja zorientowała się, że rząd planuje ułożyć taki KPO, w którym *gros* pieniędzy popłynie do gmin, gdzie większość ma PiS, albo w ogóle będzie rozdysponowywana w nieprzejrzysty sposób. A duże miasta, gdzie dominuje opozycja, zostaną praktycznie pominięte.

Poza tym politycy opozycji, jedni wcześniej, drudzy później, uświadomili sobie, że Kaczyński bez ich pomocy ratyfikacji Funduszu Odbudowy przez Sejm nie przepchnie. Czyli pieniędzy z Unii nie dostanie.

Te dwa elementy zagrały równocześnie. Opozycja zażądała więc, by KPO został inaczej ułożony, by uwzględnił jej uwagi, by nie dyskryminował samorządów. Chce mieć na niego wpływ. Chce też osiągnąć jeszcze jeden cel, polityczny – upokorzyć Kaczyńskiego, zmusić go do rozmów i ustępstw.

Ale czy taka gra może być skuteczna? Czy opozycja, zawsze proeuropejska, zdecyduje się podpalić

Fundusz Odbudowy, mimo że na pieniądze z niego czeka pół Europy?

PiS czuje tę słabość, więc jego media od wielu dni atakują opozycję, mówią, że to ona jest za polexitem itd. Tylko że w tej propagandowej grze opozycja zyskała całkiem poręczny argument – Daniela Obajtka.

Od paru tygodni przez media przewijają się materiały kompromitujące prezesa Orlenu. Pokazujące go jako człowieka prymitywnego, nieuczciwego, który zgromadził gigantyczny majątek, nie wiadomo z jakich źródeł. Te pałace, domy,

W propagandowej grze opozycja zyskała całkiem poręczny argument – Daniela Obajtka.

apartamenty, nieruchomości, które ma Obajtek, są dokładnie opisywane, pokazywane. W kraju ludzi niezamierzonych, o postawach egalitarnych, takie ostentacyjne bogactwo budzi fatalne skojarzenia.

Opozycja zatem gra Obajtkiem. Prezentuje obraz PiS jako ekipy, która zdobyła władzę, by się bogacić, przynosić sobie gigantyczne pensje. Podczas debaty w Sejmie politycy PO wyliczali z trybuny nazwiska członków rodzin posłów PiS, którzy zostali zatrudnieni w Orleniu. „Okradają własny naród w czasie tragicznej zarazy” – to tweet Donalda Tuska, byłego premiera, a dziś komentatora polskiego życia politycznego. I ten tweet symbolicznie wyznacza ton platformerskiej narracji.

Ta narracja kierowana jest też do Brukseli. Czy chcecie, drodzy Europejczycy, by wasze pieniądze, które skierujecie do Polski, były rozkradane? Czy chcecie je oddać w ręce ludzi, którym ufać nie wolno? Czy jesteście jednak za tym, by ich wydawanie było przejrzyste, kontrolowane? Taki komunikat kierowany jest i do Brukseli, i na nasz „rynek wewnętrzny”. Tu z kolei jest wzbożacz o inną myśl – że mamy czas pandemii, ludzie umierają, a władza nie tylko nie potrafi zadbać o ich bezpieczeństwo, pogrąża się w chaosie i swarach, ale jeszcze kombinuje, jak wyrwać dla siebie kolejne miliony.

Dodajmy do tego następną refleksję – mit władzy złodziejskiej (ci, którzy rządzą, po prostu kradną)

jest w Polsce mocno zakorzeniony. Okrzyk „złodzieje, złodzieje!” brzmiał na polskiej ulicy od początku lat 90. Ten mit zniszczył kilka partii i kilka rządów. Ułatwił też PiS zdobycie władzy. Beata Szydło regularnie potem napominała opozycję słowami „wystarczy nie kraść”.

Możemy zatem się spodziewać, że wojna wokół ratyfikowania Funduszu Odbudowy będzie ostra i bez pardonu. Opozycja złapała Kaczyńskiego w zapaśniczym chwycie i nie zamierza puszczać. Jemu samemu jest o tyle trudniej, że Gowin i Ziobro wiedzą, że muszą grać na siebie,

bo inaczej zostaną przez PiS pożarci. Wojna wewnątrz obozu prawicy jest już nie do zatrzymania. Dowodem są choćby publikowane przez media rewelacje dotyczące Obajtka. Przecież ktoś te informacje dziennikarzom podsyła. A wcześniej ktoś musiał je zebrać.

Teraz z kolei osłabiony Kaczyński będzie musiał zderzyć się w boju o Fundusz Odbudowy, o 252 mld zł, z opozycją. Teoretycznie byłoby mu łatwiej, gdyby usiadł do stołu, rozpoczął negocjacje. Ale czy może na to sobie pozwolić? Czy nie poczułby się upokorzony? Mamy więc polityczną wojnę. Wygląda ona tak, jakby pędziły na siebie dwa samochody. Ten, który w ostatniej chwili ustąpi, skrzywi w bok – przegra. Ale prawdziwa katastrofa będzie, gdy się zderzą. Czyli gdy Fundusz Odbudowy nie zostanie ratyfikowany.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

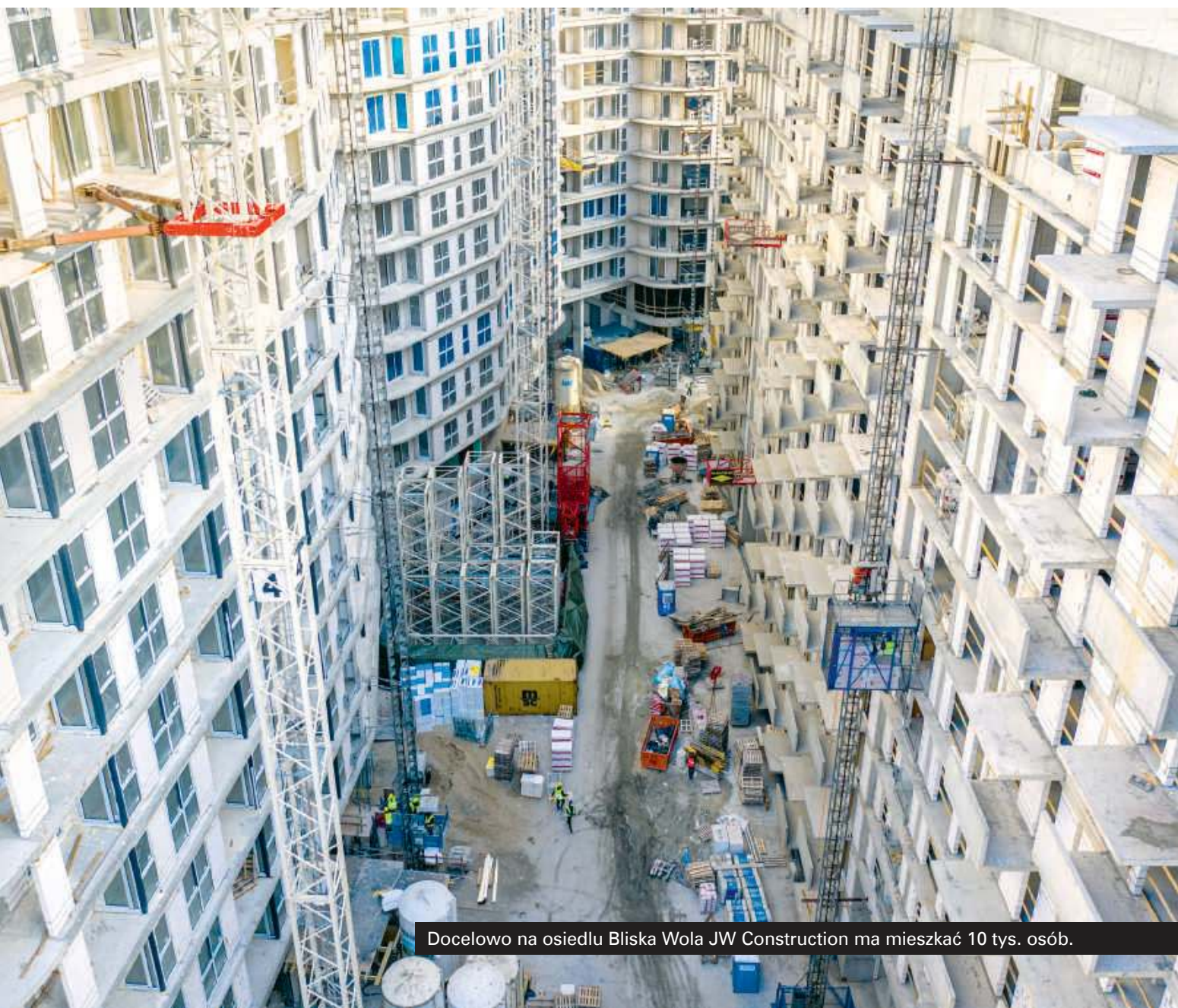


ZŁOTE ŻNIWA DEWELOPERÓW

Z metra kwadratowego trzeba wycisnąć
jak najwięcej. Liczy się tylko zysk

Anna Stachowiak

W gigantycznym bloku Bliska Wola Tower, który liczy 27 pięter, mieścić się będzie 1 tys. mieszkań. Docelowo na całym osiedlu ma zamieszkać 10 tys. osób. Ta inwestycja, powstająca na niewielkim kwartale, już zyskała miano warszawskiego Hongkongu. Maksymalne dogęszenie ma zmaksymalizować zysk dewelopera. To, że wielu lokatorów raczej nie zobaczy w swoich mieszkaniach światła słonecznego, dla inwestora jest bez znaczenia.



Docelowo na osiedlu Bliska Wola JW Construction ma mieszkać 10 tys. osób.

W Milanówku deweloper wykarzczał wszystkie drzewa na terenie leśnym. Będzie budował, a za wycinkę zapłaci karę. Inwestycja i tak mu się opłaci.

W Poznaniu deweloper nie zastosował się do zaleceń konserwatora i wyburzył zabytkowy budynek, choć miał on być wkomponowany w nowy obiekt. Sprawa trafi do sądu, deweloper zapłaci karę.

Nowo budowane osiedla powstają w szczerym polu. Nie można do nich dojechać inaczej niż autem terenowym. Kiedy ludzie pytają, kiedy będą drogi, słyszą, że szansa, owszem, jest, ale wyłącznie w programie inicjatyw lokalnych. A to oznacza, że mieszkańcy 10% kosztów inwestycji muszą wyłożyć z własnej kieszeni – ok. 10 tys. zł od osoby. Deweloper we Wrocławiu budynki oddał i umył ręce, bo drogi to nie jego problem.

Takich przykładów są w Polsce tysiące.

Plomby i „makabryty”

– Deweloperzy zachowują się agresywnie. Kupują grunty, karczują drzewa, budują bloki bez żadnego poszanowania dla przestrzeni. Przy czym nie partycypują w kosztach społecznych – branża, która jest jedną z najbardziej lukratywnych, korzysta z wygodnych dla niej przepisów. To szokujące, bo zamiast tworzyć prawo, które zmusiłoby deweloperów do poszanowania przestrzeni miejskiej, daje im się prezenty w postaci takich ustaw jak lex Szyszko czy lex deweloper – mówi Jan Mencwel ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, aktywista i autor „Betonozy”.

Pierwsza z tych ustaw, obowiązująca od stycznia do czerwca 2017 r., pozwoliła na wycinanie drzew na prywatnych posesjach, przy okazji dając gminom dużą swobodę w ustalaniu kryteriów dopuszczalnej wycinki. Zwalniała osoby fizyczne z konieczności uzyskania zezwolenia na usunięcie drzew i krzewów na cele niezwiązane z prowadzeniem działalności gospodarczej. Z badań naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego wynika, że w ich mieście w ciągu dekady wycięto 20,7 tys. drzew, z czego 40% właśnie w trakcie obowiązywania lex Szyszko. Z kolei lex deweloper, czyli specustawa mieszkaniowa, która weszła w życie w sierpniu

2019 r., pozwala m.in. na inwestycje „niezależnie od istnienia lub ustaleń miejscowego planu przestrzennego”, co znaczy po prostu, że deweloper może owe plany ignorować. Aktywiści oprotestowali ustawę i nazwali ją „historyczną chwilą dla lobby deweloperskiego”, któremu „udało się przepchnąć bubel prawny”. Autorzy z kolei podkreślali, że ustawa ma przyspieszyć budowanie mieszkań i rozwiązać problem ich braku.

To nie tak, że Mencwel nie lubi deweloperów. Chciałby tylko, żeby przyświecało im coś więcej niż zysk: – W tej chwili wszystko jest robione pod kątem zysku ze sprzedaży metra kwadratowego mieszkania. Niech budują, ale dlaczego te mieszkania, które oferują, i bloki przypominają klatki na fermach drobiu?

Absurdy i patologie polskiego rynku deweloperskiego – mikroskopijne mieszkania, odgradzanie budynków od otoczenia, wciskanie plomb i „makabryt” w harmonijne otoczenie, brak dróg dojazdowych czy ogródki o powierzchni 2 m kw. – opisują facebookowe fanpage’ę. Najpopularniejsze są Patodeweloperka i Polskie Obozy Mieszkaniowe. Ich nazwy świetnie oddają problemy z polską branżą deweloperską.

Ustawa lex deweloper była prezentem dla branży.

Autorzy Patodeweloperki opisują np. taką sytuację: w nowej inwestycji na Mokotowie deweloper zdołał zmieścić 49 mieszkań na dwóch piętrach. Zdumienie budzi oferta sprzedaży „nowego mieszkania, jednego pokoju” o powierzchni 6,7 m kw. Cena: nieco ponad 120 tys. zł. Czyli 18 tys. zł za metr kwadratowy.

Z przepisów wynika wprawdzie, że w Polsce mieszkanie powinno mieć minimum 25 m kw., ale na rynku przybywa tego rodzaju ofert sprzedaży mikroapartamentów. Deweloperzy znaleźli sposób na obejście prawa – sprzedają je jako lokale użytkowe.

To zresztą niejedyny ich kreatywny pomysł. Z mieszkańcami nie liczą się, także jeśli chodzi o miejsca parkingowe – a w Polsce prawie 90% gospodarstw domowych ma przynajmniej jeden samochód. Deweloper musi więc zapewnić odpowiednią liczbę miejsc parkingowych, choć nie jest ona jasno określona.

W Rozporządzeniu Ministra Infrastruktury w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, znajduje się tylko taki zapis: „Zagospodarowując działkę budowlaną, należy urządzić, stosownie do jej przeznaczenia i sposobu zabudowy, stanowiska postojowe dla samochodów użytkowników stałych i przebywających okresowo”.

Liczba stanowisk nie jest określona, wiadomo jedynie, że trzeba ją dostosować do miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego lub decyzji o warunkach zabudowy. Oznacza to, że w jednej inwestycji na jedno mieszkanie może przypadać 1,2 miejsca parkingowego, a w drugiej – 0,5. To m.in. dlatego w modnej warszawskiej dzielnicy Wilanów nie ma gdzie zaparkować.

Patodeweloperka opisuje też sprawę z Katowic. Deweloper chciał wyciąć drzewa – ponadstuletnie kasztanowce. Miasto wyraziło zgodę, jednak po protestach mieszkańców i lokalnych mediów ją wycofało. Drzewa miały zostać. Rok później ruszyły prace odkrywkowe „mające na celu optymalizację kosztów związanych z technologią zabezpieczenia wykopu”. I dalej: „Drugiego dnia

prac doszło jednak do zbyt dużego mechanicznego uszkodzenia korzeni kasztanowców przechodzących pod granicą na teren działki Inwestora, co spowodowało zachwianie statyki drzew i nadmierną utratę ich stabilności. Na miejscu potwierdził to specjalista z zakresu dendrologii, który kontrolował stan drzew w trakcie prowadzenia robót ziemnych w ich pobliżu. W wyniku tego zdarzenia zaistniała sytuacja nagłego zagrożenia dla życia, zdrowia i mienia w postaci ryzyka niekontrolowanego powalenia drzew na drogę publiczną ul. Raciborską, wobec czego zlecone zostało ich natychmiastowe usunięcie”.

Prześmiewcze fanpage’ę punktuje absurd polskiego rynku deweloperskiego: pogardę dla przyrody i otoczenia, pazerność połączoną z brakiem dbałości o potrzeby mieszkańców i balansowanie na granicy jakichkolwiek standardów architektonicznych. A choć to branża z kieszką ▶

► prasą, radzi sobie świetnie, przy czym odporna jest na kolejne kryzysy, także ten związany z lockdownem.

Jak wynika z analizy HRE Investments, styczeń był najbardziej pracowitym miesiącem polskiej deweloperki. Deweloperzy rozpoczęli budowę aż 12,4 tys. mieszkań, o 24% więcej niż rok wcześniej. Ekspertiści podkreślają, że pod względem liczby rozpoczętych inwestycji był to najlepszy styczeń w historii. Wydano też o 30% więcej pozwoleń na budowę w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku.

Zarządzanie na wuzetkach

Deweloperzy budują, ludzie kupują. A kupują, bo nie mają wyjścia – oferta deweloperska, zamiast być jednym z elementów oferty mieszkaniowej, jest *de facto* jedyną. Mieszkalnictwo komunalne nie istnieje, konkurencji publicznej nie ma.

Podstawowy problem polskiej rzeczywistości mieszkaniowej to brak planów miejscowych. Nie są one uchwalane lub powstają w ślamazarnym tempie, z rekordzistami liczącymi po dwie dekady. – Jak się buduje poza planem, to można zbudować prawie wszystko. Na wuzetkach (warunkach zabudowy) nie da się zaprojektować miasta – mówi Jan Mencwel.

Zupełnie inaczej wygląda to w brytyjskich czy niemieckich miastach. – Weźmy przykład Wielkiej Brytanii – mówi historyczka i krytyczka architektury Anna Cymer. – Tam przepisy są bardzo restrykcyjne dla deweloperów. Już na etapie kupowania działki inwestor dostaje bardzo precyzyjne wytyczne, które określają, ile mieszkań może zbudować, ile obiektów społecznych i publicznych ma powstać, ile dróg czy skwerów. To wszystko dzieje się na etapie przystępowania do rozmów o inwestycji. Relacja samorząd-deweloper jest zupełnie inna, u nas samorząd całuje dewelopera po rękach i pozwala mu na wszystko. I nie zobowiązuje do wybudowania szkoły, przedszkola, przestrzeni dla mieszkańców. A nie zobowiązuje, bo takich przepisów po prostu nie ma. Czy naprawdę deweloper nie powinien wносить do miejskiej kasy odpowiedniej opłaty na budynki tzw. infrastruktury społecznej: szkoły, przedszkola, przychodnie?



Grzegorz Pietruczuk, burmistrz warszawskich Bielany, ocalił przed zapędami deweloperów park Olszyna.

Choć wśród samorządowców bywają też wyjątki. Grzegorz Pietruczuk, burmistrz warszawskiej dzielnicy Bielany, do deweloperów ma krytyczny stosunek. Ocalił park Olszyna przed zapędami deweloperów, a we wrześniu ub.r. aktywnie wspierał protesty przeciwko kolejnym próbom zabudowy Lasu Bemowskiego. Teren, z którego mieszkańcy korzystali w celach rekreacyjnych, został ogrodzony. Wycinano drzewa, niszczone siedliska bobrów. „Wobec niechlujstwa legislacyjnego i tworzenia aktów prawnych

Podstawowy problem polskiej deweloperskiej rzeczywistości mieszkaniowej to brak planów miejscowych.

na kolanie, bez refleksji i konsultacji, oraz wobec bierności państwa, obowiązkiem wszystkich samorządowców jest wsparcie dla wójta Starych Babic Sławomira Sumki”, pisał Pietruczuk na Facebooku. Sprawę inwestycji w parku zajmują się już prokurator i nadzór budowlany.

W Warszawie, gdzie buduje się najwięcej i najszybciej, do 31 grudnia 2020 r. uchwalono 303 plany miejscowe, obejmujące obszar prawie 21 tys. ha. To 40% powierzchni miasta.

Drzewa wycinać, plany ignorować

Anna Cymer podkreśla, że daleko jej do tego, by deweloperów bronić,

Jan Mencwel: Jak się buduje poza planem, to można zbudować prawie wszystko.



ale ich posunięcia są zazwyczaj całkowicie legalne. – Nie dokonują zamachu na praworządność, tylko działają w ramach obowiązujących przepisów. To przepisy są złe i dopuszczają do tego, że deweloper może, na zasadach warunków zabudowy, tych nieszczęsnych wuzetek, które zostały wymyślone pod koniec lat 90., zarządzać polską przestrzenią. Od dawna wiemy, że to fatalne, ale nieudolność w zmianie przepisów powoduje, że ten stan trwa. Deweloperzy po prostu korzystają z tego, jakie przepisy zostały im podarowane – mówi badaczka architektury. Korzystali więc zarówno z *lex Szyszko*, jak i *lex deweloper*.

Wykorzystali też przepisy antykryzysowe, które wprowadziła specustawa covidowa. Chodzi o art. 12 specustawy, który przewiduje, że do projektowania, budowy, przebudowy czy zmiany sposobu użytkowania w związku z przeciwdziałaniem epidemii koronawirusa nie stosuje się kilku aktów prawnych, m.in. ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Na tej podstawie deweloperzy wciskają inwestycje tam, gdzie do tej pory nie było to możliwe – choćby w otulinie rezerwatu przyrody. To właśnie oprotestowana budowa ze Starych Babic. Ale podobnie jest w Krakowie, Białymstoku czy w Tarnowskich Górach.

A to zaledwie fragment rzeczywistości prawnej, w której funkcjonują

deweloperzy. Problem jest wielopoziomowy i narasta od transformacji. Działania deweloperów reguluje bardzo niewiele przepisów, w dodatku bardzo korzystnych dla nich, bo nie dla społeczności miast i przestrzeni urbanistycznej. Ale to nie jest kwestia ostatnich lat, tylko efekt zlikwidowania w 1994 r. planów miejscowych i napędzania rynku deweloperskiego kolejnymi ustawami. Deweloper nie myśli o tym, żeby szanować przestrzeń i tworzyć przyjazne mieszkańcom otoczenie, liczy się tabelka w Excelu, w której zysk musi się zgadzać. W efekcie polskie miasta padają ofiarą wuzetek i PUM-ów.

Główny Urząd Statystyczny określa PUM, czyli powierzchnię użytkową mieszkania, jako „sumę powierzchni wszystkich pomieszczeń w mieszkaniu lub budynku mieszkalnym, w którym znajduje się tylko jedno mieszkanie, tj. pokoi, kuchni, spiżarni, przedpokoi, alków, holi, korytarzy, łazienek, ubikacji, obudowanej werandy, ganku, garderoby oraz innych pomieszczeń służących mieszkalnym i gospodarczym potrzebom mieszkańców bez względu na ich przeznaczenie i sposób użytkowania”. PUM ma kluczowe znaczenie przy wycenie nieruchomości, bo deweloper przelicza zapłaconą za grunt cenę na metry kwadratowe powierzchni użytkowej, którą będzie mógł tam wybudować. I z tej powierzchni użytkowej mieszkania musi wycisnąć jak najwięcej.

Neoliberalne spustoszenie

To dlatego wieżowiec Bliska Wola Tower powstaje w kwartale o obwodzie zaledwie 500 m. Chętnych na zakup nie brakuje. Anna Cymer wyjaśnia, dlaczego: – W pewnym sensie transformacja poczyniła w naszej mentalności spustoszenie, wprowadzając do niej neoliberalny sposób myślenia, także w aspekcie gospodarczym oraz zarządzania przestrzenią. To jedna z głównych przyczyn, dla których trudno będzie sobie z tą patologiczną sytuacją na rynku deweloperskim poradzić.

Dlatego mieszkania na ogrodzonych, betonowych pustyniach sprzedają się jak świeże bułeczki – mnóstwo ludzi jest przekonanych, że mieszkanie od dewelopera to szczyt marzeń. W 2020 r. oddano

do użytkowania najwięcej domów i mieszkań od 40 lat.

Pokutuje przekonanie, że nowe zamknięte osiedle jest świetnym miernikiem jakości życia i miejscem, gdzie będzie się dobrze żyło. Zamknięci w apartamentowcach i odseparowani od otoczenia mieszkańcy z przerażeniem myślą o tym, że gdzieś w ich sąsiedztwie miałby powstać budynek komunalny. Tymczasem Wiedeń, w którym dwie trzecie mieszkańców korzysta z mieszkań komunalnych, zajmuje pierwsze miejsce na liście

i wyprowadzić psa na ich trawnik. Taką mamy mentalność – mówi Anna Cymer. I konkluduje: – Zgubiliśmy gdzieś myślenie o wspólnotcie.

Ale, dodaje, jest nadzieja. Po pierwsze, mimo wielu przykładów skrajnie antyurbanistycznego myślenia, w którym mieszkańcy i ich potrzeby są na ostatnim miejscu, pojawiają się projekty wpisane w przestrzeń. Niewydzierające jej miastu, ale tworzące ją. Chociażby obsypane nagrodami osiedle RiverView w Gdańsku, harmonijnie wpisane w gdańską

Deweloperzy budują, ludzie kupują. A kupują, bo oferta deweloperska jest de facto jedyną.

Global Liveability Index (Globalnego Indeksu Jakości Życia). Warszawa jest o 64 pozycje niżej.

– Deweloperzy nie spadli z księżyca. Są również członkami społeczeństwa, które nie ma zbyt wielkich zasobów kapitału społecznego. Oni robią biznes, a biznes się kręci, bo ludzie chętnie kupują mieszkania w maksymalnie dogęszczonych, ogrodzonych osiedlach bez dojazdu i infrastruktury, sądząc, że jak się pozamykają w tych nowych, ładnych mieszkaniach, to znajdą szczęście. Przecież nie będą mieszkać na blokowisku, gdzie można mieć za sąsiada jakąś patologię, w dodatku może przyjść ktoś obcy

starówkę. Po drugie, działania aktywistów miejskich przynoszą efekty. Nie tylko te widoczne tu i teraz, jak zdejmowanie wielkoformatowych reklam, ale także w szerszej perspektywie. Walczą o zmianę wrażliwości społecznej, o uważanie na siebie nawzajem, o dbałość o wspólną przestrzeń. Od tych zmian zacznie się zmiana na rynku deweloperskim. Bo potencjalni klienci, zamiast żądać grodzonych osiedli, będą chcieli – w końcu – raczej takich, na których rosną drzewa, są place zabaw dla dzieci i ławka, na której można pogadać z sąsiadem.

Anna Stachowiak

ŚWIĘTA Z JAJEM

**WIELKANOCNY NUMER PRZEGLĄDU
W ŚWIĄTECZNEJ CENIE**

E-WYDANIE
TYLKO 3,50 zł 2 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Nauczyciel jak stacja benzynowa

Żyjemy w marazmie. Rośnie zmęczenie i frustracja. Leci wzrok i boli kręgosłup. Ale mamy być wsparciem dla uczniów

Beata Igielska

– „Dzień świstaka” przestał być komedią romantyczną, a stał się realistycznym dramatem z mojego życia, w którym każdy dzień jest taki sam. Plus? Mogę nieco dłużej pospać. Szybki prysznic, nie trzeba nic prasować, makijaż zbędny. Potem kawa i około godz. 7.45 siadam do laptopa. Całe dnie siedzę i mówię do tego urządzenia. Na ekranie widzę tylko ikonki. Między lekcjami jest 15 minut przerwy. Teoretycznie. Bo np. ktoś chce umówić się na zaległy sprawdzian lub poprawić ocenę. Czasem poinformować, że jutro nie będzie na zajęciach, bo np. w odstępie tygodnia zmarli na covid babcia i dziadek, więc dziewczyna nie daje rady. Zerkam na zegarek, bo następna klasa już się loguje. Poszłabym do toalety, zrobiłabym dolewkę kawy, ale wystuchuję, zwalniam z lekcji i umawiam się na popołudnie. Pogadam z koleżanką – pedagog szkolną, bo może być potrzebna interwencja psychologiczna.

Antydepresanty? Używki? Alkohol? – o tym nikt nie mówi głośno.

I zaczynam kolejną lekcję – relacjonuję swój dzień Adela, polonistka w liceum w mieście powiatowym średniej wielkości w centralnej Polsce, 27 lat stażu zawodowego, stopień nauczyciela dyplomowanego, wychowawczyni klasy II LO pogimnazjalnej.

Pracuje w dwóch szkołach. W jednej ma 22 godziny plus dwie godziny nauczania indywidualnego, w drugiej osiem godzin, razem 32 – średnio wychodzi sześć godzin dziennie. Czasem kończy o 14, czasem o 17. Po lekcjach przegląd mejli, frekwencji. Jeśli uczeń przez tydzień jest nieobecny, dzwoni do niego. Nie odbiera. Dzwoni do rodzica, bo to szybsze niż pisanie. Ale i tak napisać musi, by był ślad



Całe dnie siedzę i mówię do laptopa. Na ekranie widzę tylko ikonki.

w dokumentacji. Uzupełnia dziennik internetowy. Około godz. 15.30 może wstać od laptopa. Nie ma dzieci, którymi musiałaby się zająć w czasie pracy. Z którymi musiałaby się przekrzykiwać, bo one też uczą się online. Partner spokojnie znosi telefony do szkolnej pedagog i do uczennicy, której obiecała rozmowę. Długą i trudną, ale na koniec próbuje rozśmieszyć dziewczynę, choć jej średnio jest do śmiechu. Boli ją głowa, bolą oczy, kręgosłup i tyłek.

Po godz. 18 robi się ciemno, ale musi wyjść choć na chwilę na powietrze. Poza tym nie ma chleba i kawa się kończy. Wyprawa do Lidla lub Biedronki właściwie zaczyna podniecać. No i te 8 tys. kroków musi zrobić, bo w ogóle odzwyczai się od chodzenia. Dźwięk Messengera. Uczeń pyta, czy już sprawdziła próbną maturę, którą pisała wczoraj. Za chwilę rodzic odzwania, bo nie chce mu się pisać. Adela, gadając, obchodzi osiedle. Po godz. 20 siada do laptopa. Układa test ze znajomości lektury, ściąga z Quizizza. Ale przejrzeć musi. To

dopiero drugi rok funkcjonowania nowej podstawy czteroletniej szkoły średniej. Wciąż się jej uczy. Zagląda do e-podręczników, tworzy ćwiczenia. W tym czasie spłynął cały plik prac domowych. Uczniowie piszą rozprawki, analizy porównawcze, interpretacje. Adela ma poważne wątpliwości co do samodzielności tych prac. Sprawdza głównie nocami. Drukuje i jedzie czerwonym długopisem, bo tak szybciej niż wprowadzać komentarze elektronicznie. Robi skany i odsyła uczniom. Po godz. 23 włącza telewizor, by dowiedzieć się, co tam w pandemii słychać. Ma się świetnie. Tak samo jak zdalne nauczanie – tak mówią pan minister i jego urzędnicy. Wtedy Adela czuje się jak bohater filmu „Rejs” – śpiewak, którego przesunięto do sekcji gimnastycznej, by nabrał więcej entuzjazmu.

Niewygodne życie w wygodnym fotelu

Godzina 2 w nocy to nie jest zła pora, by kłaść się spać. Jeszcze po kąpieli na chwilę loguje się do

Facebooka. Przed zaśnięciem zastanawia się nad sobą. Czy jest nieudolna, bo według niej, inaczej niż według ministra, wcale nie jest świetnie. Niedawno słuchała pani psycholog. Ważne jest w czasach pracy zdalnej, mówiła, wypracować sobie komfort. Oddzielić czas pracy od czasu odpoczynku. Dać sobie prawo do odpuszczania. Być asertywnym.

– Na ostatniej lekcji wychowawczej sama te rady dawałam! Tylko jak je wcielić w życie, gdy się jest nauczycielką na zdalnym? Czasem po lekcjach mam radę pedagogiczną – online. Albo zebranie z rodzicami – online. Albo zapisałam się na kurs lub webinar dotyczący nowej matury – online. Wtedy nie robię nawet 3 tys. kroków – wylicza Adela.

– W piątek o godz. 16-17 wyłączam laptopa i chowam do szafy, bo patrzeć na niego nie mogę. Jak i na piękny, wygodny, designerski fotel, w którym od roku spędzam życie. W sobotę i niedzielę przez komórkę wchodzę na e-dziennik, by sprawdzić, czy nie ma ważnego mejla. W weekend śpię, ogarniam dom, czytam. Jedziemy z partnerem do rodziców za miasto. Cieszę się białym dniem, powietrzem, drzewami, chodzeniem bez maseczki. Nadrabiam zaległości towarzyskie – znów online. Wieczór z przyjaciółmi przywinie z wcale nie najwyższej półki jest świętem. Wszyscy żyjemy w marazmie, jak zastygłe w bursztynie owady. Dużo ze sobą gadamy, ale nie na żywo. Na ostatniej radzie online okazało się, że wszyscy już nosimy

wzrośnie liczba urlopów dla poratowania zdrowia. Antydepresanty? Używków? Alkohol? – o tym nikt nie mówi głośno. Tego przez telefon nie słyszeć ani na ekranie laptopa nie widać. Ale złudzeń raczej nie mam. Jeszcze trwam – za młoda na emeryturę, za stara na zmianę zawodu i życia – przerabiam swój dzień świstaka. Jak długo jeszcze?

Bez etosu męczennika, z depresją w tle

– Ciągłe coś robię do szkoły, całe dni spędzam w zielonym fotelu. Potrafię tydzień tak przesiedzieć bez wychodzenia na dwór – relacjonuje

Pojawiają się nastroje depresyjne, ale o naszym zdrowiu psychicznym nie myśli nikt.

nauczycielka ze szkoły podstawowej w małej miejscowości w centrum Polski. – Nie mam żadnych wentyli bezpieczeństwa, żadnego hobby, nigdzie nie uciekam od rzeczywistości. Ale np. mój mąż, też nauczyciel, kończy pracę o godz. 15. Zawsze za dużo pracowałam, ciągle siedziałam zamknięta w sypialni, więc nie jestem dobrym przykładem przeciętnego nauczyciela na zdalnym. Zastanawia mnie, co robią bibliotekarze czy wuefiści. W porównaniu ze mną nie wkładają w swoją pracę żadnego wysiłku. Tylko jeden kolega idzie do szkoły, przebiera się w dres i ćwiczy, transmitując to dzieciom. One mają

pobierają 500+. Frustruje mnie, że rodzice biorą wolne z pracy, gdy jest sprawdzian. Pomagają dzieciom bez zastanowienia. Z trudnego sprawdzianu w klasie czwartej było ostatnio 11 szóstek. W szkole zdarza się jedna.

Paweł Łęcki, nauczyciel języka polskiego z Sopotu, 55 tys. obserwujących na Facebooku: – Nie lubię etosu męczennika, staram się nie wpisywać w narrację, że wszystko w nauce zdalnej jest złe, choć dostrzegam bardzo wyraźnie jej mankamenty. Jeśli nauczyciel zbyt wiele godzin spędza na przygotowaniu lekcji, jasne, że dopada go frustracja. Wielkich wysiłków prawie nikt

nie doceni. To zrodzi jeszcze większą frustrację. Bo w mediach i tak pojawi się komunikat: nauczyciele to nieroby. Można siebie zamordować, tylko po co? Jak ta nauczycielka z zielonego fotela wróci do szkoły, będzie jeszcze bardziej sfrustrowana, bo zobaczy, że z jej wysiłków nie wynika aż tyle, ile zakłada. Badania pokazują, że proste lekcje nieraz dają uczniom więcej niż fajerwerki. Czasem nawet wykład będzie lepszy niż nieustanna pogoń za nowoczesnością. I coś z tego, że nie odpali świetna prezentacja, skoro uczniowie więcej wyniosą z rozmowy o danym temacie, a przy okazji o życiu, świecie współczesnym, sytuacji w Polsce. Nauczyciel nie powinien być człowiekiem bez właściwości, powinien rozmawiać o sprawach trudnych. Jeśli nie chcemy zwariować, musimy dostrzegać także pozytywne nauki zdalnej. Są uczniowie, którzy mocno się starają, i są tacy, którzy olewają. Ale oni olewaliby również zajęcia w tradycyjnej szkole.

– Dla mnie najgorsze jest mówienie do ikonki – przyznaje Łęcki. – I frustracja, a za nią idąca niechęć, którą rodzi zadane po raz czwarty pytanie, bo ktoś nie usłyszał, kogoś wywaliło. No i konferencje online. Jest tego tyle, że można zwariować. Jakby miały zlikwidować wszystkie problemy nauki zdalnej i ogólnie świata. Nie likwidują, powodują rosnące zmęczenie elektroniką. Część ▶

Uczniowie siedzą przed komputerem dłużej niż nauczyciele, z czego chyba nie wszyscy zdają sobie sprawę.

okulary. Pojawiają się nastroje depresyjne, ale o naszym zdrowiu psychicznym nie myśli nikt. Mamy być ostoją dla uczniów, mamy wspierać. Zawsze dostępni, mili i profesjonalni. Jak stacja benzynowa – non stop otwarta. Brakuje nam pokoju nauczycielskiego, długiej przerwy. Lubimy się chyba bardziej niż na żywo. Bo wszyscy jesteśmy jak skazańcy we wspólnym więzieniu. Tylko każdy w nim siedzi w pojedynczej celi. Niektórzy myślą o zmianie zawodu i ucieczce ze szkoły. Zwłaszcza mężczyźni. W przyszłym roku drastycznie

ćwiczyć z nim. Kto poniesie odpowiedzialność, jeśli dziecko rąbnie na podłogę? Oczywiście on. Reszta wuefistów wysyła uczniom filmiki z ćwiczeniami. Jeden dziennie, na wszystkie klasy. Przygotowuję trzech uczniów do konkursu przedmiotowego, bo dostali się do etapu wojewódzkiego. Mam z tego satysfakcję, bo z naszej szkoły nikt nie zaszedł tak daleko. Tylko koszty sukcesu są ogromne. Nie rozumiem, dlaczego po roku nauki zdalnej dzieci nadal nie mają odpowiedniego sprzętu, łączą się z komórki. A przecież rodzice

uczniów i nauczycieli odnalazła się w samotności z komputerem. Część nie. W mojej szkole uczniowie nie znikają, łączą się. Ale czy biorą udział w lekcji, tego nie jestem w stanie całkowicie sprawdzić. W Polsce z tym znikaniem bywa różnie. Powodem jest choćby brak internetu, nawet w dużych miastach są białe plamy. Kupowane do zdalnej nauki laptopy lądowały w lombardach, więc nie chodzi tylko o sprzęt. Pracuję uczciwie. Łączę się z uczniami, kiedy trzeba, rozłączam, kiedy trzeba. Z podstawy programowej wybieram to, co może uczniów,

psychicznie. Klasycznych sprawdzianów w zasadzie nie robię, nie testuję. Nie da się porównać ocen z nauki zdalnej z ocenami z nauki w szkole. Staram się na lekcjach być optymistyczny i radosny, co jest wbrew mojej naturze i pandemii, ale nie ma innego wyjścia.

Anglistka na spalonym, matematyk w ataku

– Boli mnie, że gubię uczniów. Logują się, ale nic nie mówią. Nie wiem, czy siedzą przy komputerze. Staram się przygotowywać

z radością myślałam o poniedziałku, teraz jest mi niedobrze na samą myśl o monologowaniu do laptopa. Sama siebie pytam, sama sobie odpowiadam. Podaję uczniom telefony zaufania, żeby chociaż tam mogli pogadać. Jeśli wrócimy we wrześniu do szkół, naprawdę musimy otoczyć ich opieką i miłością. Nauka zdalna to koszmar, to nie mogło się udać – kończy anglistka.

Wiesław Włodarski, nauczyciel matematyki w XIX LO w Warszawie, Nauczyciel Roku 2007, kilka razy powtarza: – Jestem uprzywilejowany, pracuję w dobrej szkole, dzieciom zależy na nauce. Ale nie wiem, czy uczeń ściąga, czy pracuje samodzielnie. Żałuję, że nie mam wpływu na ich czasem trudne warunki domowe. Są rodziny wielodzietne, sprzętem trzeba się dzielić. W nauczaniu matematyki zmorą są specjalistyczne znaczki. Sprawdziany piszą na kartkach i fotografują. Wziąłem tablet graficzny syna, udostępniłem ekran. Nawet geometria staje się w miarę łatwa. Gdy uczeń rozwiązuje na lekcji zadanie, dyktuje mi, potem tłumaczę. Żeby skupić uwagę, często „myślę się”, zawieszam

Maturzyści kompletnie nam odpłynęli, poznajdowali prace dorywcze. Jeszcze nigdy nie miałam tak słabych wyników matur próbnych.

ale i mnie, pozytywnie nakręcić. Na przykład „Dżuma”, którą młodzi odebrali jak reportaż o rzeczywistości za oknem. Wybieram lektury, które przynajmniej połowa przeczyta, jak „Madame” Libery lub „1984” Orwella. Gdy sięgam po ramotę typu „Odprawa posłów greckich”, jesteśmy zniechęceni i ja, i uczniowie. Dużo rozmawiamy, w jakiś sposób wspieramy się wzajemnie. Prace piszą w godzinach lekcyjnych, bo i tak siedzą przed komputerem dłużej niż nauczyciele, z czego chyba nie wszyscy zdają sobie sprawę. Dlatego tak wielu młodych nie wyrabia

atrakcyjne zajęcia. No i boli mnie, że nie umiem im powiedzieć, kiedy ta zdalna nauka się skończy; przestali widzieć sens wstawania rano. Nie wiem, jak długo sama wytrzymam – mówi Barbara, anglistka z technikum na południu kraju. – Uczniowie nie odpowiadają miesiąc na pięć pytań, mimo że mają tłumacza Google. Nic im się nie chce. Kolejna jedynka nie robi wrażenia. Cierpię tak samo jak oni. Nauczyciel to zawód społeczny, a siedzę przed komputerem jak zombi. Jak długo będzie trwało naprawia-

Na ostatniej radzie online okazało się, że wszyscy już nosimy okulary.

nie zdrowia psychicznego uczniów i naszego? Niezbyt zaangażowanym w pracę nauczycielom nauka przez komputer odpowiada. Ale oni nigdy nie przejmowali się uczniami, nie są nauczycielami z powołania. A mnie martwi brak więzi. Nie ma już społeczności szkolnej, są atomy. Pierwszaki nie znają ani nauczycieli, ani kolegów. Maturzyści kompletnie nam odpłynęli, poznajdowali prace dorywcze. Nie przychodzą na konsultacje w szkole, bo szkoda im czasu. Jeszcze nigdy nie miałam tak słabych wyników matur próbnych. Przed depresją chroni mnie czas spędzony z rodziną, sadzenie drzewek, plewienie. Coś sprzątnę, coś ugotuję. W niedzielę

głos. Oni muszą błąd wyłapać. Robię tylko duże sprawdziany, bo kartkówki nie dało się napisać w 15 minut. Chciałbym, żeby czasem sami na coś wpadli, a tu cisza. W klasie wystarczyło mrugnienie okiem i wiedzieli, o co chodzi. Psychikę mam silną, bo wychowywałam się w ciężkich czasach, ale są momenty, że jest mi trudno. Robię swoje, najlepiej jak potrafię, lubię uczyć, więc odjazdów depresyjnych jeszcze nie zaliczam. Przy życiu trzymam mnie, gdy uczniowie pojawiają się w okienku. Miałem dużą radość, gdy spotkaliśmy się z nauczycielami na szczepieniu. Albo gdy przyjeżdżam do szkoły coś załatwić: jest pani sekretarka, są panie woźne, jest kontakt z ludźmi. Uczniowie mieli analogiczną radość na próbnych maturach.

Odszedł

Profesor Władysław Baka

Wspaniały człowiek, wybitny uczony, wpływowy ekonomista i nauczyciel akademicki.

Wielki reformator i postępowy działacz publiczny.

Polityk okresu przełomu, bez którego nie byłoby wielu osiągnięć polskiej transformacji ustrojowej.

Profesor odszedł, Jego dzieło pozostaje.

Prof. Grzegorz W. Kołodko

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Obajtek wszystko może...

Media nie odpuszczają. Dowiadujemy się o kolejnych nieruchomościach prezesa Obajtka, które, gdyby wziąć pod uwagę zmieniających się właścicieli: od Obajtka, który „wszystko może”, do jego brata leśniczego, który może trochę mniej, ale też, jak się okazuje, dość dużo (w krótkim czasie z leśniczego awansować na dyrektora okręgowego Lasów Państwowych mało kto potrafi), i z powrotem do tegoż Obajtka, który może wszystko, wydają się nader ruchliwe. Wędrowni owych bardzo ruchliwych nieruchomości (Obajtek może nawet z nieruchomości zrobić w pewnym sensie ruchomość) miały to do siebie, że na swoich trasach rozmijały się z oświadczeniami majątkowymi. Jakież ruiny, jakież chatki przemieniające się w mało gustowne (ale kosztowne!) dwory, jakież dziwne dotacje, zmieniające się fundacje, powiązania rodzinne, biznesowe i z władzą. A wszystko spowija „ostry cień mgły”, z którym – jak widać, nieskutecznie – walczy sam prezydent Duda. Nawiasem mówiąc, chyba nie gorszy raper niż prezydent. Wszystko to spełnia wszelkie podręcznikowe kryteria powiązań mafijnych. Jarosław Kaczyński i cała IV RP, którzy tak zapamiętane walczyli z tajemniczym „układem” (równie skutecznie zresztą jak prezydent z „ostrym cieniem mgły”), wyhodowali sobie układ nad układy!

I pomyśleć, że to wszystko potrafił zorganizować neurotyczny, cierpiący ewidentnie na ADHD wójt przysiółkowego Pcimia, absolwent szkoły wyższej z Radomia, której nazwy nie pomnę, ale która, jeśli się nie mylę, miała nawet filię w Zakopanem, aby tacy jak wójt mieli bliżej do dyplomu i nie musieli daleko się facygować, no i jakiejś szkoły (podobno też wyższej) należącej do Orlenu, którego Obajtek zdążył zostać prezesem. Tu widzę niedociągnięcie: kończyć zaocznie jakąś „radomską Sorbonę”, a nie Oksford? Przecież dla człowieka, który „wszystko może”, nie powinien to być wielki problem.

Teraz prezes Kaczyński ma problem. A nawet dwa. Jeden to taki, że kolejno nagłaśniane fakty z życia i działalności Daniela Obajtka przemawiają do wyobraźni elektoratu jak mało co. Prawdziwy Polak wszystko wybaczy, ale nie wybaczy bogactwa, zwłaszcza zdobytego w niejasnych okolicznościach. Ci, co byli szczęśliwi, że PiS obdarzyło ich 500+, zobaczyli, że niektórych obdarzyło nieco większym majątkiem. Do tej pory PiS wszystko uchodziło. „Może kradną, ale przynajmniej się dzielą”, kwitował lud informację o kolejnych przekrętach ludzi władzy. Wydawało się, że po PiS i Kaczyńskim wszystko spływa, *nomen omen*, jak po kacze. A nieprawda. Spływając, zawsze trochę wsiąkało jak mocz niemowlaka w pieluchę. Ale pojemność pieluchy

jest ograniczona. Wsiąka więc w nią do czasu. Aż się nasączy. Wtedy zaczyna przeciekać. Wiele wskazuje na to, że afery Obajtka pielucha już nie utrzyma. Sondaże PiS idą w dół, opozycji rośnie...

Myślę jednak, że prezes ma większy problem. Afera z Obajtkiem pojawiła się, gdy zaczęto mówić, że prezes chce zrobić z niego premiera. Czy tak było, czy nie było, nie wiadomo, ale takie wieści krążyły. Prezes jest podejrzliwy ponad wszelką miarę. Czy to przypadkowa koincydencja zdarzeń? Podejrzliwy prezes nie wierzy w takie koincydencje. Spisek! I to gdzieś blisko! Morawiecki pomógł mediom, by „uwalić” konkurenta? Prawdopodobne. Szczególnie że Obajtek to odkrycie Szydło, a teraz dodatkowo, zdaje się, pracodawca jej syna eksksiedza. A może to Ziobro porobił przecieki, aby osłabić prezesa, którego miejsce lidera na prawicy chce zająć? A może Gowin chce w ten sposób

wkupić się w łaski opozycji? Też możliwe. Tym bardziej że mści się za nieudany pucz Bielana, za którym stał przecież prezes! Prezes czuje, że słabnie. Zjednoczo-

na Prawica coraz mniej zjednoczona, przystawki raz po raz się buntują i pokazują prezesowi, że bez nich nic nie może.

Tymczasem na opozycji? Platforma plus Hołownia mają w sumie w ostatnich sondażach większe poparcie niż PiS. SLD jednoczy się z Wiosną. Tego ostatniego nie może przeżyć Leszek Miller i odchodzi z SLD. Startować do Sejmu z list Leppera mógł, wymyślić Ogórek na kandydata lewicy w wyborach prezydenckich też mógł. Ale, jak widać, Lepper i Ogórek bliżsi byli Millerowi niż Biedroń.

Szkoda. Leszek Miller to naprawdę doświadczony polityk. Jego zasługi najpierw w procesie polskiej transformacji, a później przy wprowadzeniu Polski do NATO są niepodważalne. Zaczynał w III RP chwalebnie. Dziś kończy tak, jak kończy, niepomny własnych słów, że „mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale po tym, jak kończy”. A ja wolałbym zapamiętać go takim, jakim zaczynał.

Zjednoczenie SLD i Wiosny to ważny moment w dziejach polskiej lewicy. Oczywiście przez ostatnich 30 lat w SLD zaszła zmiana pokoleniowa. Teraz połączenie tych dwóch partii daje początek nowej lewicy, której już nikt nie będzie mógł zarzucić, że jest kontynuacją PZPR. Szkoda, że Leszek Miller ze swoim doświadczeniem i – co tu mówić – zasługami, chce pozostać z boku.

A wracając do Obajtka, który „wszystko może”, okazuje się, że może także ostatecznie pogрузić PiS. Na coś ta jego wszechmoc wreszcie Polsce się przyda.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Za drzwiami domów trwa piekło dzieci

Pedofilia w rodzinie – problem wciąż zbyt słabo poznany

Rozmawia Anna Brzeska

Pedofilia w rodzinie wydaje się w Polsce tematem tabu.

– Tak, ten problem leży w obszarze tzw. ciemnej liczby przestępstw. Często nie zostają one formalnie zgłoszone policji, więc małe są szanse, by zajęły się nimi organy ścigania.

Dlaczego tak się dzieje?

– Jeśli chodzi o tego typu przestępstwa, zwykle dysponujemy tylko *case studies*, czyli opisami poszczególnych przypadków. Widząc, jak wiele z nich wyszło na jaw dopiero po latach, możemy szacować, jak duża jest obecnie skala przestępstw, o których nie dowiadujemy się wcale i które nigdy nie znajdują się w statystykach.

Co więc mówią nam *case studies*?

– Niewykrywanie i niezgłaszanie tego rodzaju przestępstw to wypadkowa wielu czynników, takich jak strach, wstyd, brak edukacji seksualnej i prawnej, manipulacja ze strony sprawców. Prawdopodobnie bardzo dużo przestępstw seksualnych nigdy nie zostaje rozliczonych przez wymiar sprawiedliwości.

W przypadku czynów przeciwko nieletnim najczęściej pokrzywdzeni nie mówią o swoim dramacie, ponieważ są małymi dziećmi i nie mają świadomości, że to, co robi im ktoś bliski, jest czynem zabronionym. Co więcej, jeśli nawet z czasem osoby te zyskują świadomość, że są lub że były krzywdzone, często nie mają wsparcia z zewnątrz. Zdarza się, że inne osoby bliskie przekonują je, że nie ma sensu zgłaszać przestępstwa. Argumentują, że już na to za późno, czasem proszą, by nie utrudniać życia oprawcy – albo że będzie z tego więcej problemów dla pokrzywdzonego niż dla sprawcy. I w tym ostatnim mogą mieć trochę racji – bo rzeczywiście zdarza się, że zgłoszenie przestępstwa i następujący

po nim proces są powodem tzw. wtórnej wiktymizacji. Trzeba jednak mocno zaakcentować, że to błędne koło i brak zgłoszenia nie prowadzi do niczego dobrego. Aczkolwiek znam przypadki, gdy pokrzywdzeni cierpieli w związku z tym, co wymiar



DR JOANNA STOJER-POLAŃSKA

– kryminalistyk z Uniwersytetu SWPS, zajmuje się badaniem tzw. ciemnej liczby przestępstw – nieobjętych przez statystyki kryminalne wskutek nieuwajnienia ich przez organy ścigania.

sprawiedliwości zrobił z ich sprawą – np. przez brak podjęcia jej lub przesłuchiwanie bez poszanowania praw pokrzywdzonych. Sprawcy nie zostali ukarani, postępowanie umorzono.

Z czego najczęściej wynikają takie sytuacje?

– Tego typu przestępstwa są trudne dowodowo, zwłaszcza jeśli do zgłoszenia doszło po długim czasie od popełnienia przestępstwa. To często sprawy, gdzie słowo występuje przeciwko słowu, więc ciągną się latami i nierzadko kończą niskim wyrokiem lub umorzeniem z powodu braku możliwości ustalenia, co się wydarzyło. To może być kolejną traumą dla pokrzywdzonego.

W takich sprawach przeszkodą w ukaraniu sprawcy mogą być też trudności społeczne. Bo proszę sobie wyobrazić rodzica, który dowiaduje się, że wystąpiły kontakty seksualne między jego dziećmi – pełnoletnim bratem i nieletnią siostrą. Które ze swoich dzieci ma chronić rodzic? Mamy także przepisy dające świadkowi możliwość odmowy udzielenia odpowiedzi na pytanie, jeśli naraziłoby to jego samego czy bliskiego na odpowiedzialność karną. To bardzo trudne sytuacje – i nie wiadomo znów, czy takich przypadków prawie się nie spotyka, bo ich nie ma, czy dlatego, że nie są zgłaszane. Przestępczość seksualna w rodzinie to słabo zbadane zjawisko.

Tak samo gdy mamy do czynienia z gwałtem ojca na córce – czego świadkiem jest matka. Wyobraź sobie, że trudno jej pójść na policję, szczególnie jeśli na to nakłada się np. zależność ekonomiczna.

– Wobec tego są bezradne nawet najlepsze procedury, bo dzieci również są zależne ekonomicznie i emocjonalnie od krzywdzących rodziców. I dlatego, mimo że tego typu sprawy są ścigane z urzędu, zdarza się, choć rzadko, że to pokrzywdzeni – chodzi oczywiście o osoby dorosłe – są skazywani za składanie fałszywych zeznań. Mówią nieprawdę, bo chcą chronić sprawcę.

Czytałam w jednym z uzasadnień, że wykorzystanie seksualne przez osobę bliską – np. ojca – ma bardziej zgubne skutki dla psychiki

ofiary niż wykorzystanie przez obcą osobę.

– Tak, gdyż zwykle przestępstwa popełniane przez kogoś bliskiego to sprawa rozciągnięta w czasie, a rzadziej jednorazowe zdarzenia. Do tego dochodzi kwestia zawiedzionego zaufania i to, że brak śladów przemocy powoduje, że trudniej o wsparcie z zewnątrz. W przypadku obcego sprawcy łatwiej o ludzkie współczucie i reakcję osób z otoczenia – rodzi

cytowała świadków, którzy mówili: „wiedzieliśmy o tym, ale nie godzi się donosić na osoby duchowne”. To dość powszechne przekonanie – i analogicznie do niego częste jest „nie wolno donosić na ojca” albo „nie wolno donosić na babcię”. To nie koreluje z tym, co mamy w Kodeksie karnym.

Czyli ci krzywdzący często znajdują się w społecznie wytworzonej „strefie chronionej”?

oraz że wymagane są dowody materialne. To zawsze decyzja sądu. Sąd po prostu musi nabrać przekonania, komu wierzy i jak było. Jego zadaniem jest ustalenie, co faktycznie się wydarzyło.

Wbrew pozorom nie jest tak, że jeśli mamy materialne ślady, zawsze jest łatwiej. W przypadku takiego przestępstwa jak zgwałcenie osoby powyżej 15. roku życia może chodzić przecież nie o ustalenie, czy doszło do stosunku, ale o to, czy była nań zgoda, bo od tego zależy rodzaj kwalifikacji prawnej. Może też się wydawać, że jeśli pokrzywdzonych czy świadków jest więcej, będzie łatwiej udowodnić sprawstwo – ale to również nie tak. Sprytny sprawca będzie pilnował, aby nie było świadków ani dowodów materialnych. Jest więc możliwe skazanie go, nawet jeśli materiał dowodowy jest skąpy.

Co jeszcze sprawia, że przestępstwa pozostają ciemną liczbą?

– Mamy tendencję do tego, by oceniać kogoś jednoznacznie jako dobrego albo złego. Pokrzywdzony

Pokrzywdzeni nie mówią o swoim dramacie, bo są dziećmi i nie wiedzą, że to czyn zabroniony.

się w nich chęć ukarania, złapania pedofila, pojawiają się takie pomysły jak patrole obywatelskie, np. żeby ująć gwałciiciela. Nie szuka się zaś sprawców, którzy są tak blisko ofiar.

Zdarza się również, że pokrzywdzone czy pokrzywdzeni słyszą od bliskich, którym opowiedzieli o swoim dramacie, stwierdzenia typu „trzeba było tam nie iść”, „trzeba było coś powiedzieć wcześniej”. W ten sposób odpowiedzialność za przestępstwo zostaje przerzucona na ofiary. Częste jest przekonanie, że osoba pokrzywdzona w jakimś stopniu też jest winna. Jest to przekonanie fałszywe, bo to sprawca odpowiada za swój czyn. Takie przerzucanie odpowiedzialności może powodować poczucie winy u ofiary i brak zgłoszenia, co prowadzi do bezkarności sprawcy.

W uzasadnieniach sądowych spotkałam się z sytuacją, że babcia mówi wnuczce molestowanej przez ojca, że ta „popełnia grzech”.

– Tak. I czasem przestają w niej być dopiero w drugim pokoleniu. Pokrzywdzona czy pokrzywdzony nic nie robi w swojej sprawie, ale gdy widzi, że sprawca po latach krzywdzi kolejne osoby, podejmuje działania. Tyle że tu znów pojawia się problem przedawnienia lub trudności z zebraniem materiału dowodowego.

Zdarza się też, że byli pokrzywdzeni sami zaczynają krzywdzić. Uczą

Panuje przekonanie, że osoba pokrzywdzona w jakimś stopniu też jest winna.

się, że zachowania, których byli ofiarą, są normą – i wiedzą, jak łatwo pozostać bezkarnym. To sytuacje trudne do oceny dla sądu, bo nie wiadomo, czy sprawca z premedytacją wykorzystuje swoją pozycję i siłę, czy po prostu nie zna innego wzorca postępowania, myśli, że „tak już musi być”. W tym drugim przypadku często nie ocenia się go surowo, co

także nieraz staje przed pytaniem, jak ocenia człowieka, który wyrządził mu krzywdę. Tymczasem ona dokonała się w sferze seksualnej, ale w innych sferach sprawca może spełniać oczekiwania – starać się być troskliwym ojcem, dawać prezenty. Pedofile tym bardziej starają się przekonać do siebie dzieci, by kupić ich milczenie, emocjonalne zaangażowanie w ich relację. Pokrzywdzony czuje się więc bezradny – sam nie wie, czy bardziej kocha sprawcę, czy go nienawidzi.

W dodatku przemoc seksualna często nie zostawia widocznych śladów. Fizyczne obrażenia – siniaki, zadrapania – są widzialne, a wraz z nimi przychodzi współczucie świadków. W przypadku przemocy seksualnej interwencje zdarzają się tylko wtedy, gdy obrażenia są poważne, zagrażają życiu.

Trudno nam też wierzyć, że nasz sąsiad czy ktoś z rodziny może być przestępcą, skoro jest miły, mówi „dzień dobry”, coś nam pożyczył itd.

To zwykle sprawy, gdzie słowo występuje przeciwko słowu, więc ciągną się latami i nierzadko kończą niskim wyrokiem lub umorzeniem.

– Przestępczość to zjawisko społeczne – mam na myśli to, że większość pokrzywdzonych ani sprawców nigdy nie czytała Kodeksu karnego i artykułów o konkretnych czynach: zgwałceniu, wykorzystaniu zależności, kazirodztwie. Wszyscy mamy jednak jakieś wyobrażenia o tym, co dobre, a co złe, i na nie z kolei wpływają nasze standardy społeczne, w tym religia, ważna dla wielu osób. Kiedy Justyna Kopińska pisała o przestępstwach popełnianych przez osoby duchowne, często

umożliwiają szerokie widełki dotyczące kary.

Zdarza się, że sąd daje wiarę pokrzywdzonej – i to wystarcza mimo braku dowodów?

– Zeznanie jest dowodem. Sąd ocenia dowody swobodnie i może wziąć pod uwagę zeznania świadków oraz wyjaśnienia oskarżonych i uznać takie materiały za wystarczające w sprawie. Może również poprosić biegłych o ocenę wiarygodności zeznań. Nie mamy formalnej „rozpiski”, ilu musi być świadków

► – Tak. A przecież sprawcy przestępstw – nawet zabójcy – niejednokrotnie mają na koncie wiele pozytywnych czynów. To powoduje, że usprawiedliwiamy ich, nawet jeśli uwierzmy w ich winę. Tłumaczymy, że ktoś mógł ich sprowokować – albo że to z powodu alkoholu. Z kolei w obszarze seksualnym bronimy ich za pomocą teorii biologicznych, że człowiek rodzi się z pewnymi popędami i bardzo trudno mu z nimi walczyć. Tu mamy jeszcze wątek sprawców z niepełnosprawnością intelektualną. Zdarzają się rodziny, gdzie ani sprawca nie ma poczucia, że robi coś złego

wykorzystuje seksualnie dziecko, nawet jeśli nie ma takich preferencji. Dzieje się tak wtedy, gdy dziecko jest jedyną dostępną sprawcy ofiarą, tzw. ofiarą zastępczą.

Czytałam o badaniu, które wykazało, że pedofile to częściej osoby o niższym ilorazie inteligencji.

– Takie badanie mogło jednak w dużej mierze dotyczyć skazanych – a więc tych, którzy po prostu okazali się mniej sprytni niż ci, którzy uniknęli wykrycia i kary. Z jednej strony, widzimy, że przestępstwa częściej zdarzają się w rodzinach dysfunkcyjnych – obciążonych uzależnieniami, o niskim

o sytuacjach, że osoba zgłaszająca przyszła na komisariat czy przy innym kontakcie z policjantem próbowała poprosić o pomoc, ale nie chciała jeszcze formalnie zgłaszać przestępstwa – i nie uzyskała wsparcia.

Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że i policjanci doświadczają frustracji, gdy chcą pomóc, a pokrzywdzony się wycofuje, bo widzi, jakie to może być trudne.

Innym problemem jest kwestia doboru funkcjonariusza, który rozmawia z pokrzywdzonym przestępstwami seksualnymi w rodzinie. Czasami pojawia się przekonanie, że to policjantka powinna przyjmować zgłoszenie o przemocy seksualnej. Jednak nie można z góry zakładać, że każdy pokrzywdzony będzie się czuł komfortowo w takiej sytuacji. Chodzi przecież o profesjonalizm przesłuchującego, a nie o jego płeć. Te trudności też sprawiają, że nie dochodzi do formalnych zgłoszeń w tak delikatnych sprawach, ale nie da się za pomocą przepisów zapewnić „chemii” między zgłaszającym a przyjmującym zgłoszenie.

Co powinno się stać, aby tego typu przestępstwa częściej były zgłaszane, a sprawcy karani czy izolowani?

– Oczywiście im lepsza edukacja seksualna i społeczna – i większa

Przemoc seksualna często nie zostawia widocznych śladów.

– po prostu realizuje swoje potrzeby, ani pokrzywdzony nie jest świadomy, że jest wykorzystywany seksualnie.

Może to dobre miejsce, by wyjaśnić, kim jest pedofil.

– To zależy od tego, o jakim obszarze rozmawiamy. Najłatwiej wyjaśnić to pojęcie, zaczynając od kwestii prawnych. Mamy przepisy, które skazują za czynności seksualne wobec osoby poniżej lat 15 – na drodze umowy społecznej ustalono, że to będzie właściwa granica. Gdy więc dochodzi do skazania

statusie materialnym, społecznie izolowanych – z drugiej, wiemy z *case studies*, że istnieją rodziny wysoko funkcjonujące, gdzie inteligentny sprawca po prostu doskonale wie, jak działa system i jak manipulować innymi ludźmi.

Czyli wśród tzw. elit również zdarzają się pedofile – ale nie wiemy o nich.

– Znamy przypadki sprawców wysoko funkcjonujących, majątkowo i społecznie – długo nie ujawniono ich przestępstwa, bo nikt nie wierzył

Zdarza się, że byli pokrzywdzeni sami zaczynają krzywdzić. Uczą się, że zachowania, których byli ofiarą, są normą – i wiedzą, jak pozostać bezkarnym.

z art. 200 kk, potocznie mówimy o skazaniu za pedofilię. Z tego artykułu można jednak skazać i 18-latkę, który uprawiał seks z 14-latką, choć ten w społecznym rozumieniu nie będzie przecież pedofilem.

Jeśli chodzi o podejście medyczne, pedofilia jest zaburzeniem preferencji seksualnych. Cierpiąca na nie osoba osiąga satysfakcję seksualną głównie – lub wyłącznie – w kontakcie seksualnym z dziećmi, które nie wkroczyły jeszcze w fazę pokwitania albo ta dopiero u nich się rozpoczęła. Pedofilem w ujęciu medycznym nazywamy też osobę, która nigdy nie popełniła czynu zabronionego i np. sama zgłosiła się na leczenie.

Mamy także pojęcie pedofila w rozumieniu społecznym – i określamy tak nawet osoby niebędące pedofilami w sensie medycznym. W tym znaczeniu pedofil to ktoś, kto

pokrzywdzonemu, nawet gdy ten próbował zgłosić sprawę. Albo sprawca zastraszał ofiarę, więc ta nie podejmowała żadnej próby obrony, myśląc, że i tak nie ma szans. Takie sprawy wychodzą na jaw często w efekcie działań przypadkowych świadków, np. lekarza, pielęgniarki czy innej obcej osoby, która reaguje. Albo po latach, gdy ktoś wreszcie mówi, jak było.

Mówiła pani o działaniu służb i częstej wtórnej wiktyimizacji. Co jest tu największym problemem?

– Zdarza się, że ktoś wiele razy próbował zgłosić sprawę i udało się, dopiero gdy trafił na funkcjonariusza, który wykazał się zrozumieniem, pomógł przejść przez procedury. To ważne dla pokrzywdzonego, by wiedział, co go czeka, miał poczucie, że ktoś przeprowadzi go przez ten proces „za rękę”. Słyszałam też

świadomość, co jest normą, a co nie – tym większe szanse na wykrycie przestępstw. Wcale nie jest jednak łatwo powiedzieć, jaka edukacja jest najlepsza – eksperci wciąż się tu spierają, w jakim wieku powinno się przekazywać dane treści. Na pewno ważne jest w niej pokazanie potencjalnym pokrzywdzonym nie tylko tego, co jest przestępstwem, ale też jakie mają prawa już po zgłoszeniu, jak system może ich skutecznie chronić. To najlepiej pokazać przez medialne nagłośnienie przykładów, gdy udało się doprowadzić do skazania. Chodzi o uświadomienie ludziom, jak ważne jest, że ktoś zareagował, że przestępstwo zostało zgłoszone. To pozwala na społeczne ugruntowanie przekonania, że jest sens to robić – nawet po latach.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeklad.pl

Małgorzata Szczepańska-Piszc

Byczy protest

Toruńska burgerownia nie obsługuje policjantów ani ich rodzin. To protest przeciw zachowaniu policji podczas akcji protestacyjnych

„W tym lokalu nie obsługujemy funkcjonariuszy policji i ich rodzin. W podziękowaniu za: bicie i gazowanie ludzi, nękanie przedsiębiorców, kultywowanie tradycji ZOMO” – plakat o takiej treści wywiesili pod koniec lutego w oknie małej toruńskiej burgerowni Byczy Burger jej właściciele. Wzbudził ogromne zainteresowanie.

– Policjanci radiowozem podjeżdżali i robili zdjęcie plakatu, potem wpuszczali fotę na policyjne fora i tam nas hejtowali. Jeszcze były trzy nieprzyjemne telefony, pewnie też policjantów i członków ich rodzin – wylicza 35-letni Paweł, współwłaściciel Byczego Burgera, który prosi o niepodawanie nazwiska. – Ale bezpośrednio nie spotkała nas żadna przykrość – zapewnia. – Przeciwnie, dostajemy olbrzymie wsparcie. Ludzie przychodzą i dziękują, gratulują. Nawet toruński drukarz, któremu zleciłem wydrukowanie dwóch plakatów, wydrukował pięć czy sześć i nie chciał wziąć ani złotówki, „bo to w słusznej sprawie”.

Najpierw był food truck

Pan Paweł z żoną zaczęli ponad sześć lat temu od food trucka z burgerami. Biznes chwycił. Z każdym tygodniem pod truckiem ustawiała się dłuższa kolejka. Gdy okazało się, że przy Drodze Trzeposkiej jest mały lokal do wynajęcia, nie wahali się długo. Wreszcie mieli kuchnię z prawdziwego zdarzenia i niewielką salę na kilka stolików, ok. 12 m kw. Klientów nie brakowało. W pewnym momencie zatrudniali pełnoetatowo aż pięć osób. Gdy wybuchła pandemia, wszystko się posypało. Najpierw trzeba było zamknąć lokal. A gdy już można było go otworzyć i sprzedawać jedzenie na wynos, musieli ograniczyć pracę. Sprzedawali dużo mniej burgerów i żeby wyjść na swoje, zwolnili część załogi. Od wielu miesięcy pracują tylko od poniedziałku do piątku. Pełnoetatowo zatrudniają obecnie jedną osobę.

– Chcę powiedzieć wyraźnie: bez tarcz i osłon już by nas nie było – podkreśla właściciel. – Ale też obserwowaliśmy nieudolność tej pomocy. Ślimacze tempo. Zawie-



reguły, do spisania których potrzeba było książeczki. Dzwoniliśmy do organizacji skupiających przedsiębiorców, żeby wyjaśnić niejasności. Nie potrafiły pomóc. A przecież te niejasne zasady często były również niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, np. jedna z dziewczyn – młoda matka, studentka z dzieckiem, która u nas pracowała na umowę zlecenie – została niemal bez środków do życia, bo nie kwalifikowała się do otrzymania wsparcia. Mieliśmy poczucie, że władza nie stara się nam pomóc. Dlatego z innymi toruńskimi przedsiębiorcami zaczęliśmy protestować. W Toruniu i w Warszawie. Nie mieliśmy nadziei, że zmienimy

świat, chcieliśmy jedynie pokazać niezadowolenie.

16 maja ub.r. pan Paweł z trzema znajomymi pojechał do stolicy pokojowo protestować kolejny raz. – Na placu Zamkowym zorientowaliśmy się, że policja już odcięła część protestujących i nie chce tam nas wpuścić, ale jakoś nam się udało. Najpierw mundurowi trzymali dystans, wkrótce zaczęli kilkusobowymi grupkami wchodzić do środka kordonu i wyciągać protestujących stojących samotnie, czyli tych, którzy najrzetelniej utrzymywali dystans społeczny. Przy najmniejszej próbie oporu rzucali na glebę, przyciskali kolanem, skuwali. I ładowali do policyjnych suk. Gdy ▶

► ludzie to zauważyli, stawali bliżej siebie. A wkrótce policja zaczęła coraz bardziej na nas napierać i już nikt nie myślał o zachowaniu dystansu. Wtedy policjanci zaczęli wyrwać ludzi z tłumu. Żeby im to uniemożliwić, złapaliśmy się wszyscy za ręce. A kordon coraz bardziej się zaciskał. Jednocześnie policja przez megafon informowała, że zgromadzenie jest nielegalne, i nawoływała do rozejścia się. W pewnym momencie wyszarpnęli mężczyznę, który stał obok mnie. W czasie szamotaniny zerwano mi maseczkę z twarzy.

Jeśli drukarz z Łodzi mógł odmówić drukowania ulotek, to ja mogę nie chcieć przyrządzać burgerów dla policji.

Postanowiłem nie czekać, wyszedłem z tłumu i z podniesionymi rękami podszedłem do policji. Powiedziałem, że zgodnie z tym, co mówią przez megafon, chciałbym się rozejść. Nie zrobiłem nic złego. Nie jestem agresywny. Chcę pójść do domu. Powtórzyłem wszystko kilka razy. Policjanci nie reagowali. Nie chcieli mnie przepuścić. W końcu jeden oznajmił, że już za późno, nie możemy się rozejść. Teraz to oni się nami zajmą. „Ale przecież ciągle nadajecie komunikat nawołujący do rozejścia się”, argumentowałem. Na co usłyszałem, że to nie policyjny megafon. Wtedy stojący obok dziennikarz się wtrącił i powiedział, że głos nadawany jest z policyjnego radiowozu stojącego kilka metrów obok. A policjant, że to nie do nas, tylko do ludzi stojących z drugiej strony placu. Robili z nas idiotów. Tworzyli pozory, że chcą rozejścia się protestujących. Zależało im, żeby nas dotkliwie ukarać.

To teraz lej

– W pewnym momencie kordon się rozstąpił i do środka weszło dwóch policjantów, którzy złapali mnie z obu stron, skuli i doprowadzili do policyjnej suki w poławie wypełnionej tarczami. Nie stawiałem oporu – wspomina torunianin. – Za chwilę mundurowi przyprowadzili kolejnych dwóch zatrzymanych. Odebrali nam ostre przedmioty, klucze, telefony komórkowe. Spisali nas. Siedzieliśmy kilka godzin, słuchając policjanta,

któremu sprawiało satysfakcję szydzenie z nas i innych protestujących. Agresywnie obśmiewał fryzury, ubrania, zachowanie. Podobnie postępowała towarzysząca mu policjantka, szczególnie pastwiąca się nad jednym z nas – niepełnosprawnym mężczyzną. Wywieźli nas w końcu do Pruszkowa. Długo staliśmy pod budynkiem komendy. Znów policjanci wypełniali jakieś dokumenty. Gdy zasygnalizowałem, że muszę skorzystać z toalety, policjant wprowadził mnie na komendę i wskazał kosz na śmieci: „To teraz lej”. Uprzejmie po-

dziękowałem za taką toaletę. Policjant ustawił mnie twarzą do ściany i kazał mi tak stać. Jak za karę w kącie.

– Gdy zwolniło się miejsce na komendzie, policjanci dokończyli procedury – kontynuuje 35-latek. – Co ciekawe, wielu nie nosiło maseczki. A zarzucali mi brak maski i niezachowanie dystansu społecznego podczas protestu. Odmówiłem przyjęcia mandatu, składania wyjaśnień i podpisania jakiegokolwiek dokumentu. Zwolnili mnie wieczorem, po ponad pięciu godzinach od zatrzymania. W Pruszkowie – w którym byłem po raz pierwszy w życiu. Daleko od samochodu i znajomych, z którymi przyjechałem do Warszawy.

Wkrótce prokurator oskarżył współwłaściciela Byczego Burgera, że na placu Zamkowym „stwarzał bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia ludzkiego”, „brał udział w zgromadzeniu, nie stosując się do wydanego nakazu zachowania wymaganego dystansu. Jednocześnie nie zastosował się do wydanego na podstawie prawa polecenia nakazującego zaprzestania działań stwarzających zagrożenie dla niego i innych osób”.

27 października 2020 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia umorzył postępowanie, uznając, że „czyny obwinionych nie zawierają znamion wykroczenia”. Sędzia Justyna Koska-Janusz w sześciostronowym uzasadnieniu przypominała, że „art. 54 Konstytucji RP gwarantuje każdemu wolność wyrażania swoich poglądów, natomiast w art. 57 Konstytucji RP zagwarantowane jest każdemu prawo do organizowania pokojowych zgromadzeń i uczestniczenia w nich”. Ponadto wskazała, że „z orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wynika jasno, iż wolność zgromadzeń oznacza w szczególności swobodę wyboru czasu i miejsca zgromadzenia, formy wyrażania poglądów oraz swobodnego ustalania przebiegu zgromadzenia. Po stronie władz publicznych istnieje natomiast obowiązek podejmowania działań, które doprowadzą do urzeczywistnienia tego prawa, czyli usunięcia przeszkód, które to

Czy publicznie protestujący są wobec policji bezbronni?

– Na pewno nie – twierdzi adwokat Janusz Mazur. – Wiem, że to olbrzymi stres, dynamiczna sytuacja, która łatwo wymyka się spod kontroli. Ale trzeba przestrzegać kilku zasad. Po pierwsze, chodzić na protesty w towarzystwie przynajmniej jednej, a najlepiej kilku osób. Po drugie, nie prowokować policji. Po trzecie, dobrze jest filmować telefonem komórkowym moment zatrzymania, rejestrować, jak sami się zachowujemy i jak postępują policjanci. Po czwarte, trzeba pytać o powód zatrzymania, domagać się od mundurowych podstawy prawnej. Po piąte, zachować maksymalny spokój. Po szóste, gdy doszło do uszkodzenia ciała, natychmiast udać się do lekarza, który sporządzi obdukcję. Po siódme, w wypadku rażącego przekroczenia uprawnień przez policję warto dochodzić swoich praw na drodze sądowej. Żądać ukarania, odszkodowania. Nie odpuszczać. Z policjantami brutalnie traktującymi obywateli można wygrać – przekonuje mec. Mazur i przypomina głośną w Bydgoszczy sprawę dwóch braci ujętych na ulicy, a potem dotkliwie pobitych na komendzie w Fordonie w listopadzie 2017 r. – Proces był długi i niełatwy. Policjanci nie przyznali się do winy i utrzymywali, że doszło do samookaleczenia zatrzymanych. Jednak zostali w 2019 r. skazani przez bydgoski sąd rejonowy na 10 miesięcy więzienia i przez osiem lat nie mogą pracować w zawodzie policjanta. Sąd apelacyjny podtrzymał wyrok niższej instancji. Obecnie pobici dochodzą zadośćuczynienia finansowego na drodze cywilnej.

uniemożliwiają, a przede wszystkim zaniechania nieuzasadnionych ingerencji w tą sferę nawet, gdy demonstracja może drażnić i przeszkadzać innym” (pisownia oryginalna). A także, że „wprowadzenie nakazów i zakazów podstawowych praw i wolności obywatelskich może nastąpić tylko w przypadku wprowadzenia jednego z trzech stanów nadzwyczajnych (stany nadzwyczajne to: wojenny, wyjątkowy lub stan klęski żywiołowej – przyp. autorki), co do tychczas nie miało miejsca”.

Plakat z internetu

Masowe umarzanie postępowań wobec protestujących – jak czas pokazał – nie zmieniło zachowania policji. Współwłaściciel Byczego Burgera: – Widzę, że ludzie za maszerowanie z polską flagą czy zaśpiewanie hymnu dostają gazem po oczach. I nie tylko we mnie rośnie niechęć do policji. W lutym w internecie zobaczyłem, że ktoś wywiesił plakat o odmowie obsługi policji i został za to zwolniony z pracy. Pomyslałem, że pociągnę tę akcję. Znalazłem odpowiedni projekt plakatu i zamówiłem wydruk. Olbrzymi oddźwięk każdego dnia upewnia mnie, że zrobiłem dobrze.

Janusz Mazur, adwokat: – Wywieszenie w lokalu gastronomicznym plakatu o treści dotyczącej prowadzonej działalności gospodarczej nie narusza w moim przekonaniu jakichkolwiek praw osób, do których jest skierowany, czyli policji i ich rodzin. Dlatego, że nie narusza praw konkretnego klienta ze względu na płeć, rasę, wiek, orientację seksualną czy kolor oczu, których nie może on zmienić. Restaurator z Torunia odmawia obsługi osób ze względu na ich złe zachowanie, którego policjanci mogą zaprzestać. I opisuje to zachowanie. A że policja w czasie protestów postępuje karygodnie, nie mamy wątpliwości. Pokazywane w mediach nagrane amatorsko filmiki nie pozostawiają wątpliwości, że policja przekracza granice uprawnień. Drastycznie i wielokrotnie. Kopanie kobiet leżących na ziemi, pryskanie gazem pieprzowym w oczy protestujących pokojowo ludzi czy bicie pałką teleskopową uczestników spokojnego ulicznego protestu (do którego obywatele naszego kraju

mają prawo) to nie są drobiazgi, nad którymi można i powinno się przejść do porządku dziennego w demokratycznym państwie. Brutalna nadgorliwość policji nie jest karana, co oczywiste, bo mundurowi w sporze obywatele-władza nie zachowali neutralności i opowiedzieli się jednoznacznie po stronie tej drugiej. Widać, że nie chcą bronić obywateli manifestujących w słusznej sprawie. Dlatego Polacy mają prawo do okazania niezadowolenia, do buntu. I plakat w oknie jest – jak rozumiem – formą obywatelskiego protestu przeciw policji. Do którego – podkreślił – do jeszcze raz – obywatel ma prawo.

Mieliśmy poczucie, że władza nie stara się nam pomóc. Dlatego z innymi toruńskimi przedsiębiorcami zaczęliśmy protestować.

– Zupełnie inaczej było w przypadku drukarza, który w 2015 r. odmówił drukowania ulotek LGBT – podkreśla mec. Mazur. – Ewidentnie naruszył on prawa ludzi nieheteronormatywnych, którzy nie wybierają swojej orientacji. Seksualność jest dobrem osobistym. Nie można z niej drwić, nie można ograniczać aktywności. Homoseksualizm, biseksualizm czy transseksualizm nie są przestępstwem, a tylko dlatego, że komuś nie podoba się społeczność LGBT, nie może on odmówić świadczenia usług tej grupie ludzi. Przypomnijmy: w 2017 r. łódzki sąd rejonowy nie miał wątpliwości, że do wykroczenia doszło. Odstąpił jednak od wymierzenia kary grzywny z uwagi na sytuację rodzinną drukarza. Podobnie orzekały sądy wyższej instancji. Gdy prokurator Zbigniew Ziobro wniósł o kasację wyroku, Sąd Najwyższy odmówił.

Zdaniem mec. Mazura w przypadku toruńskiego restauratora nie ma zastosowania (wprowadzony w 1972 r.) art. 138 Kodeksu wykroczeń, który karze tego, kto odmawia udzielenia świadczenia. Nie ma zastosowania, bo istnieje „uzasadniona przyczyna”. Właśnie niezgodne z prawem zachowanie policji. I dlatego nie ma znaczenia, że w 2019 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że karanie za odmawianie świadczenia usługi jest zbyt represyjne, bo „penalizacja odmowy świadczenia usług umyślnie bez

uzasadnionej przyczyny stanowi ingerencję w wolność podmiotu świadczącego usługi, w szczególności w prawo do decydowania o zawarciu umowy, prawa do wyrażania własnych opinii czy postępowania zgodnie z własnym sumieniem”.

Ale dla pana Pawła z Torunia los drukarza ma znaczenie. Bo – przypomnijmy – kilka dni po orzeczeniu TK w sprawie łódzkiego rzemieślnika Zbigniew Ziobro polecił skierować „wniosek o wznowienie postępowania na korzyść drukarza”. Sąd uchylił wyroki skazujące i umorzył postępowanie. – Jeśli drukarz z Łodzi mógł zgodnie z obowiązującym obecnie

prawem odmówić drukowania ulotek, to ja mogę nie chcieć przyrządzać burgerów dla policji. A jeśli będą mnie nękać? Zawsze mogę wyjechać i prowadzić interes gdzieś poza Polską.

Póki pan Paweł mimo wszystko jest w Polsce, marzy, żeby inni poszli w jego ślady i wywiesili taki plakat na drzwiach swoich firm. Żeby plakatowy protest stał się masowy. Bo w masie siła.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl



Wirus w małym mieście

Wielkie tąpnięcia w świecie wolniej docierają do miasteczek rozmiaru Łabiszyna

Zuzanna Muszyńska

Przed wejściem do Bee House, łabiszyńskiego sklepu z różnościami, klient nie ma szans zapomnieć o pandemii. Z kartek na drzwiach witają go zalecenia: „Do sklepu wchodzimy w масечках!!! Dziękujemy!!!”, „W sklepie mogą przebywać tylko trzy osoby!”, do tego dwie grafiki ściągnięte z internetu przypominające o масечках i właściwych odległościach oraz prośba o „zdecydowane zakupy”.

– Był taki czas, że nie podchodziliśmy do klientów, sami się obsługiwali

imieninowym, np. ładnym wazonem czy paterą na stół. Sklep odzieżowo-jubilski istnieje od 2003 r. Sytuacja pandemiczna znacznie wpłynęła na obroty. Część klientek pracuje zdalnie, same przyznają, że nie muszą dbać o siebie tak jak kiedyś. Pani Ewa wspomina, jak szybko trzeba było się przestawić na nowe zasady. Zdobycie ekranu z pleksi graniczyło z cudem. No i – mimo strachu – musiała wytrwać na posterunku. Teraz ludzie oswoili się z pandemią, może nawet za bardzo. Wchodzą czasem bez масек, bo „są zdrowi”. Zwracanie im uwagi niewiele daje. Przydałaby się

zobaczmy”. Nie kupowała towaru, na wypadek gdyby mieli jednak się zamknąć. Na duchu podtrzymywali ją i męża mieszkańcy, zaglądający z pozdrowieniami, życzeniami zdrowia. Na początku towar był noszony do drzwi. Teraz przed ladą stoi szeroki stół, wymusza dodatkowy odstęp. Siedzi na nim wielki miś.

Gdy zaczęła się zdalna szkoła, rodzice przychodzili w strachu, czy uda się kupić chociaż zeszyt dla dziecka. Był nawet bum na skakanki do ćwiczeń przed ekranami laptopów. Sprzedawały się масечки, rękawiczki. Ale to branża papiernicza uratowała sklep. Zabawki nie schodzą, mimo że dzieci spędzają więcej czasu w domach. Z dewocjonaliów nie sprzedał się w tym roku ani jeden zestaw kołódowy. Generalnie obroty zmalały o ponad połowę.

– Dzięki punktowi odbioru paczek nie siedzimy i nie patrzymy w sufit – wzdycha pani Danuta. – Prze-meblowaliśmy sklep, na środku umieściliśmy stojaki. Wymuszają ruch dookoła lokalu, ludzie się nie grupują. Dostaliśmy jednorazową pomoc dla małych firm. Posłtaliśmy, co trzeba. Ale w styczniu puściły mi nerwy, przez miesiąc nie mogłam przychodzić do pracy. Zanim doszłam do siebie, zastępował mnie mąż.

Państwo Wojtyńkowie od 45 lat prowadzą działalność handlową, Sabot otworzyli w 1990 r. – To ciężki czas – mówią. – Przeszliśmy już wojnę, kiedy powstawała Solidarność. Jeden drugiego się bał, nie było wiadomo, gdzie wróg. W tym roku było podobnie.

Niedaleko paczkomatu, w sklepie z modą damską Aleksandra pani Ola sortuje świeży towar. – Sytuacja jest mało komfortowa przede wszystkim ze względów psychicznych. Każdy z nas ma w tyle głowy ten jeden wątek: pandemię – tłumaczy. – Odbija się to na kontaktach międzyludzkich.

W sklepie nie ma zabezpieczeń, właścicielka chce, żeby klientki czuły się u niej w miarę swobodnie. Nie sprzedają się sukienki koktajlowe, moda zmienia się w kierunku dresowej i koszulkowo-leggingsowej. Podobnie jest w obuwniczym po drugiej stronie rynku – nie ma chętnych na obuwie eleganckie. Pani Wioletta miała wiosną trochę wolnego, potem

Ludzie oswoili się z pandemią, może nawet za bardzo. Wchodzą czasem bez масек, bo „są zdrowi”. Zwracanie im uwagi niewiele daje.

– wspomina pani Ola, zatrudniona w Bee House od trzech lat. Słabo ją słyszeć zza масечки i wiszącego nad ladą ekranu z grubej folii, który wygląda na skonstruowany domowym sposobem. – Z początku nie wszyscy wierzyli w pandemię, ale to już się zmieniło – dodaje. – Dziś każdy ma w rodzinie albo wśród znajomych kogoś, kto zachorował.

Szybkie zakupy? Z tym różnie bywa. Łabiszyn to małe miasto, rynek jest miejscem codziennych spotkań. Tu się przychodzi pobyć z drugim człowiekiem.

Era paczkomatów

W sklepiku Vega u pani Ewy drzwi się nie zamykają. Na progu mieści się, w okresie wypłat, zazwyczaj jest większy ruch. – U mnie klientki mogą przymierzyć towar. Przychodzą panie w średnim wieku i starsze. Młódzież zaopatruje się w sieciówkach – wyjaśnia właścicielka. Można ubrać się u niej od stóp do głów, łącznie z biżuterią i ewentualnym prezentem

do pomocy straż miejska. Co z tego, że obowiązują obostrzenia, skoro nikt ich nie egzekwuje? Największym zmartwieniem pani Ewy jest jednak przetrwanie sklepu. Ze smutkiem wskazuje zakątek rynku, gdzie mieści się paczkomat. Tam przed świętami kolejka stała zawinięta aż do ulicy.

Łabiszyński paczkomat InPostu był jednym z pierwszych gminnych paczkomatów w regionie. Za jego instalację miasto otrzymało w prezencie laptopa, a państwo Wojtyńkowie z Sabotu, inicjatorzy przedsięwzięcia, do dziś błogosławią, że jest. Nie mogli się zamknąć na początku pandemii, chociaż może by i chcieli. Oprócz asortymentu papierniczo-zabawkowego oferują odbiór paczek. Kurierzy zostawiają u nich to, co nie mieści się w szafkach punktu odbiorczego (i tak za małego na potrzeby miasta) na bocznej ścianie budynku.

Innym powodem, by się nie zamknąć, były faktury, opłaty za gaz, światło. Pani Danuta bardzo się przestraszyła pandemii. Mówiła sobie: „Damy radę przez miesiąc, potem



Na rynku w Łabiszynie odbywały się ciekawe rekonstrukcje historyczne. W czasie pandemii odwołano je, rynek opustoszał.



szefowa zredukowała pracownikom godziny, bo sklep był otwarty krócej. Próbowwała ratować sytuację sprzedażą internetową. Styczeń i luty są w tej branży najcięższe, ale w innych miesiącach nie było lepiej. Wszystko siadło.

Na rynku jak w rodzinie

U pani Ani w salonie kosmetycznym niby po staremu, czysto, jasno i sympatycznie. Zamknęła się na prawie dwa miesiące, zwolniła pracowniczkę. Teraz bałaby się przyjąć nową. Kto wie, co będzie dalej. Klientki z początku się bały, ale wróciły. W czerwcu było znów normalnie. Prawie, bo bez ślubów, komunii, sylwestra, karnawału jednak mniejszy ruch. Kiedyś siedziała w salonie od rana do wieczora, teraz już nie. Zdecydowanie mniej klientek decyduje się na zabiegi kosmetyczne twarzy. Przychodzą zrobić paznokcie, brwi. To im trochę poprawia nastrój, bo jak wszyscy – mają dość, są zmęczone, pragną zmiany otoczenia.

Pani Danuta z drogerii uściśla, że klientki zaczęły dbać o siebie w innym kontekście – oko, paznokcie tak, pomadki raczej nie. Farby do włosów też nie, szczególnie na początku pandemii. – Trzeba było wyłapać zmiany, żeby zacząć zamawiać odpowiedni towar – opowiada. – Staraliśmy się i staramy nadal dopasować do klienta, ale to nie jest ten handel, który był – przyznaje. Szef nie zamknął drogerii, nie skorzystał z pomocy. W sprawie nowych zasad funkcjonowania handlu dzwonili do urzędu miasta, ale tam

też nie od razu wiedziano, co i jak. „Róbcie tak, żeby było dobrze”, doradzali urzędnicy. Najgorsze zdaniem pani Danuty były godziny seniora. Należało to zrobić inaczej – zamiast blokować kobiety z małymi dziećmi, które przychodzą na zakupy w tych samych godzinach co osoby starsze, wystarczyło poprosić, żeby poczekały na zewnątrz, dając pierwszeństwo seniorom. A tak obroty dodatkowo spadły.

Ludzie przychodzą czasem z maską na brodzie. Trudno sobie z tym poradzić. Inni wchodzą do sklepu i ściągają maseczkę, bo „muszą pooddychać”. Pani Danuta sama pracuje ostatni dzień w przyłbicy. Obawia się masечek chirurgicznych, też musi czasem „pooddychać”. Praca wśród chemikaliów i kosmetyków do najłżejszych nie należy. – Nie jestem

Towar w hurtowni podrożał. Ja cen nie mogłam podnieść; to małe miasto, nie wszyscy mają pracę.

z natury pesymistką, ale za wesoły to ten rok nie był – żartuje. – Tylko że ja zawsze mówię, że bywało gorzej.

Zimą przez długi czas nie widziała wielu klientów, bo to albo mrozy, albo kogoś złapał wirus. Ludzie są dla niej ważni. Na rynku w ogóle wszyscy są jak jedna rodzina. – Pomagamy sobie, polecamy się wzajemnie. Jak to ma znaczenie, czy ja zarobię, czy ktoś inny – deklaruje.

W zakładzie fotograficznym mieszane nastroje. Pani Małgorzata, właścicielka, nie narzeka na rozciągnięte w czasie komunie, mogła dzięki temu przyjąć więcej zleceń.

Ale takiego bumu jak wcześniej już nie ma. Prowadzi łabiszyński zakład od czterech lat – obecnie jedyny w mieście, bo konkurencja padła, prawdopodobnie z powodu pandemii. Ona z początku zamknęła się na miesiąc, wykorzystała czas, by skończyć remont zakładu. Potem zaczęło się powolne wychodzenie na prostą. Odeszły imprezy okolicznościowe, towar w hurtowni podrożał. – Ja cen nie mogłam podnieść, to małe miasto, nie wszyscy mają pracę – oświadcza. Niektórzy klienci, zanim przyjdą na sesję, dzwonią z pytaniem, czy pani fotograf jest zdrowa. Ona też się boi. Na szczęście zakład jest przestronny, nie ma problemu z zachowaniem dystansu.

W kiosku, zwanym nieoficjalnie tabakierką, na kilkunastu metrach kwadratowych dużo się dzieje. Toczą

się spory o wszystko – o kawałek podłogi, o służbę zdrowia, o masечki, o szczepionki, o przyszłość. – W ludziach było na początku dużo strachu – opowiada pani Ilona, właścicielka. – Tych przerażonych wyśmiewali inni, którzy się nie bali.

Pani Ilona nie lubi ingerować, nie chce tracić klientów. Sklep jest mały, ledwo mieści dwie osoby. Jak jedyna przyjdzie dobrze zabezpieczona, wolałaby, żeby nie wchodził ktoś inny. Ale wtedy ten inny odchodzi, bo nie chce mu się czekać na zewnątrz. Seniorom zdarzało się wykorzystywać swoje przywileje – długo ▶



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Wielkie podniecenie mediów wywołała wiadomość, że spora część młodych ludzi deklaruje dziś sympatie lewicowe. Jeśli faktycznie tak jest, oznaczałoby to przełamanie kilkudziesięcioletniej hegemonii prawicy, a być może także głębszy zwrot polityczny. Z najbardziej konserwatywnego i prawicowego społeczeństwa w Europie moglibyśmy stać się społeczeństwem jedynie umiarkowanie prawicowym. To już coś.

Problem jednak w tym, czy faktycznie młodzież staje się lewicowa. Boję się, że mamy tu do czynienia z pewnym nieporozumieniem. Chodzi o to, że trudno za w pełni lewicową uznać grupę ludzi, która jest takowa w samej „nadbudowie”, używając terminologii Marksa. Stowem, tylko w sferze światopoglądowej, obyczajowej i społecznej (walka o prawa kobiet czy prawa mniejszości). To ważny fragment lewicowej agendy, ale wyłącznie fragment. Może mu towarzyszyć – i obawiam się, że często tak właśnie jest – zupełnie nielewicowy pierwiastek przekonań, tym razem dotyczących „bazy”, a więc sfery pożądanego ustroju ekonomicznego, równości społecznej itd. Byłby

w gospodarczej. Być może jednak się mylę i lewicowy zwrot jest całościowy. Zobaczymy.

Co do przyszłości lewicy w kraju takim jak Polska jedna rzecz wydaje mi się kluczowa. Odwojowanie religii. Nie jest dobrą strategią atak na nią jako taką, które to podejście czasami (na szczęście rzadko) cechuje nową lewicę, trzeba bowiem pamiętać, że dla wielu ludzi przekaz religijny ma głęboką wartość światopoglądową i moralną; warto spróbować to zrozumieć i uszanować. Zamiast tego proponuję strategię wskazywania, że w chrześcijaństwie kryją się bardzo wyraźne wątki podatne na lewicową interpretację, przede wszystkim w sferze społeczno-ekonomicznej, ale nie tylko. Co więcej, wiarygodna jest teza, że przekaz chrześcijaństwa jest w gruncie rzeczy lewicowy, jeśli pamiętamy o jego uniwersalizmie, nastawieniu równościowym, idei wzajemnej pomocy, solidarności i współczucia wobec słabszych i cierpiących. To jedynie zbieg pewnych okoliczności (m.in. antykomunizm związany z okresem PRL czy tradycja endecji) spowodował tak wyraźny prawicowy przechyl polskiego katolicyzmu.

Dwie lewice i religia

to symptom typowy dla tzw. nowej lewicy, która niejednokrotnie łączyła zgrabnie progresywność w sferze kulturowej z ultraliberalizmem w sferze ekonomicznej. Dobrym przykładem politycznym tego typu „lewicowości” byli Bill Clinton, Gerhard Schröder czy Tony Blair: lewicowi w sferze kulturowo-symbolicznej, prawicowi (neoliberalni) w praktyce ekonomicznej (wszyscy np. ochoczo zabrali się do demontażu państwa socjalnego).

Z kolei stara lewica, związana z typową socjaldemokracją i klasą robotniczą, reprezentowała kiedyś lewicowość zarówno w „bazie”, jak i w „nadbudowie”. Z czasem jednak jej zapał progresywny w tej ostatniej wyraźnie zmalał, co było prawdopodobnie wynikiem wzmagającego się konserwatyizmu obyczajowego klasy robotniczej (najlepiej widocznego w USA). Z tego powodu dla nowej lewicy stara lewica przestała być lewicą w ogóle, a dla starej lewicy nowa lewica nie była nią nigdy. W tej sytuacji trudno się dziwić, że grupy społeczne możliwe do politycznego zagospodarowania przez starą lewicę stały się zapleczem politycznym współczujących konserwatystów, czyli prawicy wrażliwej na przynajmniej niektóre elementy sprawiedliwości społecznej (jak u nas PiS).

W świetle tego dzisiejszy zwrot młodych ludzi ku lewicy może być *de facto* zwrotem ku jej formie określonej pojęciem nowej lewicy (lewicowość w sferze obyczajowej i liberalizm wolnorynkowy w sferze ekonomicznej). Nie oznacza jeszcze zwrotu ku lewicy integralnej – progresywnej w sferze obyczajowej i socjaldemokratycznej

W moim przekonaniu nie wynika on z treści samej doktryny. Wskazuje na to zresztą wiele przykładów historycznych, w części odnoszących się do chrześcijaństwa jako takiego, a w części do jego katolickiej odmiany. Wystarczy, że wspomnę tu o Towarzystwie Fabiańskim w Wielkiej Brytanii, personalizmie francuskim w wydaniu Emmanuela Mouniera, ruchu „księży robotników” we Francji, południowoamerykańskiej teologii wyzwolenia czy wreszcie polskiej tradycji „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, dziś kontynuowanej także przez nader ciekawe i odważne pismo młodych katolików lewicowych „Kontakt”. Również liczne encykliki papieskie pochodzące z różnych okresów (np. encyklika Pawła VI *Populorum progressio* z 1967 r.) wskazują, że wątki bliskie lewicy nieobce były katolicyzmowi, a pontyfikat Franciszka udowadnia, że sympatie lewicowe mogą być obecne na najwyższym szczeblu hierarchii kościelnej.

Nie warto zatem odwracać się plecami do religii i uznawać ją za główną przeszkodę na drodze do zmiany *status quo*. Nie można oczywiście oczekiwać, aby jej wyznawcy zaakceptowali wszystkie postulaty lewicowe, szczególnie ze sfery „nadbudowy”. Ale przecież nie o to chodzi. Raczej o to, aby zbudować jak najszerszą koalicję na rzecz zmiany współczesnego neoliberalnego turbokapitalizmu, zabójczego zarówno dla przyszłości religii, jak i dla dobrostanu ludzi oraz losów planety. Szukać płaszczyzny porozumienia. Pokazywać, że chrześcijaństwo w wersji prawicowej, a zwłaszcza skrajnie prawicowej, to faktyczna zdrada jego ideałów.

IDZIEMY SIĘ SZCZEPIĆ

Masz już termin szczepienia przeciw COVID-19? Sprawdź, co powinieneś wiedzieć!

Rozmawia Anna Brzeska

Radzi lekarz, ŁUKASZ DURAJSKI

– rezydent pediatrii, członek American Academy of Pediatrics (AAP), WHO Europe oraz Klubu Młodych Wakcynologów Polskiego Towarzystwa Wakcynologii (www.DoktorekRadzi.pl).



Panie doktorze, jak przygotować się do szczepienia?

– Właściwie nie ma tu żadnych szczególnych wskazań. Szczepionka podawana jest domięśniowo, więc nie istnieją zalecenia co do jedzenia czy picia. Nie musimy się zastanawiać, czy lepiej zjeść coś lekkiego, czy raczej bekon z fasolką, czy wypić kawę, herbatę, a może zamiast nich sok. Nie ma to kompletnie żadnego znaczenia – jemy normalne

spokojni i przygotowani psychicznie na to, że po szczepieniu może wystąpić wysoka gorączka, może nas boleć ręka, mięśnie, że nasze samopoczucie będzie ogólnie nie najlepsze. Wyspanie się pomaga nam łatwiej przejść czas odczynu poszczepiennego, który najczęściej jest łagodny, ale może być także dyskomfortem. Trzeba jednak pamiętać, że te wszystkie sygnały od naszego organizmu dają nam pewność, że

Niezwykle ważne jest, by nie odstawiać czy nie pomijać żadnych leków przed szczepieniem. Pacjent z chorobami przewlekłymi powinien zostać zaszczepiony – pod warunkiem że jego stan zdrowia jest stabilny. Jeśli odstawi leki, może dojść do pogorszenia jego stanu i wówczas faktycznie będzie to przeciwwskazaniem do szczepienia. Tymczasem odroczenie go wiąże się z dalszym oczekiwaniem – a co gorsza, nawet nie będziemy wiedzieli, ile przyjdzie nam znów czekać, jeśli spadniemy na koniec kolejki. Dlatego jeżeli stale bierzemy

Wyspanie się pomaga nam łatwiej przejść czas odczynu poszczepiennego.

śniadanie, takie jak zwykle, i idziemy na szczepienie. Istotne jest tylko to, byśmy wiedzieli, na którą mamy się stawić w przychodni – i już. Najlepiej też, byśmy nie szli na szczepienie zbyt wcześnie, bo to stwarza ryzyko niepotrzebnego kontaktu z innymi pacjentami.

Zwróciłbym również uwagę na to, że system wprowadzie generuje nam godzinę szczepienia, ale przychodnia może ją potem zmienić – w takim wypadku aktualne i ważniejsze są właśnie komunikaty bezpośrednio z przychodni – i to nimi powinniśmy się kierować, nawet jeśli potem przyjdzie do nas jeszcze SMS z systemem z wcześniej ustaloną godziną. Pamiętajmy zatem – informacja z przychodni jest ważniejsza.

Czytałam gdzieś, że powinniśmy być np. wyspani.

– To zapewne takie zalecenie w kontekście ewentualnych odczynów poszczepiennych. Najbardziej zwróciłbym uwagę na nasze ogólne nastawienie. Ważne, byśmy byli

wytwarzamy przeciwciała – że nasz układ immunologiczny działa prawidłowo. Nie są więc powodem do niepokoju, ale potwierdzeniem, że wszystko jest OK.

Nie znaczy to jednak, że jeśli ktoś nie ma tych objawów, nie wytwarza przeciwciał?

– Jasne, że nie. U niektórych objawy będą, u innych nie – i to też jest w porządku.

Co jeśli ktoś bierze jakieś leki czy choruje przewlekłe? Skąd wiedzieć, czy możemy iść się szczepić?

– Jeśli bierzemy jakieś leki, obojętnie jak, powinniśmy o nich powiedzieć lekarzowi podczas badania przed szczepieniem. Najlepiej, gdy mamy ze sobą kartkę z listą zażywanych przez nas środków – to usprawnia przebieg wizyty i pozwala uniknąć sytuacji, gdy nie jesteśmy pewni, co bierzemy. Weźmy więc ze sobą tę listę, nawet jeśli wydaje nam się, że mamy ją w głowie. Może bowiem się zdarzyć, że pod wpływem stresu o jakimś leku zapomnimy.

przepisane leki – weźmy je o tej porze co zwykle, niczego nie pomijajmy i nie przesuwajmy.

Jeżeli mamy jakiegokolwiek wątpliwości związane z chorobami, na które się leczymy, zabierzmy ze sobą dokumentację medyczną, aby lekarz mógł się z nią zapoznać, szczególnie jeśli idziemy do lekarza, który nas nie zna. Jednak zaznaczam, że bardzo mało jest przeciwwskazań do szczepienia. I tym bardziej jeśli chorujemy na choroby przewlekłe, powinniśmy zostać zaszczepieni.

Jakie są przeciwwskazania do szczepienia?

– Przede wszystkim wcześniejsze wystąpienie wstrząsu anafilaktycznego, czyli silnej reakcji uczuleniowej, która skończyła się wizytą w szpitalu. Drugim przeciwwskazaniem jest uczulenie na którykolwiek składnik szczepionki – tyle że ekstremalnie rzadko zdarza się, byśmy o nim wiedzieli, bo na co dzień nie spotykamy ich w żadnych lekach. Może być jednak spokojni, ponieważ

przychodnie są przygotowane na wypadek wystąpienia silnej reakcji uczuleniowej. Właśnie dlatego po szczepieniu koniecznie musimy przez jakiś kwadrans zostać w placówce, ponieważ jeśli taka reakcja ma wystąpić, stanie się to w krótkim czasie po podaniu preparatu. Wtedy natychmiast podaje się pacjentowi odpowiedni lek i ryzyko zostaje zniwelowane. Pacjent może więc czuć się bezpieczny. Inne objawy uczulenia, które mogą wystąpić później, nie są już natomiast groźne dla życia czy zdrowia.

Proszę powiedzieć jeszcze coś o szczepionce firmy AstraZeneca. To prawda, że zanotowano w jej przypadku więcej odczynów poszczepiennych?

– Tak. Jednak tu bardzo ważna uwaga – to wynika przede wszystkim z tego, że odczyny po tej szczepionce są po prostu lepiej zgłaszane. Chodzi tu o perspektywę różnych pacjentów. Grupa 0, szczepiona preparatem Pfizera, to medycy. Z własnego doświadczenia – i doświadczeń kolegów – wiem, że nawet jeśli ręka bolała, odczuwało się zmęczenie, ból

mięśni i wyczerpanie, co zdarzało się bardzo często, jako lekarze nie zgłaszaliśmy NOP-ów, ponieważ nie odczuwaliśmy takiego lęku przed nimi jak zwykli pacjenci. Szczepionkę firmy AstraZeneca otrzymują natomiast na pacjencu niemedycy, którzy znacznie częściej te odczyny zgłaszają, bojąc się niepokojących objawów.

Jeśli mamy wątpliwości związane z chorobami, na które się leczymy, zabierzmy ze sobą dokumentację medyczną.

Dlatego chcę uspokoić czytelników, że większa liczba zgłoszeń nie znaczy, że ze szczepionką jest coś nie tak. To głównie kwestia grupy społecznej, która akurat tę szczepionkę dostała.

Co jednak z ciężkimi odczynami, o których mogliśmy usłyszeć w mediach?

– Pojawienie się ciężkich odczynów i czasowe wstrzymanie szczepień w tych krajach, gdzie doniesienia były niepokojące, z mojej perspektywy oznacza, że system bezpieczeństwa szczepień działa. Doniesienia zostały już zresztą zweryfikowane przez

Europejską Agencję Leków i okazuje się, że szczepionka nie niesie ryzyka dla pacjentów. Liczba epizodów zakrzepowo-zatorowych zgłoszonych jako ciężkie NOP-y, które wystąpiły w czasie 10 dni po podaniu szczepionki (30 przypadków na ponad 5 mln dawek), nie była absolutnie większa niż liczba takich epizodów

w niezaszczepionej części populacji o tej samej liczebności, w takim samym czasie. To znaczy, że szczepionka nie wiąże się z większym ryzykiem tego typu zdarzeń.

Szczepienia te zostaną więc wznowione?

– Tak, niewątpliwie. WHO też wydała już stanowisko w tej sprawie. Niestety, niepokój w społeczeństwie już wcześniej został zasiany – a w mediach nie zawsze pojawiała się potem informacja, że wszystko jest jednak w porządku.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

MUZEUM OKRĘGOWE GDAŃSKA 4

Poznaj nowe miejsce na mapie kulturalnej Bydgoszczy



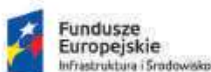
Odnowiony i rozbudowany gmach główny Muzeum Okręgowego, ulokowany przy reprezentacyjnej ulicy Bydgoszczy, stał się na powrót jej wizytówką. Realizacja projektu pozwoliła uchronić dziedzictwo kulturalne miasta i przywrócić dawną świetność pochodzącemu z XVII wieku, zabytkowemu budynkowi. Jednocześnie ułatwiono dostęp do dóbr kultury i sztuki szerszemu gronu odbiorców – zarówno poprzez zagwarantowanie pełnej dostępności architektonicznej i funkcjonalnej, jak i poprzez wprowadzenie bogatego programu wystawienniczego, kulturowego i edukacyjnego, który już wkrótce będzie mógł być w pełni realizowany.

OBRAZY NIE- / RZECZYWISTOŚCI. Inspiracje i aspiracje
- odsłona premierowa fragmentu wystawy

Winiarski • Stażewski • Wejman • Wróblewski
• Pągowska • Cybis • Czapski • i inni

Zapraszamy od kwietnia 2021 roku

Ze względu na sytuację epidemiczną do zwiedzania obiektu zapraszamy po ponownym otwarciu instytucji kultury.



Projekt został zrealizowany przy wykorzystaniu dofinansowania ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach działania 8.1 Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014-2020.



Wkład własny oraz wydatki niekwalifikowane zostały sfinansowane w ramach dotacji celowej inwestycyjnej od Organizatora – Miasto Bydgoszcz – na realizację zadania: „Remont, konserwatorski i rozbudowa obiektu Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, ul. Gdańska 4”.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Salam, salam, salam, Allah maakum (Pokój, pokój, pokój, Bóg jest z wami) – tymi słowami Franciszek zakończył nabożeństwo w języku arabskim na stadionie w Irbilu, w irackim Kurdystanie.

Tak chrześcijański papież wyrzekł się symbolicznie motta krucjat *Deus vult* (łac. Bóg [tak] chce). Trzy dni apostolskiej wizyty (5-8 marca 2021 r.) w kraju Bliskiego Wschodu, który w ostatnich latach został całkowicie zdewastowany przez wojnę i terror ISIS, były przesłaniem pokoju i braterstwa.

Reflektory na Irak

Ta pielgrzymka Franciszka już zapisała się w historii. Inna niż wszystkie dotychczasowe podróże papieskie. Pierwsza w epoce COVID-19. Niebezpieczna i wymagająca nadzwyczajnych środków ostrożności oraz imponującej ochrony. Wizyta głowy Kościoła katolickiego w Iraku była ważna z wielu powodów, zarówno politycznych, jak i religijnych, ale przede wszystkim zwróciła przez moment reflektory mediów na ten kraj, niemogący od dziesięcioleci zaznać pokoju, targany wojnami, konfliktami religijno-etnicznymi i terroryzmem. Rzuciła światło na dramatyczną i wciąż gorącą sytuację na Bliskim Wschodzie.

Franciszek został powitany na lotnisku w Bagdadzie przez premiera Iraku Mustafę al-Kadhimiego, pełniącego tę funkcję od niespełna roku. Oficjalna ceremonia odbyła się w Pałacu Prezydenckim, z udziałem prezydenta Barhama Saliha wywodzącego się z Patriotycznej Unii Kurdystanu oraz przedstawicieli władz i społeczeństwa obywatelskiego, do których papież wygłosił pierwsze przemówienie, mówiąc o konieczności zapewnienia demokratycznego udziału w państwie wszystkim grupom politycznym, społecznym i religijnym oraz zagwarantowania podstawowych praw wszystkim obywatelom. W Bagdadzie odbył też spotkanie z duchowieństwem w katolickiej katedrze obrządku syryjskiego Matki Bożej Zbawienia, gdzie w 2010 r. dżihadyści dokonali zamachu terrorystycznego,

Ziemia, która nie może zaznać pokoju

Pielgrzymka papieża Franciszka do Iraku to milowy krok na drodze dialogu międzyreligijnego



Papież Franciszek witany na spotkaniu międzywyznaniowym na równinie Ur, 6 marca 2021 r.

w którym zginęło 58 osób, a 80 zostało rannych.

Historyczne spotkanie

An-Nadżaf, święte miasto szyitów. Położone nad Eufratem, 144 km na południe od Bagdadu. Tu znajduje się Złoty Meczet z grobem kalifa Alego Ibn Abi Taliba, kuzyna i zięcia Mahometa, zmarłego w 661 r., oraz proroków Adama i Noego. W islamie szyickim jest uznawane za jedno z najświętszych miejsc, zaraz po Mekce i Medynie. Ali to pierwszy prorok szyicki, najważniejszy po Mahomecie. Co roku miliony pielgrzymów przybywają tu na Aszurę, największe szyickie święto, w pielgrzymce żałobnej. Kobiety odziane w czarne czadory zanoszą się płaczem. Nieopodal meczetu znajduje się Dolina Pokoju (Wadi al-Salam), największy mużulmański cmentarz, z 2 mln grobów.

W latach 1964-1978 w Nadżafie żył ajatollah Ruhollah Chomejni, który po rewolucji islamskiej został

przywódcą Iranu. W marcu 1991 r., po wojnie w Zatoce Perskiej, w Nadżafie i Karbali wybuchło powstanie szyitów krwawo stłumione przez Saddama Husajna. Od tamtego momentu wściekły dyktator zawsze obstawiał święte miasto wojskiem i wysyłał swoich szpiegów z sunnickiej partii Baas. Tu w sierpniu 2003 r. miało miejsce krwawe zamach Al-Kaidy, w którym zginął ajatollah Al-Hakim.

Dopiero w tym kontekście można zrozumieć, dlaczego wizyta papieża w Nadżafie ma wymiar historyczny. Głowa Kościoła katolickiego udała się osobiście do jednego z największych autorytetów islamu szyickiego. Franciszek zrobił milowy krok na drodze dialogu międzyreligijnego, spotykając się z umiarkowanym i poważnym ajatollahem Alim al-Sistanim. Spotkanie w małym pokoiku, trwające ponad godzinę, uwieczniły flesze i kamery. Na pewno nie wzbudziło to entuzjazmu teokratycznego reżimu z Teheranu. Tak jak nie spodobał się w Kairze, Ankarze i Rijadzie



W Mosulu papież modlił się za ofiary wojny na placu kościelnym Hosh al-Bieaa, 7 marca 2021 r.

Dokument o ludzkim braterstwie dla pokoju światowego i współistnienia, podpisany w 2019 r. w Abu Zabi przez Franciszka i wielkiego imama Ahmada al-Tayyeba, przywódcę islamu sunnickiego. Dokument ten głosił m.in.: „Historia pokazuje, że ekstremizm religijny, ekstremizm narodowy, a także nietolerancja wytworzyły na świecie, czy to na Wschodzie, czy też na Zachodzie, to, co można by nazwać oznakami III wojny światowej w kawałkach”. Bergoglio kolejny raz jako pierwszy wyciągnął rękę

społecznych i religijnych w obrębie państwa oraz równości gwarantowanej konstytucyjnie. Traktuje muzułmanów jak braci. Taka nowość budzi opory.

Śladami Abrahama i dżihadystów

Kurz, piasek, silny wiatr unoszący białe papieskie szaty to widok, który uderzył podczas międzyreligijnego nabożeństwa w starożytnym chaldejskim mieście Ur, odpawanego

lat przed Chrystusem. I tu rozmawiał z Bogiem, który nakazał mu porzucić ojczyznę i udać się do biblijnej Ziemi Obiecanej. Kamienne ruiny sprzed ponad 6 tys. lat odrestaurowano w 1999 r. i wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO przy okazji planowanej pielgrzymki Jana Pawła II do Iraku. Sprzeciwili się jej najpierw Saddam Husajn, a później dyplomacja Stanów Zjednoczonych. Nad antycznym miastem Ur górował niegdyś ziggurat, czasami utożsamiany z mityczną Wieżą Babel.

Podczas wizyty apostołskiej w Iraku Franciszek odwiedził iracki Kurdystan, gdzie odbył krótkie spotkanie z władzami regionu – prezydentem Nechirvanem Barzanim i premierem Masrourem Barzanim. Tam też na zakończenie pielgrzymki odprawił na stadionie im. Fransa Haririego w Irbilu mszę publiczną, jedyną, w której uczestniczyły tłumy – prawie 10 tys. osób, z zachowaniem obostrzeń antycovidowych. Zgodnie z tradycją najlepszych wizyt papieskich głowa Kościoła katolickiego wjechała na stadion w papamobilu. Ojca Świętego powitano owacjami, pieśniami i okrzykami. Powiewały flagi watykańskie, irackie i kurdystańskie. Papież pobłogosławił figurę Madonny

Głowa Kościoła katolickiego udała się osobiście do jednego z największych autorytetów islamu szyickiego.

do muzułmanów, co nie podoba się również tej części katolików, zarówno hierarchów, jak i wiernych, która wcale nie chce zakończyć świętych wojen, będących tysiącletnią tradycją chrześcijańsko-muzułmańską.

Po raz pierwszy w historii papież, zamiast namawiać wiernych na krucjaty i finansować je z własnej kieszeni, promuje model demokratycznego i pokojowego współistnienia, oparty na wolności wyznania i równouprawnieniu wszystkich grup etnicznych,

w drugim dniu wizyty, 6 marca, po spotkaniu z Alim al-Sistanim w Nadżafie. Czytano fragmenty Biblii i Koranu, śpiewano pieśni po arabsku i aramejsku, modlono się w wielu językach. To było jedno z najbardziej sugestywnych spotkań ekumenicznych w historii ludzkości.

W Ur, pomiędzy rzekami Tygrys i Eufrat, w pobliżu Zatoki Perskiej, narodził się Abraham, ojciec trzech religii monoteistycznych i pierwszy z hebrajskich patriarchów, żyjący 2 tys.

► z kościoła w Karemlasz, której dżihadysty obcięli ręce i głowę.

Pomiędzy tymi wydarzeniami papież Franciszek udał się helikopterem do Mosulu i do Karakoszu na Równinie Niniwy. Karakosz był przez stulecia największym miastem chrześcijańskim Iraku. Tam na własne oczy papież zobaczył ogromniszczeń dokonanych przez fundamentalistów islamskich z ISIS, którzy w 2014 r. w ciągu kilku godzin zmusili do ucieczki wszystkich chrześcijan, niszcząc domy i kościoły oraz ważne budynki. Po wyzwoleniu miasta w 2016 r. rozpoczęto odbudowę, m.in. odbudowano największy kościół chrześcijański kraju – katedrę Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, która została spalona przez bojówki dżihadystów i przemieniona w magazyn broni. Z ok. 50 tys.

w Syrii, jak i Iraku, kontrolowała rozległy obszar rozciągający się od północy Bagdadu do bram Aleppo. Al-Baghdadi wezwał wszystkich muzułmanów do zaatakowania niewiernych, znajdujących się nie tylko na terenie Państwa Islamskiego, ale także na całym świecie. Po tej odezwie nastąpiły liczne ataki terrorystyczne na Bliskim Wschodzie i w Europie, które wciąż pamiętamy.

W Mosulu, który już w dawnej Babilonii był prężnym ośrodkiem chrześcijaństwa, doszło do zbrodni oraz wypędzenia mniejszości religijnych i etnicznych. Miasto opuściło prawie pół miliona ludzi (niemal jedna trzecia mieszkańców), w tym ponad 120 tys. chrześcijan. Zburzono wszystkie kościoły i klasztory, pochodzące nawet z V w. Zniszczono zabytki, dzieła sztuki i księgozbiory,

chrześcijan, jezydów i innych – przymusowo wysiedlono lub zabito!”.

Rany trudne do zagojenia

Franciszek udał się do Iraku, by wstawić się za katolikami, których coraz bardziej ubywa w tym kraju i na Bliskim Wschodzie. Ale nie tylko chrześcijanie byli ofiarami. 3 sierpnia 2014 r. dżihadysty odbili z rąk Kurdów miasto Sindżar, leżące pomiędzy Mosulem a granicą syryjską. Było ono domem jezydów, wyznawców monoteistycznej religii będącej mieszanką szyizmu, zaratustryzmu i islamu. Zabito i uprowadzono tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy innych zmuszając do ucieczki. Jezydzi stali się ofiarami handlu, masowych egzekucji, rzezi i gwałtów. Nadal boją się wrócić do swoich domów.

Franciszek traktuje muzułmanów jak braci. Taka nowość budzi opory.

mieszkańców Karakoszu, z których aż 90% było chrześcijanami, do tej pory powróciła mniej niż połowa. Nadal stoją namioty UNHCR dla uchodźców. Najbardziej symbolicznym miejscem papieskiej pielgrzymki był jednak Mosul.

Mosul – triumf pokoju

Jaki piękny był minaret Wielkiego Meczetu Al-Nuri w Mosulu. Nazywano go iracką krzywą wieżą. Wzniesiony w XII w. z cegły, miał wysokość 45 m. Zdobiło go siedem pasów o skomplikowanych wzorach geometrycznych. Wyglądał jak człowiek, który się kłania. Aż nie moge uwierzyć, że widziałam go ponad 20 lat temu, podczas podróży do Iraku. Wtedy Mosul, trzecie co do wielkości miasto leżące nad Tygrysem, na północy kraju, był ośrodkiem wielokulturowym, gdzie współistniały różne religie oraz budowle muzułmańskie, chrześcijańskie i osmańskie. Minarety i dzwonnice kościołów kłaniały się sobie nawzajem.

29 czerwca 2014 r. świat obiegło szokujące wideo, na którym właśnie w Mosulu brodaty Abu Bakr al-Baghdadi ogłaszał narodziny kalifatu i tzw. Państwa Islamskiego. Terrorystyczna organizacja ISIS była wtedy u szczytu ekspansji terytorialnej zarówno

w tym mauzoleum proroka Jonasa oraz część pozostałości archeologicznych Niniwy. Pod względem kulturowego dziedzictwa ludzkość poniosła ogromne straty.

Krzywy minaret został wysadzony w powietrze 21 czerwca 2017 r. przez siły ISIS uciekające z miasta podczas bitwy o Mosul. Miasto wyzwolono miesiąc później. Od tamtego czasu do własnych domów powróciło zaledwie 70 rodzin chrześcijańskich. Boją się wracać, gdyż utracili zaufanie do muzułmańskich sąsiadów.

ISIS w swoich bojowych proklamacjach groziło, że zanieśie wojnę aż do Rzymu. Dlatego pojawienie się Franciszka w Mosulu i modlitwa za wszystkie ofiary wojny na Hosh al-Bieaa, zwanym placem Czterech Zniszczonych Kościołów, były jednymi z najbardziej symbolicznych momentów wizyty apostolskiej w Iraku. Bergoglio przeszedł przez ruiny zniszczonego starego miasta jako pielgrzym pokoju. Modlił się za wszystkie ofiary wojny. Zaapelował do chrześcijan o przebaczenie i powrót: „Braterstwo jest silniejsze od bratobójstwa, nadzieja jest silniejsza od śmierci, pokój jest silniejszy od wojny”. Wyraził ubolewanie, że „ten kraj, kolebkę cywilizacji, nawiedziła tak niehumanitarna burza, w której zniszczono starożytne miejsca kultu, a tysiące ludzi – muzułmanów,

Al-Baghdadi został zabity 27 października 2019 r. podczas operacji „Kayla Mueller”, przeprowadzonej przez siły specjalne USA Delta Force w Syrii, w pobliżu granicy z Turcją. Jednak ISIS nie zostało jeszcze całkowicie rozbite. W tamtych okolicach nadal słychać strzały.

Kiedy zamykam oczy i myślę o minarecie Wielkiego Meczetu Al-Nuri w Mosulu, w pamięci przesuwają się cała seria obrazów: inwazja sił międzynarodowych na Irak (20 marca 2003 r.), tortury w więzieniu Abu Ghraib, tysiące zabitych, ataki bombowe, terroryzm, zwęglone szczątki zbrojonych najemników z firmy Blackwater powieszone na moście u bram Falludży, dwie bitwy o Falludżę, Abu Musab al-Zarkawi, Al-Kaida, zamachy w Nasirii, Bagdadzie, Madrycie, Moskwie, Londynie, Bombaju... powieszenie Saddama Husajna (30 grudnia 2006 r.), wojna domowa sunnitów z szyitami, wycofanie się amerykańskich sił z Iraku, pacyfikacja Hawidży, wybuch wojny domowej w Syrii, proklamacja Państwa Islamskiego w Iraku i Lewancie, czarne flagi ISIS powiewające w wielu miastach Iraku, uchodźcy, zabici, ranni, otwarta wojna z dżihadystami, atak na Samarrę, bitwa o Mosul, oblężenie Kobane, ucieczka cywilów, zniszczenia, zbiorowe egzekucje, podrywanie gardeł, uprowadzenia, gwałty, terror... Migawki z ziemi, która nie może zaznać pokoju.

Agnieszka Zakrzewicz

Nowy amerykański socjal

Plan ratunkowy Bidena to rewolucyjne – jak na USA – rozszerzenie pomocy społecznej i zasiłków



Czyżby prezydent Joe Biden podczas wizyty w firmie Smith Flooring państwa Smithów w Chester w Pensylwanii zastanawiał się, skąd wziąć 2 bln dol. na plan ratunkowy?

Jakub Dymek

Gdy Joe Biden był na progu objęcia urzędu prezydenta, komentatorzy zaczęli zastanawiać się głośno nad jednym pytaniem: w ślady którego demokratycznego poprzednika pójdzie 46. prezydent Stanów Zjednoczonych? Czy będzie bardziej jak Franklin Delano Roosevelt, czy raczej Barack Hussein Obama?

Konsensus – przynajmniej wśród tych przychylnie nastawionych do obejmującego urząd Bidena – przyszedł szybko. Oby nie zafundował nam trzeciej kadencji Obamy! – orzekli. Choć bowiem Obama cieszył się niezwykłą popularnością wśród demokratycznych wyborców i nawet odchodząc z urzędu, miał wysokie wskaźniki poparcia i zaufania, dziś

liczy się co innego. Dwaj historyczni poprzednicy Bidena z ramienia Partii Demokratycznej, Roosevelt i Obama, przejęli stery państwa w obliczu wielkich kryzysów globalnych. I właśnie to podejście do kryzysu jest tym, z czego Amerykanie rozliczać będą rządzących.

Obama do kryzysu sprzed ponad dekady podszedł w zgodzie ze swoim temperamentem uczelnianego wykładowcy, prawnika i merytokratty. Zatrudnił radę ekspertów, kazał im deliberować, a sam – zmuszony także przez zajadłość republikańskiej opozycji – wychodził naprzeciw żądaniom krytyków i szukał kompromisów. To nie wystarczyło do sukcesu. Antykryzysowe działania Obamy ostatecznie nie uratowały amerykańskiej gospodarki, nie wyznaczyły też nowego standardu w dziedzinie

(dobrej) legislacji. Prawica grzmiąca, że Obama rozdaje za dużo i nieskutecznie, lewica zaś, że za mało i nieskutecznie. Pewne jest, że historia nie zapamięta go z odważnych reform ani z bezkompromisowej walki w obliczu katastrofy.

Z Rooseveltem odwrotnie. Choć historycy i badacze spierają się o jego dziedzictwo i prawdziwą cenę rozmachu jego prezydentury, Roosevelt na zawsze kojarzyć się będzie z jednym. Nowym Ładem, którego nazwa do dziś jest synonimem wszystkich ambitnych antykryzysowych wysiłków i tak zapada w pamięć, że nawet prawicowy rząd Mateusza Morawieckiego w 2021 r. w Polsce bez żenady próbuje się nim posługiwać.

Dlatego dobrze życzący prezydenturze Bidena chcą, by przypominała ona raczej wysiłki FDR. Wygląda na

► to, że nowy prezydent właśnie dostał pierwszą szansę i jej nie zmarnował.

Słowo dnia: bilion

W Ameryce wchodzi w życie Plan Ratunkowy Joeego Bidena, czyli ustawa antykryzysowa American Rescue Plan Act of 2021. To zdaniem wielu najambitniejszy program społeczny od przynajmniej półwiecza i „wojny z ubóstwem” prezydenta Lyndona Johnsona. Przewiduje pakiet dotacji, grantów i świadczeń bezpośrednich wart prawie 2 bln – tysiące miliardów – dolarów. W ramach ARPA dofinansowanie mają otrzymać stany, hrabstwa i rządy plemienne, szkoły, małe i średnie firmy, Departament ds. Weteranów i Departament Zdrowia, rolnicy, producenci maszek i sprzętu ochronnego... Lista jest długa. Jednak ważniejsze jest to, jak program Bidena podchodzi do świadczeń dla indywidualnych obywateli i rodzin.

Plan przewiduje pakiet dotacji, grantów i świadczeń bezpośrednich wart prawie 2 bln dol.

„Wydarzyło się dziś coś niezwykłego, co warto uczcić. Mówimy o największej od czasów Roosevelta akcji pomocy dla amerykańskich dzieci i rodzin – pisał Robert Kuttner w centrolewicowym „American Prospect”. – Rok temu powszechny dochód podstawowy wydawał się radykalnym, sekciarskim pomysłem. Cóż, teraz właśnie wprowadzamy go dla dzieci i rodzin. (...) Tylko to policzyć, rodzina z trójką dzieci dostanie teraz prawie 14 tys. dol. rocznie. To rewolucyjne rozwiązanie, które zmusi pracodawców do wielkich podwyżek. (...) Czasami naprawdę coś się udaje. Mamy święto”.

Mowa o bezpośrednich świadczeniach gotówkowych i ulgach podatkowych dla rodzin. Wprowadzenie bezpośrednich zasiłków kryzysowych Amerykanie zawdzięczają jeszcze administracji Trumpa i poprzedniemu Kongresowi – choć oczywiście nikt dzisiaj nie ma zamiaru poprzedniemu prezydentowi za to dziękować. Jednak Biden rozszerza i wydłuża działanie świadczeń kryzysowych i czyni je częścią nowego, mówiąc kolokwialnie, socjału, na jaki mogą liczyć amerykańskie rodziny.

Zarabiający poniżej 75 tys. dol. rocznie dostaną jednorazowo 1,4 tys. dol., pary o dochodach równych lub mniejszych niż 150 tys. dol. otrzymają dwa razy tyle. Kolejne 1,4 tys. dol. wypłacane będzie za każde dziecko lub osobę zależną rodzicowi, opiekunowi lub parze, która ma tę osobę na utrzymaniu. Do tego bezdzietni i single uzyskają (na razie na 2021 r.) wyższą kwotę wolną od podatku, rodzice zaś – wyższe ulgi podatkowe na każde dziecko. Pobierający zapomogę żywnościową – *food stamps*, czyli kartki – mogą się spodziewać dodatkowo 15-procentowej podwyżki tego świadczenia.

Nazwanie tego wszystkiego powszechnym dochodem podstawowym jest pewną przesadą. Wartość zasiłków i sumy ulg podatkowych na dzieci w odniesieniu do pensji minimalnej jest prawie identyczna z wartością 500+ i ulg podatkowych na dzieci w Polsce. Słowem, małżeństwo

lewicowym, prostym w wydźwięku i nakierowanym na pomoc biedniejszemu, obojętnym na obstrukcję i krzyki opozycji.

Ogłaszanie końca neoliberalizmu i nowej postępowej ery – jak mówi się o epoce wzrostu lewicy, związków zawodowych i demokratycznego ustawodawstwa sprzed stu lat – jest nieco na wyrost. Jednocześnie Ameryka odchodzi od neoliberalnego postrzegania świadczeń i pomocy społecznej. Dotychczasowy kanon poglądów na socjał mówił, że musi być jak najmniej, wypłacany jak najrzadziej i najlepiej nie w postaci gotówki. A za optymalną formułę pomocy uznawano cięcia podatkowe – dla pracodawców lub indywidualnych podatników. Czy trzeba dodawać, że sukcesy tego podejścia do zwalczania ubóstwa, wykluczenia i patologii społecznych nigdy się nie zmateriałyzywały? Jednak przekonanie, że nie można dawać niczego, było tak mocno ugruntowane w amerykańskiej debacie publicznej, że nie znalazł się żaden chętny i zdolny do tego, by ów szkodliwy konsensus przełamać. Aż przyszła pandemia.

Dawanie ludziom ulg podatkowych i wakacji kredytowych czy zniżek na ubezpieczenie zdrowotne po prostu straciło sens jako instrument polityki społecznej, gdy gospodarka zamarała, biznesy musiały się zamknąć, a oszczędności gospodarstw domowych wyparowały. Co bowiem miały dać niższe podatki w czasach, gdy ludzie nie pracują? Czynniki zewnętrzny w postaci pandemii skuteczniej niż jakakolwiek polityczna zmiana w samych Stanach Zjednoczonych skruszył wczorajszą ortodoksję i umożliwił administracji Bidena próbę wprowadzenia nowego Nowego Ładu.

Idzie nowe pokolenie

Niektórzy jednak obok wielkiej zmiany, jaką przyniosła pandemia, wskazują także nowy klimat w amerykańskiej debacie w ogóle. Nie byłoby planu ratunkowego, gdyby nie coraz większa popularność lewicowych idei, języka sprawiedliwości społecznej, wielkiego przebudzenia młodego pokolenia, które nawróciło się na bardziej radykalne poglądy. Badania cytowane przez portal FiveThirtyEight, poświęcony statystyce politycznej i matematycznej analizie trendów,

z trójką dzieci otrzyma proporcjonalnie tyle samo względem minimalnych zarobków w USA, ile w 500+ dostaje tak samo liczna rodzina u nas. Ale znaczenie tej reformy wykracza poza jej czysto finansowy wymiar.

Wstyd za poprzedników

W bardzo ciekawym artykule z „New York Timesa” Astead W. Herndon pisze, że demokraci opowiadający się za planem pomocowym mieli kilku przeciwników. Po pierwsze, oczywiście opozycję w Kongresie. Ale, co ważniejsze, walczyli też – metaforycznie rzecz ujmując – z duchem Obamy. Herndon pisze, że właśnie przekonanie o porażce działań antykryzysowych sprzed 10 lat motywowało teraz polityków do bardziej zdecydowanych kroków: „Partijni liderzy, od prezydenta Bidena poczynając, przywołują strategię i główny program Baracka Obamy – wart 800 mld pakiet stymulacyjny – jako przykład błędu, którego nie zamierzają powtórzyć, ustawy zbyt ostrożnej i zbyt koncyliacyjnej wobec republikanów”. Cytowani przez Herdona politycy mówią, że dziś plan ratunkowy musi być projektem bardziej

dowodzą przynajmniej deklarowanej radykalizacji wyborców demokratów.

Więcej osób w tej grupie, wynika z szacunków portalu, wyraża dziś niechęć do miliarderów i kapitalizmu jako takiego, a jedno i drugie skłonne są łączyć z systemowym rasizmem i nierównościami na tle rasy i płci. Zdaniem zwolenników tezy o wielkiej politycznej roli tego przebudzenia –

z kwestii tożsamości temat debaty ostatnich lat – i prowokująca do dyskusji. Ale zarazem nierozstrzygalna. Bo w gruncie rzeczy mamy przed sobą pytanie, czy radykalizacja nastrojów zmusiła partię do pójścia w lewo, czy to kryzys gospodarczy doprowadził do radykalizacji nastrojów. I czy bardziej ambitna polityka antykryzysowa służy wyciągnięciu

państwa a czającą się krytyką, mówiącą o groźnej powtórce z 2008 r. – trzeciej kadencji Obamy. Co bardziej radykalni i socjalistycznie usposobieni publicyści czy sympatycy grzmią, że Biden wciąż jest zakładnikiem neoliberalizmu i robi za mało. Wczesna klęska projektu podwyżki stawki godzinowej do 15 dol. wywołała wiele zrozumiałej goryczy – demokraci przegrali tę sprawę w lutym, jak się wydawało, bez walki.

Jednak ARPA zamknął krytykom usta. Przynajmniej na chwilę. To nie jest rewolucja ani trzęsienie ziemi, ale początek możliwie dobrej i przede wszystkim niezwłocznej kryzysowej pomocy. Kilka tysięcy dolarów jednorazowego zasiłku nie wykarmi Amerykanów i nie wprowadzi jeszcze za oceanem społeczeństwa dobrobytu – ale już teraz daje więcej, niż ktokolwiek odważył się dać w ciągu kilku ostatnich dekad.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

Zarabiający poniżej 75 tys. dol. rocznie dostaną jednorazowo 1,4 tys. dol. Tyle samo będzie wypłacane na każde dziecko.

od słowa *wake*, czyli obudzony lub uświadomiony – właśnie niezgoda na rasizm czy przemoc policji przetała drogę bardziej postępowej polityce gospodarczej. Bo, jak twierdzą, ci, którzy zradykalizowali się w trakcie ulicznych protestów czy na uniwersyteckich kampusach, dziś wiedzą już więcej o gospodarce i polityce społecznej, by i w tych sprawach przesunąć dyskurs polityki i mediów w lewo.

To hipoteza atrakcyjna – szczególnie w głównym nurcie, który uczynił

Ameryki z ekonomicznego dołka, czy ma odpowiadać na roszczenia bardziej lewicowych wyborców. Czy może jedno i drugie – a cele polityki społecznej i polityki tożsamości rzeczywiście zaczęły się zazębiać. Faktem jest, że za Bidena odpowiedzą i tak skutki jego reform, a nie wynik w kwestionariuszu w dziedzinie ideologicznej słuszności.

Na razie nowa administracja sprawnie nawiguje między oczekiwaniem większej i aktywniejszej roli

Na twoich oczach marnieje nasz dom – Ziemia. Obojętność nie jest rozwiązaniem.

Dowiedz się, jak żyć w zgodzie z naturą.

interia ZIELONA

Materiały o ochronie środowiska, wiadomości i ciekawostki z obszarów nauki, technologii i biznesu



TU BIJE SERCE ZIEMI!

www.zielona.interia.pl

Przygotowania do śmierci

Hiszpania i Portugalia idą w kierunku legalizacji eutanazji. I z tej ścieżki już nie zawrócą

Mateusz Mazzini

Pierwsze reakcje były łatwe do przewidzenia. Kiedy w piątek 29 stycznia portugalski parlament zdecydowaną większością głosów przyjął ustawę pozwalającą pacjentom cierpiącym na nieuleczalne choroby oraz znajdującym się w stanie „długotrwałego, przewlekłego bólu” na dobrowolne zakończenie życia, tamtejsza opinia publiczna podzieliła się według schematów typowych dla tematu eutanazji. Już w trakcie posiedzenia przed budynkiem parlamentu zaczęli demonstrować przedstawiciele środowisk *pro-life*. Kilkaset osób trzymało w rękach transparenty z hasłami: „Nie uśmiercajmy, ale leczmy”, „Stop eutanazji” czy „Każde życie zasługuje na godność”. Ich obecność nie była niczym nowym, bo stawiali się w tym miejscu za każdym razem, gdy eutanazja pojawiała się w porządku obrad. I nie zawsze była to obecność bezowocna. Wręcz przeciwnie – w 2018 r. świętowali, kiedy przy okazji poprzedniego podejścia do legalizacji eutanazji obóz liberalny poniósł porażkę. Wtedy przyszłość ustawy o dobrowolnej śmierci do samego końca wisiła na włosku. W 230-osobowym parlamencie poparło ją 110 deputowanych, 115 było przeciwko, czterech nie stawiało się na głosowanie, jeden się wstrzymał. Tym samym Portugalia nie dołączyła do wąskiego grona europejskich krajów, w których pacjenci mogą z własnej inicjatywy poddać się tej procedurze.

Niecałe trzy lata później układ sił w tamtejszej polityce, ale też balans nastrojów społecznych zmienił się diametralnie, a najlepiej pokazują to wyniki kolejnego głosowania. Tym razem rozstrzygnęło się ono w stosunku 136 do 78 na korzyść zwolenników legalizacji eutanazji. Duża

w tym zasługa wyborczego sukcesu Partii Socjalistycznej rok wcześniej. W 2019 r. wygrała wybory do parlamentu, zdobywając 36,4% poparcia i powiększając swój stan posiadania aż o 22 mandaty. Jeszcze w trakcie tamtej kampanii premier António Costa, pozostający na stanowisku nieprzerwanie pięć i pół roku, zapowiedział, że do kwestii dekryminalizacji procedur medycznych pozbawiających życia pacjentów na ich świadomą prośbę wróci w kolejnej kadencji. Co zresztą zrobił, tym razem wygrywając batalię w parlamencie bez większego problemu.

Nie znaczy to jednak, że debata na temat eutanazji w Portugalii została już zakończona. Po pierwsze, nawet wśród jej zwolenników długo nie było zgody co do ostatecznej treści ustawy. Zwyciężyła opcja umiarkowana, zakładająca legalizację procedury w przypadku nieuleczalnych chorób, przewlekłego i niemożliwego do zniesienia bólu. Żeby ją przeprowadzić, pacjent musi mieć ukończone 18 lat i – co ważne – być

Żeby przeprowadzić eutanazję, pacjent musi mieć ukończone 18 lat i – co ważne – być obywatelem lub pełnoprawnym rezydentem Portugalii.

obywatelem lub pełnoprawnym rezydentem kraju. Autorzy ustawy wykluczyli w ten sposób możliwość uprawiania eutanazyjnej turystyki medycznej – zjawiska całkiem powszechnego chociażby w Szwajcarii, gdzie legalne jest tzw. samobójstwo wspomagane. Te dwie procedury łatwo pomylić, choć nie zawsze odnoszą się do tych samych przypadków. Zasadniczo odróżnia je od siebie to, kto dokonuje aktu pozbawienia życia. W eutanazji robi to lekarz, w samobójstwie wspomaganim – sam pacjent. W obu przypadkach jednak

osoby chcące poddać się zabiegowi muszą mieć zdiagnozowane poważne dolegliwości medyczne.

W świecie procedur terminalnych istnieje jeszcze trzeci rodzaj śmierci na życzenie, zwany samobójstwem racjonalnym. I właśnie on wzbudza najwięcej kontrowersji, bo nie musi być tak naprawdę związany z żadnym nieuleczalnym schorzeniem. Jego propagatorzy, w tym znany austra-

lijski fizyk mieszkający na co dzień w Holandii, dr Philip Nitschke, uważają, że prawo do śmierci w wybranych przez siebie warunkach i momencie jest fundamentalną wolnością przysługującą każdemu człowiekowi. Wokół tej idei powstały coraz popularniejsze ruchy, z prowadzoną przez Nitschkego organizacją Exit International na czele. Organizuje ona na całym świecie warsztaty instruujące chętnych, jak w sposób bezbolesny samodzielnie pozbawić się życia. Pracuje też nad przygotowaniem pierwszej samoobsługowej maszyny





Demonstracje przedstawicieli środowisk *pro-life* pod parlamentem w Lizbonie.

do samobójstwa. SARCO, bo tak nazywa się wynalazek, który Nitschke umieścił nawet w 2019 r. na Biennale w Wenecji, to wydrukowany w 3D sarkofag z wbudowanym przyciskiem włączającym dopływ azotu do wnętrza komory. Pacjent umiera na skutek zmiany proporcji gazów – stopniowa zamiana tlenu na azot powoduje śmierć, choć jest ona kompletnie bezbolesna. Sam Nitschke wielokrotnie opisywał nawet w wywiadach, że osoby dokonujące samobójstwa w takich warunkach odchodzą wręcz w stanie lekkiej euforii, przypominając rozweselenie po spożyciu niezbyt dużej dawki alkoholu.

Do legalizacji racjonalnego samobójstwa jeszcze jednak daleko – i słowo legalizacja użyte jest tutaj nieprzypadkowo, wszak niedawno całkiem powszechne było pośmiertne karanie samobójców różnymi instrumentami prawnymi, takimi jak unieważnienie testamentu i konfiskata majątku. Na razie dyskusja – w Portugalii, ale również w innych krajach – toczy się na temat legalności eutanazji. I akurat w przypadku tego małego iberyjskiego państwa przez jakiś czas potrwa, bo, jak okazało się w połowie marca, miażdżąca wygrana w parlamencie sprawy nie rozwiązała.

Zanim bowiem ustawa wejdzie w życie, musi zostać podpisana przez prezydenta. Marcelo Rebelo de Sousa nie poparł jej jednak w sposób jednoznaczny. Zaraz po głosowaniu stwierdził wprawdzie, że decyzję parlamentu zamierza uszanować, ale jeszcze w lutym postanowił ją odesłać do Trybunału Konstytucyjnego. Argumentował, że ustawa jest „niesamowicie nieprecyzyjna” i może stać w sprzeczności z ustawą zasadniczą.

Portugalska konstytucja, napisana w wyraźnym duchu katolicyzmu i społecznego konserwatyzmu, uznaje każde życie za „święte i nienaruszalne”. Z jednej strony, może to więc blokować drogę do eutanazji, z drugiej – nie stanowiło problemu, gdy kraj legalizował w 2007 r. aborcję na życzenie do 10. tygodnia ciąży lub kiedy zezwalał na zabiegi in vitro rok wcześniej. Rebelo de Sousa uznał, że sam tych wątpliwości nie może rozstrzygnąć. Zwłaszcza że o wsparcie trybunału apelowali nawet ci, którzy ustawę poparli, w tym niektórzy członkowie Partii Socjaldemokratycznej (wbrew nazwie będącej ugrupowaniem raczej centroprawicowym). I tutaj doszło do rozłamu, bo większość jej deputowanych

była przeciwko, mimo że Rui Rio, lider partii, zagłosował za legalizacją. Z Partii Socjaldemokratycznej wywodzi się też prezydent Rebelo de Sousa, w związku z czym dyskusję o eutanazji w Portugalii rozpatrywać należy także przez pryzmat personalnych sporów politycznych.

15 marca sędziowie Trybunału Konstytucyjnego opublikowali swoje stanowisko, dzieląc punkt widzenia konserwatystów. Ustawa jest nieprecyzyjna – pisali w uzasadnieniu. Dla jej autorów najważniejsze było jednak co innego. Trybunał, choć projekt wyrzucił do kosza, nie zrobił tego z powodu uznania życia za wartość nienaruszalną i wymagającą pełnej, nieustannej ochrony prawnej. Jego przewodniczący, sędzia João Pedro Caupers, podkreślił, że „prawo do życia nie może być przekładane na obowiązek życia w każdych warunkach”. Oznacza to, że na przeszkodzie tak naprawdę nie stoją kluczowe w tej kwestii zapisy konstytucyjne. Socjaliści otrzymali więc drugą szansę. Ustawę zapewne napiszą od nowa, być może, wzorem innych krajów, do kryteriów eutanazji dopiszą obowiązkową, wieloetapową konsultację z psychologiem. Prawdopodobnie zapiszą również coś na kształt klauzuli sumienia. Portugalia jest wciąż krajem katolickim, w którym Kościół nie przestaje zajmować ważnego stanowiska w sprawach światopoglądowych. Możliwe zatem, że pracownikom medycznym, którzy ze względów religijnych nie będą chcieli przeprowadzać zabiegów eutanazji, przyznana zostanie możliwość odmowy.

Mało prawdopodobne jednak, żeby marцова decyzja Trybunału Konstytucyjnego oznaczała porażkę zwolenników depenalizacji śmierci na życzenie w określonych przypadkach. Według sondażu przeprowadzonego nieco ponad rok temu, w lutym 2020 r., na zlecenie telewizji informacyjnej SIC Notícias aż 59% Portugalczyków opowiada się za legalizacją eutanazji. Większość – 56,6% – chce też, żeby sprawę rozstrzygnął właśnie parlament. Opcję referendalną poparło jedynie 43,4% respondentów. Portugalskie społeczeństwo bez wątpienia weszło więc na ścieżkę liberalizacji światopoglądowej. I kroczy nią szybko i zdecydowanie.

► Prawie tak zdecydowanie jak jego sąsiedzi z Półwyspu Iberyjskiego. W grudniu ubiegłego roku bliska legalizacji eutanazji była bowiem Hiszpania. Podobnie jak w Portugalii na temat depenalizacji śmierci wspomaganej medycznie w przypadkach chorób terminalnych toczyły się debaty od ponad dekady, jednak dopiero rządzący obecnie krajem koalicyjny gabinet premiera Pedra Sanchez'a ruszył z legislacyjną ofensywą. I tu linie podziału przebiegały w sposób niemal tradycyjny. Ludowcy z PP, spośród których wielu pozostaje w bliskich stosunkach z Kościołem katolickim, należy również do Opus Dei, kwestionowali nie tyle ideę pozbawiania kogoś życia na jego wyraźną prośbę, ile sam fakt poddawania takich tematów dyskusjom politycznym. Lider ugrupowania Pablo Casado krytykował Sanchez'a za wchodzenie z butami w życie prywatne Hiszpanów. Jeszcze bardziej radykalny był Santiago Abascal, szefujący skrajnie prawicowej formacji Vox. Dla niego eutanazja to zamach na życie, wartość najwyższą i nienaruszalną.

Głosy te jednak i w Hiszpanii stanowią teraz mniejszość. Grudniowe głosowanie w Izbie Deputowanych zwolennicy eutanazji wygrali 198 do 138. Tym samym zrobili krok w kierunku legalizacji zabiegów obwarowanych podobnymi, choć znacznie bardziej precyzyjnymi kryteriami medycznymi i etycznymi. Hiszpańska

wpisali do niej klauzulę sumienia, zezwalającą na odmowę uczestnictwa w procesie z powodów etycznych bądź religijnych. Teraz czekają na decyzję Senatu, w którym jednak ustawa może co najwyżej zostać lekko zmodyfikowana. Jej zupełne odrzucenie jest politycznie nierealne, mimo że rządząca większość jest eklektyczna i mocno chwiejna. Sama koalicja ma tam 115 z 265 mandatów, popierając ją mniejsze ugrupowania lewicowe dokładają kolejne 34. Opozycja to z kolei zwarte 116 głosów. Matematy-



Pierwsza samoobsługowa maszyna do eutanazji o nazwie SARCO to pomysł dr. Philipa Nitschkego.

ka jest więc po stronie obozu progresywnego. Wszystko wskazuje na to, że 2021 okaże się rokiem legalizacji eutanazji dla obu państw Półwyspu Iberyjskiego.

Ruchy te należy jednak wpisać w szerszy kontekst zmian społecznych w tej części świata. I wykorzystać do zadania pytania, co eutanazja, a wcześniej legalizacja związków jednopłciowych, aborcji czy in vitro,

oskarżanego o obrazę majestatu rodziny królewskiej i sprzyjanie organizacjom terrorystycznym. Hasél, który w swoich tekstach wychwala komunistycznych liderów, nawołuje do zniszczenia systemu kapitalistycznego, a króla emeryta Juana Carlosa nazywa szefem organizacji przestępczej, raz za razem uderza w czułą strunę hiszpańskiego społeczeństwa. Zmęczeni dekadami wysokiego bezrobocia, koniecznością emigracji i brakiem szans na ekonomiczną samodzielność młodzi Hiszpanie wyszli na ulicę, żądając wolności dla swojego barda. Przy okazji spalili wiaty przystankowe i zdewastowali kilka bankomatów, ale dali do zrozumienia, co ich boli najbardziej. A boli ich to, jak traktuje ich władza. Każda, od lewa do prawa. Domagają się redefinicji relacji państwo-jednostka. A przede wszystkim ochrony ich godności.

Legalizacja eutanazji jest krokiem w tym kierunku. Do godności odwołał się w grudniu lider centrowej partii Ciudadanos Albert Rivera, mówiąc, że zapewnienie godnej śmierci jest obowiązkiem instytucji państwowych. Godność umierającym chcą za pomocą eutanazji przywrócić także politycy w Portugalii. W obu krajach mowa jest też o procesie dojrzewania tamtejszych demokracji. Bo nie wolno zapomnieć, że oprócz bliskich związków z Kościołem liderzy polityczni długo nosili tam mundury, nawet już po transformacjach ustrojowych armia potrafiła epizodycznie odgrywać kluczowe role w kształtowaniu tamtejszej rzeczywistości, choć ta teoretycznie należała wówczas do cywilów. Jeśli więc zarówno Hiszpanii, jak i Portugalii uda się zalegalizować eutanazję, przy zachowaniu reguł demokratycznej gry i z poszanowaniem praw tych, którzy stoją na przeciwnych pozycjach ideologicznych, będzie to dowód, że demokracja na Półwyspie Iberyjskim jest coraz stabilniejsza. A jednocześnie wciąż ewoluuje i ewoluować musi. Bo, jak śpiewał Pablo Hasél, walka o własne prawa musi trwać bez przerwy.

Hiszpańska procedura eutanazji od każdego chętnego wymagać będzie aż poczwórnej deklaracji w ciągu zaledwie 15 dni.

procedura eutanazyjna od każdego chętnego wymagać będzie bowiem aż poczwórnej deklaracji w ciągu zaledwie 15 dni. Dwa pierwsze zgłoszenia rejestruje się samodzielnie, dwa kolejne, potwierdzające chęć odejścia, odbywają się już w obecności lekarzy. Tak samo jak w Portugalii pacjent musi mieć skończone 18 lat, obywatelstwo lub prawo stałego pobytu w kraju oraz być w pełni poczytalny, świadomy swoich decyzji. Hiszpanie już na poziomie pierwszej ustawy

mówi o tych krajach, swego czasu uznawanych za bastiony katolicyzmu, całkiem niedawno rządzonych przez faszystowskie dyktatury, których przywódcy mieli na ustach słowo Boże. To jasny dowód, że społeczeństwa te nie tylko się liberalizują, ale też prą w kierunku zmiany relacji pomiędzy władzą i obywatelem. Pisząc dzisiaj o Hiszpanii, nie można nie wspomnieć o trwających kilkanaście dni protestach po aresztowaniu kontrowersyjnego rapera Pabla Haséla,

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Rzecznik praw rzek, drzew, traw

Wzieniu zmagania o wybranie na stanowisko rzecznika praw obywatelskich następcy (następczyni) Adama Bodnara, który tak by nie uwierzał obecnej władzy jak ówże, pojawiają się pomysły na nowych rzeczników, choćby rzecznika praw zwierząt. Sam taką listę marzeń opiekuńczych mógłbym ciągnąć długo. Nie jest jedynym problemem to, że funkcje te – kontrolne, nadzorujące, pytające, podważające, krytykujące, oceniające, interweniujące – działają niemal wyłącznie wtedy, kiedy są sparowane z osobistymi walorami merytorycznymi i charakterologicznymi sprawujących je osób. Dlatego Bodnar działał i rządzący nie mogą się doczekać, kiedy wymienią go na model uległy, rzecznikopodobny, co doskonale udało się wcześniej w przypadku rzecznika praw dziecka, którego *de facto* nie ma, jego głosu nie słysząc, działań nie widząc, efektów brak. Po prostu pisowski ideał. Dobrze, że chociaż nie skupuje domów i działek, bo – jak się okazuje – na tym ostatnio polega model służby publicznej. Kupić tanio dzięki funkcji publicznej, wyposażyć za unijne środki dla kogoś naprawdę potrzebującego, to już metoda, nie eksces – legenda przeważała prywatnych, szef Orlenu, niedoszły premier Obajtek, cesarz Pciimia, zakupiony pensjonat w Łebie wyposażył za unijne pieniądze na pomoc rybakom; wcześniej Marian Banaś, obecnie nie do ruszenia prezes NIK, wyposażył swój dom schadzek w Krakowie za unijne wsparcie dla domu pielgrzyma.

Wracając do projektu powstania kolejnej instytucji rzecznikowskiej, to akurat wybór takiego obrońcy praw zwierząt wydaje się czymś bardzo ważnym i potrzebnym. Systemowe podejście do złego traktowania i lekceważenia dobrostanu (nie mówiąc o życiu w przypadku zwierząt tzw. hodowlanych) zwierząt w Polsce wymaga równie systemowych zmian – same się nie dokonają.

Tak jak jestem głęboko przekonany, że zmiany winny dotyczyć całej przestrzeni związanej z relacją człowiek-natura (a właściwie z cywilizacyjnym stereotypem tej relacji, dychotomii, którą zawdzięczamy i starożytnym Grekom, i całym tym naszym nieszczęsnym fundamentem judeo-chrześcijańskim), tak równocześnie widać, że aby ta zmiana była realna i nieodwleczona w niedającej się przewidzieć przyszłość, należy się koncentrować na pomniejszych grupach, problemach, zjawiskach. Nikt nigdy nie napisze skutecznego paragrafu broniącego po prostu natury, ale już psa, kota, wilka, niedźwiedzia – owszem.

Co śmieszniejsze, czyli tak naprawdę tragiczne, w dużej mierze takie dobre prawo mamy, ale nie jest ono respektowane, egzekwowane, nadzorowane. Prawo prawem, ochrona wilka ochroną (ten gatunek objęty jest akurat ścisłą), a potem leśniczy powie przez telefon, że można strzelać, ponieważ słyszał przez telefon, że wilki zagryzły wiejskie psy i dwóch pilarzy widziało te wilki niedaleko i bardzo się bało. I całe prawo znika w jednej chwili, w ciągu sekundy, kiedy kula zabija jakieś wilki, bo nawet nie wiadomo, czy akurat te, które tak przerażyły dzielnych pilarzy.

Truizmem jest powtarzanie, że człowiek okazał się najokrutniejszym i najbardziej nieprzewidywalnym drapieżnikiem w historii naszej planety: dokonuje zagłady wewnętrzniegatunkowej na niewyobrażalną skalę, degraduje przyrodę zarówno w jej wymiarze zwierzęcym, jak i roślinnym, za jego sprawą giną całe gatunki zwierząt i drzew.

Najbardziej sensowne byłoby powołanie rzecznika praw świata i natury przed zakusami i działaniami homo sapiens.

Giną puszcze, lasy, zagajniki, aleje przydrożne, drzewa przed domem, na rynkach. Człowiek demuluje lasy, rzeki, góry, morza i oceany, powietrze, glebę. Wszystko. I jeszcze się dziwi, kiedy musi się skonfrontować z konsekwencjami swoich destrukcyjnych działań.

Być może ten nasz gatunek, zasłużony na wymarcie, wymiera szmatycznie, wybijając i niszcząc, co wokół się da i co jeszcze żyje. Być może zatem najbardziej sensowne byłoby powołanie rzecznika praw świata i natury przed zakusami i działaniami *homo sapiens*. Obawiam się jednak, że na to za późno. Poza tym człowiek nie sprawia wrażenia zaniepokojonego skalą zagłady, którą serwuje wszem wokół. To mu nie spędza snu z powiek. Zachowuje się, jakby chciał zachować się tak, jak się nauczył w królestwie konsumpcji. Zepsuł się odkurzaczy, samochód, domek nie wystarcza? Kupię sobie nowy, świat jest pełen nowych światów.

Ludzie powinni założyć globalne komitety samoobrony społecznej przed nami samymi. Ale tak się nie stanie. Brońmy więc zwierząt, rzek, traw, puszczy, łąk, ptaków, ryb – dopóki wciąż z nami są. I drzew, bo dają nam życie.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Niechlubne dziedzictwo bratanków

W Polsce nie mówi się o roli Węgier w prześladowaniu i Zagładzie europejskich Żydów



Deportacja Żydów. Budapeszt, 1944 r.

Bartosz Konieczka

O roli Węgier w II wojnie światowej wiemy w Polsce niewiele. Nad Wisłą przypomina się głównie o pomocy niesionej polskim uchodźcom przez węgierskie władze, o podejmowanych przez polskie podziemie i węgierską armię epizodach współpracy w okupowanym kraju czy o snutych w latach 1943-1944 planach zerwania przez reżim regenta Miklósa Horthyego sojuszu z III Rzeszą. Trzymając się hasła „Polak, Węgier – dwa bratanki”, polscy badacze wolą nie wspominać o tym, co kładzie się cieniem na pozytywnym wizerunku tego najważniejszego w Europie Środkowej sojusznika Hitlera, a w szczególności o roli

Węgier w prześladowaniu i Zagładzie europejskich Żydów.

Prześladowania i obozy internowania

Po I wojnie światowej ludność żydowska na Węgrzech została obwiniona o uczestnictwo w komunistycznej rewolucji, wywołanej w 1919 r. przez Bélé Kuna. Według szacunków Raphaela Pataia w wyniku „białego terroru” rozpętanego w sierpniu 1919 r. po obaleniu Béli Kuna ok. 5 tys. osób zginęło, a ponad 70 tys. znalazło się w więzieniach i obozach internowania. Wiele ofiar tych prześladowań było pochodzenia żydowskiego.

Włoscy historycy Giorgio Agamben i Enzo Traverso, których cytuje

w publikacji „The White Terror. Antisemitic and Political Violence in Hungary 1919-1921” („Antysemityzm i przemoc polityczna na Węgrzech 1919-1921”) węgierski badacz Béla Bodó, widzą bezpośrednie związki pomiędzy obozami internowania z okresu I wojny światowej i nazistowskimi obozami pracy i zagłady w trakcie II wojny światowej. Zwracają oni uwagę na podobieństwa między tymi dwiema instytucjami: obie były przestrzenią przemocy. W obu rodzajach obozów aktywność fizyczna więźniów i relacje społeczne były ściśle monitorowane i ograniczone. Zarówno obozy internowania na Węgrzech, jak i obozy pracy i zagłady w Niemczech budowano z dala od głównych linii kolejowych i szlaków komunikacyjnych. Węgierskie obozy

lokowano w tych regionach, które stały się w 1919 r. areną publicznych egzekucji i pogromów.

Poza budową sieci obozów internowania dla Żydów wprowadzono prawo, które stało się prelude do uchwalenia ustaw antyżydowskich u schyłku lat 30. Już w 1920 r. rozpoczęła się prawna dyskryminacja ludności żydowskiej. Ograniczono liczbę Żydów, którzy mogli być przyjmowani na uniwersytety (*numerus clausus*). Węgry były jednym z pierwszych krajów wprowadzających podobne ograniczenia i różnicujących dostęp do usług publicznych w zależności od pochodzenia obywateli.

Okres pierwszych prześladowań Żydów w międzywojniu zakończył się w 1921 r. wraz z objęciem teki premiera przez Istvána Bethlena, który dążył do modernizacji węgierskiej gospodarki i w tym celu zamierzał współpracować także z ludnością pochodzenia żydowskiego, która stanowiła znaczny procent ludności miejskiej – w samym Budapeszcie ok. 16%. Według statystyk

nie doszły do skutku z powodu jego śmiertelnej choroby.

Pierwsze ustawy

Pierwsze ustawy antyżydowskie pojawiły się na Węgrzech w drugiej połowie lat 30. i na początku lat 40. 29 maja 1938 r. weszła w życie ustawa, która przewidywała, że zatrudnienie Żydów w gospodarce i ich udział w wolnych zawodach powinny zostać ograniczone do 20% pracujących w poszczególnych profesjach. Na mocy kolejnej ustawy, obowiązującej od 4 maja 1939 r., zmniejszono dopuszczalny udział Żydów w gospodarce do 6%. Jeszcze dalej w ograniczaniu praw ludności żydowskiej szli autorzy ustawy z 23 lipca 1941 r., która wprowadzała rasowe kryteria oceny, czy ktoś jest Żydem, czy nie. Dotychczasowe prawo określało jedynie, że za Żyda uznaje się osobę w otwarty sposób manifestującą żydowską tożsamość bądź której rodzice lub dwoje dziadków było pochodzenia żydowskiego.

Prawna dyskryminacja ludności żydowskiej rozpoczęła się już w 1920 r.

przytaczanych w 1966 r. na łamach „Jewish Social Studies” przez Bernarda Kleina w połowie lat 30. żydowskie pochodzenie miało 54,5% lekarzy, 49,2% prawników, 30,4% inżynierów, 31,7% dziennikarzy i 28,9% muzyków.

Politykę Bethlena krytkowała węgierska skrajna prawica, która domagała się ograniczenia roli Żydów w życiu gospodarczym. W 1932 r. nowym premierem został Gyula Gömbös, znany z antysemickich poglądów. Gömbös planował m.in. rozwiązanie parlamentu i wprowadzenie antyżydowskiego ustawodawstwa, a w polityce międzynarodowej dążył do sojuszu z Włochami, Austrią, a następnie Niemcami. To za jego kadencji Węgry udzielały wsparcia rewizjonistycznym planom dążących do rozbicia Jugosławii przez chorwackich ustaszy, a w komitacie Zala działał obóz szkoleniowy Janka-Pusztza.

W ciągu kilku lat Gömbös stworzył zagrożenie dla rządzącego w Budapeszcie regenta Miklósa Horthyego. Snuł nawet plany zwróconego przeciw Horthyemu przewrotu, które

Od wiosny 1939 r. trwały przygotowania do stworzenia na Węgrzech systemu pracy przymusowej, pomyślanego jako alternatywa wobec służby wojskowej dla Żydów. Formacje paramilitarne utworzone na mocy dekretu z 12 maja 1939 r. nazwano Systemem Służby Prac Publicznych (KMFO). Żydzi, stanowiący zdecydowaną większość kadr KMFO, pełnili wiele funkcji na froncie wschodnim w toczącej się od 1941 r. wojnie państw Osi z ZSRR. Byli szoferami, mechanikami, wykorzystywano ich do transportowania broni i amunicji, usuwania drzew, przygotowywania okopów, opieki nad rannymi czy prac saperskich. Zarazem nie zadbano o to, aby mieli wystarczająco dużo ciepłej odzieży czy pożywienia. Począwszy od 1942 r. węgierscy Żydzi służący w formacji musieli za to nosić opaski – żółtą i białą, przeznaczoną dla chrześcijan pochodzenia żydowskiego. Podobny obowiązek na terenie samych Węgier wprowadzono dopiero po interwencji wojskowej Wehrmachtu w kwietniu 1944 r.

W społeczeństwie węgierskim, a więc także w węgierskiej armii,

powszechny był antysemityzm. Jego skutkiem były m.in. wydarzenia z początku 1942 r. w okupowanym przez wojska węgierskie jugosłowiańskim Nowym Sadzie. Pomiędzy 4 a 29 stycznia 1942 r. miały tam miejsce masowe egzekucje ludności serbskiej i żydowskiej, które objęły w sumie ok. 4 tys. osób. Ich inicjatorem był gen. Ferenc Fékéthalmy-Czeydner, a jednym z głównych sprawców jego zastępca, gen. József Grassy. Węgierski Trybunał Narodowy w 1946 r. skazał Czeydniera i Grassyego na karę śmierci, dożywocie otrzymał natomiast trzeci sędziona za udział w zbrodni generał – Ferenc Szombathelyi. Wszyscy zostali przekazani Jugosławii i tam skazani na śmierć oraz straceni. O większym szczęściu mógł mówić kapitan żandarmerii Sándor Képiró, oskarżony o współudział w egzekucji 1,2 tys. Żydów, Romów i Serbów w Nowym Sadzie, do której doszło 23 stycznia 1942 r. Képiró był nieobecny podczas procesu i został skazany *in absentia* na 14 lat pozbawienia wolności. Ukrywając się

przez lata przed wymiarem sprawiedliwości, w 2011 r. został ponownie oskarżony, tym razem

już przed sądem demokratycznych Węgier. Nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i został uniewinniony z braku dowodów. Chociaż prokurator żądał dla niego dożywocia, sąd przychylił się do wniosku obrońcy, który podnosił fakt, że Képiró już raz został skazany za to samo przestępstwo. Sam oskarżony uznawał formułowane przeciwko niemu oskarżenia za kłamstwa. Kiedy krótko po procesie Képiró zmarł, jego adwokat przedstawiał zbrodniarza jako ofiarę, przypisując winę za śmierć schorowanego wojskowego mediom, które w jego opinii miały się przyczynić do zaszczucia byłego żandarma. Najpoważniejszy cios reputacji Képiró zadała literatura – w głośnej powieści węgierskiego pisarza Tibora Cseresa „Zimne dni” został on ukazany jako jeden z głównych czarnych charakterów tamtych dni.

Droga do Oświęcimia

Nowy Sad to niejeden przykład węgierskiej zbrodni na Żydach z okresu II wojny światowej. 19 marca 1944 r. rozpoczęła się wojskowa

► okupacja Węgier przez Wehrmacht. Miklós Horthy, widząc, że klęska Niemiec i całego obozu państw Osi jest coraz bliżej, podejmował próby wyrwania się z sojuszu z III Rzeszą. Od 1942 do 1944 r. premierem Węgier był Miklós Kállay, który dążył do rozluźnienia więzów łączących Królestwo Węgier z państwami Osi. Węgrzy od 1943 r. prowadzili nawet rozmowy z Polakami z działającą na ich terenie bazy Armii Krajowej (kryptonimy „W”, „Romek”, „Liszt”), reprezentowanej przez por. Andrzeja Józefa Sapiehę, „Tokaja”. Ze strony węgierskiej w negocjacjach uczestniczył gen. Ferenc Szombathelyi, który widział możliwość dostarczenia AK broni wiosną 1944 r. Plany te pokrzyżowała niemiecka inwazja, a następnie, po podjętej 15 października 1944 r. próbie przejścia Węgier na stronę aliantów, dojście do władzy faszystowskiej organizacji strzałokrzyżowców Ferencza Szálasięgo. Odtąd węgierskim Żydom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jeszcze pod rządami Horthyego, pomiędzy 14 maja a 9 lipca 1944 r., Niemcy wywieźli do Auschwitz-Birkenau 437 402 węgierskich Żydów. Natomiast Instytut Yad Vashem podaje, że po objęciu rządów przez Szálasięgo 76 tys. Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci – zostało aresztowanych, a potem pod przymusem i wojskowym nadzorem wysłanych w marszach śmierci w kierunku

dawnej granicy z Austrią, w okresie II wojny światowej – z Niemcami. Osoby zbyt słabe, by iść dalej, były zabijane na miejscu. Taki los spotkał np. bitego przez węgierskiego żandarma poetę Miklósa Radnótiego, który 9 listopada 1944 r. został rozstrzelany podczas selekcji we wsi Abda. Ciało rozpoznano po latach przy pomocy jego żony, Fanni Gyarmati, która rozczytała pismo męża

Jeszcze pod rządami Horthyego, między majem a lipcem 1944 r., Niemcy wywieźli do Auschwitz-Birkenau 437 402 węgierskich Żydów.

z notesu, w którym niemal do końca zapisywał wiersze, po części przeznaczone dla niej. Jeden z nich nosi tytuł „Korzeń”:

*Z kwiatka stałem się korzeniem,
Mam nad sobą ciężką ziemię,
Dopełniony jest mój los
Płacze piły ciemny głos.*

(„Spienione niebo”, przeł. Tadeusz Nowak, Kraków 1980).

20 tys. Żydów rozstrzelano nad brzegiem Dunaju, podczas nocnych egzekucji w Budapeszcie. Wspominając przejęcie władzy przez Szálasięgo i późniejsze konsekwencje tego faktu dla ludności żydowskiej, Paul Lendvai, autor opublikowanej w „Polityce” relacji „Zagłada węgierskich Żydów”, opisuje obojętność, z jaką zetknęły się ofiary tych mordów. Ich śmierć

Węgrzy mogli oglądać na własne oczy. Tymczasem atmosfera panująca w stolicy nie wskazywała na rozgrywający się w niej dramat: „Wszystkie kroniki tej strasznej zimy (...) odnotowują, że w czasie gdy mordowano tysiące ludzi, a ze wschodnich przedmieść Budapesztu dochodziła kanonada artyleryjska, na budapeszteńskich stadionach rozgrywano mecze piłkarskie,

otwarte też były kina, teatry, restauracje i kawiarnie. Tuż przed Bożym Narodzeniem plakaty w księgarniach zapowiadały nowości. (...) Choć do ostatniej chwili trwały egzekucje, to kluby nocne i winiarnie były pełne”.

Lendvai wspomina o pomocy udzielanej szukającym ratunku Żydom przez dyplomatów i przemysłowców. Wśród nich znalazł się zatrzymany w późniejszym czasie przez NKWD sekretarz ambasady Szwecji Raoul Wallenberg, któremu życie zawdzięcza 10 tys. Żydów, szwajcarski konsul na Węgrzech Carl Lutz, który uratował nawet 30 tys. osób czy Włoch Giorgio Perlasca, podający się pod nieobecność hiszpańskich dyplomatów w Budapeszcie za przedstawiciela Hiszpanii, Jorge Perlasę, któremu istnienie zawdzięczało 3-5 tys. Żydów. Wydawali oni Żydom prawdziwe i fałszywe paszporty, certyfikaty imigracyjne uprawniające do wyjazdu do Palestyny. Perlasca osobiście udzielał też schronienia osobom pochodzenia żydowskiego, nieraz ratując im życie dzięki połodniowemu temperamentowi, pozwalającemu mu grozić Niemcom i Węgom.

Dzięki takim osobom udało się uratować niemal połowę Żydów zamieszkujących węgierską stolicę. Niestety, były to szlachetne jednostki, ich działania nie miały związku z postawami samych Węgrów, którym dzisiaj trudno jest przyznawać się do niechlubnego dziedzictwa przodków.

Bartosz Konieczka

Za ogrom informacji użytecznych przy pisaniu tego artykułu oraz inspirację do podjęcia jego tematu autor dziękuje pani dr Kindze Piotrowiak-Junkiart z UAM w Poznaniu.

Zarząd Główny
**Stowarzyszenia
Dziennikarzy
Rzeczypospolitej Polskiej**
prosi o 1%
podatku dochodowego
dla dziennikarzy seniorów

KRS 0000043110



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Tasiemiec

Wolne media wyciągają Danielowi Obajtkowi, piśmowskiemu szefowi Orlenu, kolejne nieruchomości jak tasiemca: pałace, pałacyki, apartamenty, działki. A to dopiero początek zabiegu. Straszny widok. PiS mówi, że owo wyciąganie z Obajtka „tasiemca” to oczywiście spisek, że stoją za tym jakieś obce, wrogie siły.

Komisja Macierewicza przypomina zardzewiałą łódź podwodną; znika w odmętach czasu, by nagle wystawić peryskop. Teraz jest konflikt w komisji, czy zakupić w Rosji żywą brzozę i przewieźć ją do Stanów, by tam przeprowadzić eksperyment symulujący rozbicie się samolotu pod Smoleńskiem. A ja jestem za tym, by słynną brzozę, już zgrubiałą, przenieść z korzeniami i zasadzić w muzeum największych polskich absurdów. Niewykluczone, że w jej gałęziach objawi się Matka Boska.

•
Czytam „À propos niczego”, autobiografię Woody’ego Allena, jakby wbrew poprawności politycznej. Bo przecież nawet aktorzy odmawiają grania w jego filmach. Miał molestować córkę Dylan. Na dodatek ożenił się ze swoją inną córką, przybraną, koreańską, Soon Yi. Książka chwilami bardzo zabawna. Bliski mi jest Allen w odczuwaniu absurdu istnienia. Dużo pisze o filmach, jak je kręcił; książka pełna dygresji, słysząc niemal jego charakterystyczny głos, pokręcona, inteligentna, błyskotliwa, ale wszystko zdaje się po to, by napisać dwa rozdziały, osobiste i ekshibicjonistyczne, gdzie tłumaczy się i dowodzi, że nie molestował córki. Piśmo o związku z Mią Farrow, który stał się nieszczęściem jego życia. Dowodzi, jak szalona jest aktorka, opresyjna wobec dzieci, jak prała im mózgi. Stanowczo zaprzecza, że molestował. I robi to przekonująco, a chwilami poruszająco. Wierzę mu. I nie wierzę. Niestety, Dylan po wielu latach, już jako 30-latką, wraca do tego. Powstał o tym dramacie serial, który potwierdza zarzuty, ale pomija fakt, że trójka dzieci adoptowanych przez Farrow zmarła. I faktem jest, że Allen poddał się badaniu wykrywaczem kłamstwa, a Farrow nie chciała. On przeszedł tę próbę. Taki neurotyk nie miałby szansy na oszukanie wariografu. Najbardziej szczerzy wydaje mi się Allen, gdy pisze o sobie z wisielczym humorem. „W końcu przychodzę na świat. Świat, w którym nigdy nie będę się czuł dobrze, którego nigdy nie zrozumieć”. Trochę dalej zaś: „A jednak w jakiś sposób zdołałem zostać nerwicowcem, bojaźliwym, emocjonalnym wrakiem, wiszącym kurczowo na włosku opanowania, mizantropicznym, klaustrofobicznym, izolowanym, rozgoryczonym, nieskazitelnym pesymistycznym”. Zawsze ma problem, by wejść do pomieszczenia,

gdzie są ludzie, czuje niepokój. Nigdy nie ogląda swoich filmów, gdy je skończy. Jest wielkim hipochondrykiem, pisze: „Co do mnie, to lubię chodzić po lekarzach, sprawdzać ciśnienie tętnicze, pozować do zdjęć rentgenowskich i dowiadywać się, że nic mi nie jest. (...) Latami moi bliscy mówili mi, że jestem chronicznie niezadowolony, i to prawda, że zawsze wolałem być tam, gdzie mnie akurat nie ma”. Jak go nie lubić? A jednak jak to dobrze, że dożyliśmy czasów, gdy ujawnia się molestowanie seksualne i jest #MeToo. Możliwe są natomiast straszne błędy tu, gdzie trzeba wierzyć na słowo. Strach pomyśleć, że to wszystko było do niedawna pod kołdrą. Dzieci nie miały nic do gadania. Podobnie jak kobiety. W poprzednich wiekach miliony kobiet, służących czy niewolnic, były poddane w pełni męskiej woli. Skala wykroczeń musi przyprawiać o zawrót głowy. W Polsce uchylono zaledwie brzeg kołdry na kościelnym łóżku i proszę, co się pokazało. A gdy chodzi o Allena, jestem w konfuzji.

•
Do kina Stacja Falenica na dobry film, „Obiecująca. Młoda. Kobieta”. Jest ideologiczny, w duchu #MeToo.

Jestem za tym, by słynną brzozę przenieść z korzeniami i zasadzić w muzeum największych polskich absurdów.

•
Mężczyźni w tej opowieści to drapieżniki seksualne. Wydaje się, że zasłużyli na taki obraz. Bardzo lubię aktorkę Carey Mulligan, grała w „The Crown”. Za reżyserię i scenariusz odpowiada Emerald Fennell, zdolna aktorka i reżyserka. Lubię budynek tego kina, ma niezwykle klimat, mieści się w dawnej, małej stacji kolejowej, obok peronu; drży, gdy przejeżdża pociąg.

•
Na kolacji u znajomych. Ona jest Irlandką. Ekspresyjnie opowiada o Irlandii, jak zmienił się ten kraj w ciągu zaledwie 20 lat. Był wtedy mentalnie bardziej zacofany niż Polska. Nastąpiła dramatyczna kompromitacja Kościoła. Chodziło nie tylko o molestowanie, ujawniono sprzedawanie przez Kościół dzieci do Stanów do adopcji, a nawet morderstwo ich. Wierni przeżyli szok i zaczęli odwracać się od Kościoła. Można przerywać ciążę. Geje i lesbijki mogą zawierać małżeństwa i adoptować dzieci. Chodzą ulicami, trzymając się za ręce i przytulając się do siebie i nikogo to nie dziwi. Jaka jest szansa, że pójdziemy tą samą drogą? Wydaje się, że spora. Może tylko trochę więcej czasu to zajmie.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Andrzej Dryszel

Pomóżcie sobie sami

Rząd PiS nie wspiera skutecznie
dzieci niepełnosprawnych i ich rodzin,
a kolejne plany pomocy mają wymiar
głównie propagandowy

„215 zł 84 gr – najbardziej wstydliva liczba w Polsce” – to cytat z raportu Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka na temat ubóstwa wśród rodzin dzieci niepełnosprawnych. Tyle miesięcznie wynosi dziś zasiłek pielęgnacyjny mający pokrywać m.in. koszty rehabilitacji, niezbędnego sprzętu, wizyt lekarskich, materiałów medycznych. Nic dziwnego, że zasięg skrajnej biedy wśród tych rodzin się nie zmniejsza, a 69 organizacji pozarządowych, które uczestniczyły w przygotowaniu raportu, uważa, że ów zasiłek jest jedynie atrapą pomocy państwa dla rodzin z dziećmi niepełnosprawnymi.

Charakter atrapy mają także nowe propozycje rządu PiS, mające jako by wspierać dzieci z niepełnosprawnościami i ich rodziny. Festiwałem obietnic było posiedzenie Rady Ministrów z 16 lutego. Rząd ogłosił wtedy, że przyjął Strategię na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami zaplanowaną do 2030 r. Według premiera i rządu stanowi ona dokument wielkiej wagi, pierwszy w polskich dziejach tak obszerny, kompleksowy i długofalowy zestaw zadań mających poprawić sytuację i jakość życia osób niepełnosprawnych. Ekipa Zjednoczonej Prawicy ciężko pracowała nad nim od 2016 r.

215 zł 84 gr – najbardziej wstydliva liczba w Polsce
– to cytat z raportu Polskiego Stowarzyszenia Obrońców
Życia Człowieka. Tyle wynosi zasiłek pielęgnacyjny.

Pod koniec lutego strategia została opublikowana – i okazało się, że ma wymiar głównie propagandowy. Liczy aż 332 strony, na wstępie są uwagi o niskiej efektywności instytucji państwa w minionych latach, potem zaczyna się samochwalstwo: „Obecny rząd, dla którego wsparcie osób z niepełnosprawnościami oraz osób udzielających im bezpośredniego wsparcia to jeden z priorytetów, podjął intensywne działania na rzecz zmiany dotychczasowej polityki w tym zakresie” – i tak, w podobnym duchu, do 93 strony. Potem jest zestaw zapowiedzi i obietnic, zdumiewająco skąpych i niekonkretnych,

jeśli chodzi o najważniejszą kwestię, czyli finansowe wsparcie dla osób niepełnosprawnych i ich opiekunów.

O tym, że właśnie brak pieniędzy stanowi główną bolączkę rodzin dotkniętych niepełnosprawnością, mówi raport Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka. Został ogłoszony akurat tego samego dnia, gdy rząd PiS chwalił się swoją strategią. Z raportu wynika, że rząd niemal nic nie robi, by skutecznie zmniejszyć zasięg nędzy w tych rodzinach.

Wspomniane stowarzyszenie jest organizacją *pro-life*, dobrze widzianą w kręgach kościelnych i goszczącą na antenie Radia Maryja. Zanedbania pisowskiej władzy w pomocy dla ludzi niepełnosprawnych są jednak tak duże, że nie sposób ich przemilczeć. W raporcie czytamy: „Wielu Polakom zwiększenie prawnej ochrony życia dzieci nienarodzonych kojarzy się jedynie z »uwięzieniem« rodziców

w domu i »wyrokiem« skazującym na życie w skrajnym ubóstwie. Brak zdecydowanej reakcji Rządu i Parlamentu w celu zapewnienia realnej pomocy tym rodzinom zdaje się tylko potwierdzać prawdziwość tej wizji. Co jest powodem zwłoki rządzących w tej sprawie?”.

Odpowiedź na tak postawione pytanie wydaje się prosta. Wyraźnie widać, że dla obecnej ekipy dzieci nienarodzone są znacznie ważniejsze od tych, które już się urodziły, a jeśli dotknęła je tragedia niepełnosprawności, tym gorzej dla nich i ich rodzin.

Emblematycznym wręcz przykładem lekceważenia problemów

osób niepełnosprawnych jest pominięcie milczeniem przez rząd PiS dwóch propozycji wsparcia zawartych w raporcie Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka. Chodzi o przyznanie prawa do pracy rodzicom pobierającym świadczenie pielęgnacyjne oraz o podwyższenie zasiłku pielęgnacyjnego z 215,84 zł do 2 tys. miesięcznie. Spełnienie tych dwóch postulatów szybko i radykalnie poprawiłoby sytuację rodzin. W rządowej strategii nie ma nawet słowa na temat podobnych rozwiązań.

Świadczenie i zasiłek stanowią dwa źródła finansowego wsparcia dla rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi. Nie są to pomysły rządu PiS; ustanowiła je i wdrożyła w 2003 r. koalicja Sojusz Lewicy Demokratycznej i Unii Pracy. Świadczenie pielęgnacyjne wynosi dziś 1971 zł miesięcznie. Ta kwota nie może zapewnić niepełnosprawnemu dziecku utrzymania i opieki. Jak stwierdza wspomniany raport, świadczenie pielęgnacyjne nie wystarcza na pokrycie podstawowych wydatków i „w żadnej mierze nie jest adekwatne do kosztów, jakie trzeba ponieść, aby móc leczyć i rehabilitować dziecko niepełnosprawne”. Koszt zapewnienia godnego życia takiemu dziecku jest średnio prawie pięć razy wyższy niż w przypadku dziecka zdrowego.

Rodzice muszą więc także pracować. Tyle że jeśli podejmą pracę, to zgodnie z przepisami przestaną otrzymywać świadczenie. Pracują zatem na czarno, a jeżeli legalnie, to nie dostają tych 1971 zł. Dlatego dziś świadczenie pielęgnacyjne pobiera tylko 143 tys. rodziców dzieci niepełnosprawnych, podczas gdy orzeczenie o niepełnosprawności ma ok. 245 tys. polskich dzieci.

Możliwość podjęcia legalnej pracy sprawi, że praktycznie wszystkie dzieci niepełnosprawne skorzystają ze świadczenia pielęgnacyjnego,



Koszt zapewnienia godnego życia dziecku z niepełnosprawnością jest średnio prawie pięć razy wyższy niż w przypadku dziecka zdrowego.

a zasięg skrajnego ubóstwa wśród nich zmniejszy się niemal do zera. Pomoże w tym spełnienie drugiego postulatu – podniesienie zasiłku pielęgnacyjnego do 2 tys. zł miesięcznie. Łączny koszt obu tych zmian wyniesie 8,3 mld zł rocznie.

Takich propozycji nie znajdziemy jednak w rządowej Strategii na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami, mimo że 5 listopada 2020 r., czyli na długo przed jej zaprezentowaniem, oba te rozwiązania poparł Parlamentarny Zespół ds. Rodziny.

Wśród 328 stron strategii rozdział „System wsparcia finansowego osób z niepełnosprawnościami” zajmuje ledwie cztery strony i nie ma tam choćby jednego konkretnego zdania o realnym wsparciu finansowym. Możemy natomiast przeczytać, że „przeprowadzona zostanie pogłębiona analiza obecnego systemu wsparcia finansowego”. Analizowanie zaplanowano co najmniej do 2025 r. Później rozpoczną się zaś prace, w wyniku których „przygotowana zostanie zmiana dotychczasowego systemu świadczeń dla opiekunów osób z niepełnosprawnościami”. Jakże to będą sumy i od kiedy wypłacane – o tym ani słowa. W sprawie świadczeń dla niepełnosprawnych rząd nabrął wody w usta. Żadnych szczegółów, żadnych kwot.

W niektórych punktach Strategia na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami jest za to nadzwyczaj

szczegółowa. Możemy więc przeczytać, że liczba psów przewodników zwiększy się ze 120 w 2018 r. do 250 w 2025 r. i 400 w 2030. Stacji i przystanków dostępnych dla osób niepełnosprawnych mieliśmy 1252, w 2025 r. będzie ich 1802, a pięć lat później 2853. Natomiast liczba odwiedzin portalu Niepełnosprawni.gov.pl wzrośnie z 48 tys. w 2018 r. do 62 tys. w 2025 r. i do 82 tys. w roku 2030.

Na to, że rządowa strategia ma przede wszystkim służyć propagandzie, wskazuje brak jakichkolwiek, choćby szacunkowych, kwot przeznaczonych na jej finansowanie. Zauważył to rzecznik praw obywatelskich, który stwierdził: „Niepokój budzi, że nie przewidziano na nią żadnych dodatkowych środków finansowych”. Natomiast zdaniem Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka „premier Morawiecki postanowił pójść na skróty i nie zadbał o poprawę bytu rodzin wychowujących dzieci z niepełnosprawnościami”.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej przyznaje zresztą z rozbijającą szczerością: „Przyjęcie Strategii na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami nie spowoduje dodatkowych kosztów dla sektora finansów publicznych”. Święte słowa! Dodatkowe koszty spowodowałyby dopiero jej realizacja – ale do tego przecież nie dojdzie.

PiS nie od dziś niechętnie wydaje pieniądze na potrzeby osób

niepełnosprawnych. Nic więc dziwnego, że, jak podkreśla wspomniany raport, świadczenie pielęgnacyjne i zasiłek pielęgnacyjny „nie zapewniają nawet minimum egzystencjalnego w wielu rodzinach wychowujących dzieci niepełnosprawne”. Stan ten miał zmienić rządowy program „Za życiem” przyjęty w listopadzie 2016 r. Zapisane w nim „kompleksowe wsparcie” dla kobiet w ciąży i rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi pozostało jednak głównie na papierze.

Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka alarmuje zatem: „5,5% dzieci z niepełnosprawnościami żyje w skrajnej biedzie, dotychczasowe programy społeczne nie zmniejszyły skali ubóstwa wśród nich. Internet, media społecznościowe i skrzynki pocztowe wypełnione są dramatycznymi apelami o wsparcie leczenia niepełnosprawnych dzieci. Zbiórki internetowe pokazują bezsilność i samotność rodziców w walce o życie i zdrowie ich dzieci. Wielu z nich żyje na marginesie zawodowym, towarzyskim, ekonomicznym, zepchniętych ze swoim trudem i niezawinioną biedą do czterech ścian. Realna pomoc jest im potrzebna natychmiast”.

Do udzielenia takiej pomocy niepotrzebne są żadne dalekosiężne strategie ani wieloletnie analizy. Wystarczy szybkie zastosowanie dwóch przedstawionych tu konkretnych propozycji: możliwość pracy bez utraty świadczenia oraz podniesienie zasiłku pielęgnacyjnego, co kosztowałoby, przypomnijmy, 8,3 mld zł rocznie.

Rząd PiS oświadczył, że w bieżącym roku przeznaczy 29,6 mld zł na pomoc dla osób niepełnosprawnych. W kolejnych latach miałoby to być jeszcze więcej, tak aby system wsparcia finansowego był „adekwatny do potrzeb i poziomu niepełnosprawności”. Nie ma tu jednak mowy o tych 8,3 mld zł.

Rzecz w tym, że te pieniądze rząd musiałby realnie wydać, a w swojej strategii może swobodnie obiecywać, wiedząc, że jej realizacji nikt nigdy nie sprawdzi. To trochę tak jak z góraliem, który ochoczo zgodził się oddać do rolniczej spółdzielni produkcyjnej wszystkie konie i krowy, ale nie zgodził się na oddanie owiec. Bo owce rzeczywiście miał. ■

Teatr prowizorycznych rozwiązań

Niezależnie od deklaracji, jak ważna jest kultura, zawsze znajdzie się coś, co jest od niej ważniejsze

Katarzyna Niedurny

Międzynarodowy Dzień Teatru obchodzony 27 marca zbliża się wielkimi krokami, ale będziemy go świętować w cieniu trwającej już od ponad roku pandemii. W tym czasie średnie zarobki artystów spadły o ponad 50%, a instytucjom doskwierały chaos informacyjny oraz problemy, których nie rozwiązywały działania Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Nic dziwnego, że zdecydowana większość ludzi teatru z niepokojem patrzy w przyszłość. Tak wynika z cyklu raportów „Nowe formy istnienia. Jak zmieniał się teatr w czasie pandemii?”, publikowanych przez Instytut Teatralny.

– Pandemia jest dla całego środowiska ewenementem w skali historycznej. Podejmując badania, chcieliśmy zrobić zdjęcie czasów,

w każdy kolejny termin powrotu do normalności: koniec miesiąca, po świętach, po majówce... Pamiętam ten okres jako czas prowizorycznych rozwiązań – opowiada Sebastian Majewski, zastępca dyrektora ds. artystycznych w Teatrze im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu.

Nic dziwnego. Chaos, dezorientacja i niepewność to słowa, które często pojawiały się w relacjach przedstawicieli teatrów w okresie pierwszego lockdownu. W dużym stopniu są one aktualne do dzisiaj. Bezprecedensowa sytuacja od początku wymagała wprowadzania nowych rozwiązań – prób zarządzania instytucją, która nie wiedziała, czy do działania wróci w tym miesiącu, czy za pół roku. Najważniejszymi zadaniami dla dyrekcji były podtrzymywanie zespołowości, pomoc etatowym i związanym z instytucją artystom oraz utrzymanie kontaktu z publicznością.

Nikt nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Zawiesiliśmy próby w czwartek, pewni, że uda się nam spotkać we wtorek.

w których żyjemy, żeby w przyszłości móc się odwołać do zgromadzonej teraz wiedzy – mówi Justyna Czarnota, jedna z koordynatorek badań. – Ich celem było opisanie jak najszerszego obrazu teatru w pandemii. Inaczej na wymuszony izolacją teatr w sieci spojrzę bowiem stała bywalczyni teatrów stołecznych tęskniąca do „nażywości”, a inaczej widzę z małej miejscowości o utrudnionym dostępie do kultury, dla którego teatr streamingowany jest wreszcie osiągalny – dodaje kulturoznawczyni Katarzyna Kułakowska.

Chaos i niepewność

– Nikt z nas na początku nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Zawiesiliśmy próby w czwartek, ale byliśmy pewni, że uda nam się spotkać we wtorek. Potem wierzyłem

przez teatry pytania, trzecim brak konsultacji środowiskowych, czwartym brak logiki w rozporządzeniach sanitarnych.

Nie pomógł również flagowy program tarczy antykrzysowej w kulturze, czyli „Kultura w sieci”, finansujący w formie konkursu projekty online. Jak możemy przeczytać w raporcie, ministerstwo w ten sposób „raczej tę pomoc symulowało, niż ją niosło”. Zarzuty dotyczyły tu głównie niskich nakładów finansowych i trudności w zdobyciu dotacji, z racji tego, że „mógł się o nią zwrócić każdy, kto miał jakikolwiek związek z kulturą, co oznaczało ostrą rywalizację o niezwykle skąpe środki”. Nisko ocenione zostało też wsparcie niesione przez samorządy.

Próby samoorganizacji

W rezultacie duża część obciążenia zarówno technicznego, jak i merytorycznego spadła na same teatry. Instytucje i ich pracownicy wzięli na siebie zadania wykraczające poza zakres ich obowiązków i wymagające błyskawicznego zdobycia nowych kompetencji. Wiele z tych zadań spadło na działy promocji, które utrzymywały kontakt z widzami i koordynowały działania w mediach społecznościowych. A gdy całe życie teatru przeniosło się do sieci, tymczasowo zarządzały wszystkim. Nowa normalność wymagała także od aktorów umiejętności obsługi sprzętu technicznego, prowadzenia warsztatów online, przygotowywania nowych treści od A do Z. Liczne transmisje spektakli na żywo spowodowały, że teatry musiały szybko zdobyć dodatkowe kompetencje, no i środki finansowe. Bo okazało się, że prezentowane w pierwszej fazie pandemii nagrania techniczne, kręcone zazwyczaj z jednej lub z dwóch kamer bez odpowiedniego nagłośnienia, to za mało dla widza, który ma stały dostęp do lepszych

W tym czasie (badania dotyczą okresu od marca do czerwca) 40% teatrów całkowicie zawiesiło działalność, reszta zmieniła zwykły zakres prac, stawiając na projekty online (prezentacje spektakli, transmisje na żywo, prowadzenie warsztatów), wspieranie walki z pandemią (poprzez szycie maseczek, zbiórki pieniędzy) oraz pomoc innym podmiotom na polu kultury – to zadanie dotyczyło np. teatrów offowych, które zostały odcięte od dotychczasowych źródeł finansowania.

Nowych rozwiązań uczono się od siebie nawzajem, informacje rozchodziły się pocztą pantoflową. Brakowało za to pewnych źródeł wiedzy. Teatry mają poczucie, że ministerstwo zawiodło. I to na kilku polach. Pierwszym było wysyłanie sprzecznych komunikatów, drugim nieodpowiadanie na wysyłane



3 grudnia 2020 r. Helena Sujeczka w happeningu wrocławskiego Teatru Muzycznego Capitol.

jakościowo filmów, seriali bądź nagrań teatrów z zagranicy.

Te działania wiązały się z dodatkowym zagrożeniem. Jak zauważają autorzy raportu „W poszukiwaniu strategii. Działania instytucji teatralnych w czasie pandemii”, „to, że teatry poradziły sobie z kryzysem pandemicznym, może być powodem do radości, ale często za tym zwycięstwem kryje się niewydolność systemu wsparcia kultury, podtrzymywanej przy życiu przez poświęcenie osób, które są w niej

Wobec takich okoliczności środowisko teatralne zaangażowało się w tworzenie swojej reprezentacji. Widoczne stały się działania Stowarzyszenia Dyrektorów Teatrów, powstały pomysły zrzeszenia dramatopisarzy i dramatopisarek oraz przedstawicieli innych zawodów teatralnych. Najbardziej widoczna była jednak obecność Gildii Polskich Reżyserów i Reżyserów Teatralnych, funkcjonującej od 2017 r. jako związek zawodowy. Mimo jej słabnącego dotąd zaangażowania w życie teatralne.

żeby nasi przedstawiciele byli we wszystkich zespołach eksperckich. Zajmujemy się poza tym mediacjami między reżyserami i reżyserkami a instytucjami i ich organizatorami.

Aktor żebak i inni pracownicy teatrów

„Odwołane i przełożone na czas nieokreślony zostały wszystkie moje plany na najbliższe dwa lata”, „Nie zagrałem ok. 100 spektakli”, „Wszystko odwołane, brak środków do funkcjonowania. Wszystko się zamknęło – teatry publiczne i prywatne, uczelnie, w której miałam uczyć, nie ruszyła online, nie mam możliwości pracy, nie ma możliwości wzięcia sprawy w swoje ręce. Zawieszam działalność gospodarczą, bo generuje tylko koszty”, mówią respondenci raportu „Artystki i artyści teatru w czasie COVID-19”.

Badania obejmujące okres od marca do października 2020 r. pokazują, że wynagrodzenie artystów wynosiło średnio 48% normy sprzed pandemii. W najgorszej sytuacji znaleźli się aktorzy scen muzycznych, których wynagrodzenie miesięczne

Ministerstwo Kultury zawiodło. I to na kilku polach.

zatrudnione. Prywatyzacja kosztów radzenia sobie z pandemią jest oczywiście świadectwem zaangażowania ludzi kultury w swoją pracę, ale też niskiej pozycji, jaką zajmują ich sprawy w hierarchiach ważności państwa i samorządu. Niezależnie od deklaracji, jak ważna jest kultura, zawsze znajdzie się coś, co jest od niej ważniejsze”.

W tym przypadku ceną sukcesu był duży nakład środków prywatnych całego zespołu.

– Gildia w czasie pandemii stała się sprawnym narzędziem. Zawiązała się w niej wtedy grupa osób, które zaczęły intensywnie działać. Ocenialiśmy sytuację, opracowaliśmy wnioski, a następnie pisaliśmy postulaty i propozycje rozwiązań. Okazało się to bardzo skuteczne – mówi wiceprzewodnicząca związku Marta Miłoszewska. I dodaje: – Teatr zasługuje na zmiany systemowe. I to nimi się zajmujemy. Bijemy się o to, żeby nasz głos był słyszalny. Chcemy,

► spadło aż o 77% (z 6836 zł do 1553 zł). W tym kontekście nie dziwi sygnalizowany też w innych raportach lęk przed byciem aktorem żebrakiem, który, żeby wykonywać zawód, musi biedować bez nadziei na regularne zarobki i bezpieczeństwo finansowe.

W wyjątkowo trudnej sytuacji znaleźli się freelancerzy. Widoczne było to szczególnie w czasie pierwszego lockdownu. – Wiele instytucji nie zdało egzaminu solidarności ze związanymi z nimi freelancerami. Przeszliśmy od nich odbierać telefony, wysyłać im wynagrodzenia, nie chciano z nimi negocjować. Dzięki nam te osoby stawały się słyszalne i często udawało się ich problemy rozwiązywać – opowiada o działalności Gildii Miłoszewska. – Teraz priorytetem jest dla nas dbanie o ludzi dopiero wchodzących do zawodu. Pracujemy nad stworzeniem elementarza dobrego debiutu, mamy nadzieję, że uda się nam powołać Fundusz Dyplomowy „Na start”. Boimy się, że grupa ludzi, którzy mają tego pecha, że właśnie teraz kończą szkoły, nie będzie miała szansy na debiut – dodaje.

A reżyserzy i tak mieli szczęście – może ich reprezentować silna instytucja. Bo chociaż uitarło się, że w najgorszej pozycji są artyści, ucierpiały również inne zawody teatralne. – Nie wszyscy pracownicy i nie wszystkie pracownice teatrów mają etat. Pomysłmy o bileterach i bileterkach, szatniarkach i szatniarzach – zawodach, które w pandemii całkowicie zniknęły – o realizatorach dźwięku, technicznych, których wynagrodzenie niejednokrotnie uzależnione jest od częstotliwości grania w miesiącu... Zresztą sytuacja etatowców też nie była stabilna. Etyaty bywały likwidowane, pracownice i pracownicy w momencie zamknięcia teatrów odsyłani wprawdzie na zaległe, potem na bieżące, a w końcu na bezpłatne urlopy, a tym, którzy pełnili rolę w teatrze – osobom z działów promocji, biur obsługi widza, archiwów, edukacji – niekiedy całkiem zmienił się zakres obowiązków, w których nie zawsze byli w stanie się odnaleźć – podkreśla Katarzyna Kułakowska zaangażowana w tworzenie raportu „Pracownice i pracownicy teatrów w pandemii. Zawody teatralne w perspektywie antropologicznej”.

Nowa publiczność

A jak w tym kontekście funkcjonowała publiczność teatralna? Stali widzowie tęsknili za ulubionymi instytucjami, podkreślając, że działania prowadzone w internecie są tylko namiastką ułatwiającą przetrwanie trudnego okresu. Nie mogą jednak zastąpić żywego kontaktu z aktorem ani tej atmosfery święta, która wiązała się z wyjściem do tradycyjnego teatru. Jednocześnie wokół nagrań ukształtowała się nowa grupa publiczności. Widzowie dzielili się tym, że online mogą obserwować życie kulturalne w ojczyźnie, przebywając na emigracji. A „wyjście” do teatru z całą rodziną – na co dzień dość kosztowne – stało się dla nich wreszcie możliwe. – Publiczność doceniała to, że teatry przeszły w tryb online – tłumaczy Justyna Czarnota. – Dzięki temu zgromadziły widownię, która na co dzień nie może do teatru dotrzeć. Na przykład osoby z mniejszych miejscowości i wsi oraz ludzie, którzy opiekują się chorymi lub dziećmi i nie mogą swobodnie wychodzić z domu.

Wiadomo już, że inwestowanie przez teatry w działania internetowe, udostępnianie chociaż części spektakli online umożliwi otwieranie się na nowych widzów i likwidowanie barier: geograficznych, finansowych, życiowych.

– Pandemia wyraźnie pokazała, że strategia, którą przyjęliśmy, nie sprawdziła się. Teatr nie uzyskał żadnego znaczącego miejsca w świadomości społecznej. To marginalna twórczość dla bardzo ograniczonej publiczności. Zrozumiałam, że musimy szukać szerszej grupy odbiorców, a nie tylko robić sobie dobrze – ocenia Sebastian Majewski.

Być może przynajmniej częściowo dzięki rozwiązaniom wypracowanym w trakcie kryzysu jego życzenie się spełni.

Katarzyna Niedurny

W czasie pisania korzystałam z raportów: „W poszukiwaniu strategii. Działania instytucji teatralnych w czasie pandemii. Raport z badania prowadzonego z osobami kierującymi instytucjami teatralnymi w Polsce”, „Obecność teatrów w przestrzeni online w trakcie pandemii” oraz „Artystki i artyści teatru w czasie COVID-19”.

Wybuch emocji przy pierwszym kontakcie z obrazem, elementem architektury, książką może być tak silny, że pocujemy zawrót głowy, kołatanie serca i dezorientację. Ten zespół objawów, które wywołuje dzieło sztuki, to syndrom Stendhala. Wielu czytelników, którzy otworzą najnowszą książkę fotograficzną Beaty Barteckiej i Łukasza Rusznicy, poczuje właśnie to. – Obejrzę to jutro – powiedzą. – Poczekam, aż będę lepiej się czuł.

Wystarczy przerzucić dosłownie kilka stron, żeby się zorientować, że lektura będzie trudna, a przyjemność, która przyjdzie potem, może być czymś, czego raczej trzeba się wstydzić. Że to książka znakomita i z wielu względów szalenie trudna – rzecz, z którą trzeba „sobie poradzić”. „How to look natural in photos” („Jak wyglądać naturalnie na zdjęciach”) to album zbudowany z fotografii pochodzących z archiwów IPN. Jego niezwykłość wynika m.in. z tego, że przygotowali go artysta rozpoznany jako autor efektownych malarskich kadrów i kuratorka Beata Bartecka, która swoim działaniom w obszarze sztuki zawsze nadaje progresywny, awangardowy rys.

Sam tytuł niesie pewną podwójność; ukazuje dwie ścieżki lektury, w które natychmiast uwikłany zostaje czytelnik: estetyczną i etyczną, historyczną/polityczną i – nazwijmy to – artystyczną. Przy czym niemożliwe jest wyłączenie czy wybranie jednej z nich. Nasze skupienie, symboliczna soczewka oka, musi ciągle się przestraszać, zmieniać ostrość. Jesteśmy stale „wyrzucani” z obranego scenariusza lektury. Jakby nasze kompetencje kulturowe trzeba było na nowo opracować dla tej właśnie opowieści.

Kilkanaście lat temu nastąpiła – związana z powstaniem mediów społecznościowych – zmiana naszych przyzwyczajzeń i rytuałów, dotyczących fotografii. Mimo to nadal – jak w PRL – fotografujemy przede wszystkim te elementy rzeczywistości, które są dla nas ważne: upamiętniamy, oddajemy hołd, próbujemy uporządkować sobie świat albo po prostu umiejętnie zarządzać smutkiem, jaki czujemy, obserwując przemijanie. Akceptujemy zdjęcia dzieł sztuki i „ładnych rzeczy”, natury i zabawnie uduchowionych

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

Teraz już wiem, po co mi IPN

polityków z plakatów wyborczych. Kolejny rodzaj fotografii, który integrujemy, to fotografia wojenna czy reportażowa: zdjęcia interwencyjne, sceny batalistyczne, krwawe starcia, ofiary konfliktów, gruz, pył, krew. Wybaczymy im ich drastyczność, mimo (a może właśnie dlatego) że wywołuje w nas poczucie wstydu, że żyjemy w cieple, chorujemy w cieple i nawet cierpimy w kojących beżach dobrze izolujących ścian. Dlaczego więc tak trudno nam zintegrować zdjęcia z książki fotograficznej Rusznicy i Barteckiej?

Są statyczne, pozbawione życia, jak fotosy z „podręcznika” medycyny sądowej („Oględziny zwłok i miejsca ich znalezienia”). To specjalnie wypreparowane ujęcia, za którymi najwyżej domyślamy się opowieści (inwigilacji, teczek, zbrodni, grózb). Ich teatralność jest złowroga i zimna jak lód. Stale wyobrażamy sobie „instalowanie ciała”, „wystawianie” go do zdjęcia, układanie trupa twarzą do obiektywu, szybko, zanim rysy twarzy obsuną się, a skóra straci kolor (służby szczególnie ceniły zdjęcia „świeżych” zwłok, sfotografowanych w miejscu zabójstwa i w codziennym ubraniu). Jest w tym wystawianiu krzywd coś pornograficznego i cyrkowego zarazem. Rzadziej pojawia się uczucie litości, jakie wywołuje żebrak pokazujący światu swoją zniszczoną stopę. Patrzenie na te zdjęcia przypomina raczej oglądanie dokumentacji gwałtu, voyeuryzm, który zakończy się przywłaszczeniem, porwaniem.

Zaraz po niestosownej teatralności uderza nas dehumanizacja, obozowy chłód. Człowiek uprzedmiotowiony, np. fotografowany tyłem albo w pozycji „na gwizdek” (*tanzen, tanzen* – słynny nakaz strażnika). Jakby

zdjęcia chciały potwierdzić teorię Susan Sontag, która pisała o drapieżności aparatu fotograficznego, porównując go z bronią. I tu wchodzi druga, nieoczekiwana ścieżka lektury – część zdjęć wywołuje skojarzenia, których chcielibyśmy uniknąć: operacyjne ujęcie na peronie wygląda jak romantyczny fotos z albumu Jeana-Claude’a Gautranda „Paris mon amour”. Patrzące nam w oczy pielęgniarki ze szpitala w Dziwnowie przypominają mężczyzn ze słynnego obrazu Rembrandta „Lekcja anatomii doktora Tulpa”. Zatrzymany w związku z procesem zabójców ks. Jerzego Popiełuszki mężczyzna z raną w boku, z przymkniętymi oczami i ręką nienaturalnie uniesioną w górę – wygląda jak średniowieczny Chrystus zdjęty z krzyża. Zdjęcie z frontu

Robiąc zdjęcie, stykamy się z kruchością i przemijalnością osoby czy rzeczy.

włoskiego (1943-1944), które ukazuje ранnego żołnierza podtrzymywanego przez lekarza i pielęgniarkę wygląda jak pieta watykańska (przy czym szokujące jest przeglądanie indeksu zdjęć, z którego dowiadujemy się, że patrzmy np. na owinięte workiem nogi zamordowanego ks. Popiełuszki). Niektóre ujęcia przywodzą na myśl prace Grzegorza Klamana, który badał, w jaki sposób zmienia się ciało w dyskursie medycznym. Interesowała go także nasza (odbiorców) zmiana myślenia czy interpretacji w zależności od kontekstu: dlaczego naszą odrazę i protest budzi ciało przeniesione z dyskursu medycznego w obszar sztuki? No właśnie, dlaczego – zastanawiamy się, oglądając książkę „How to look natural in photos”. Otóż „kłopotem” odbiorcy

książki jest już sam fakt, że fotografie pochodzą z archiwów IPN, który prowadzi ponurą politykę historyczną, wykorzystując je do doraźnych działań, zamieniając momentami w narzędzia walki ideologicznej. Artyści świadomie grają ze źródłami, z pochodzeniem zdjęć, dorzucając do naszych „kłopotów” i sprzecznych emocji napięcia między etyką a estetyką.

Jeżeli ciało zostało w jakiś sposób „ukształtowane, ograniczone, a nawet wynalezione przez społeczeństwo”, można je też – na potrzeby służb – zdekonstruować i wrzucić w dehumanizujący dyskurs, w którym człowiek staje się „obiektem”, „celem” czy „figurantem”. Bo to również książka o relacjach władzy i oczywiście można by ją całą czytać przez Foucaulta („Nadzorować i karać”, „Bezpieczeństwo, terytorium, populacja”), skupiając się np. na pewnej „prawdzie”, którą państwo ma na temat czło-

wieka na danym terytorium. Sontag pisała o fotografii, że to sztuka żałobna, schyłkowa. Bo robiąc zdjęcie, stykamy się z kruchością i przemijalnością osoby czy rzeczy (a wszystkie ujęcia zabarwione są patosem). Ale w kontekście tej książki stosowniejsze wydaje się przywołanie „destrukcyjnej plastyczności”. Za pomocą tego pojęcia Catherine Malabou przywołuje ciało, które nie zerwało jeszcze z życiem, ale jest już na wpół wycofane, zniszczone albo zepchnięte w katastrofę czy niepamięć. Ono ma swoje piękno – zdaje się mówić Malabou. I rzeczywiście, autorzy książki „How to look natural in photos” pokazują, że takie ciało, z opróżnioną albo rozwidloną tożsamością, ma swoją fascynującą „destrukcyjną plastyczność”.

Pisanie na emigracji

Między Wrocławiem a Toronto, czyli jak Polska długa i szeroka

Rozmawia
Bronisław Tumitowicz

Polskie tłumaczenia pani powieści umieszcza się na półkach z literaturą kanadyjską, choć jest pani pisarką polską, z urodzenia i zainteresowań literackich. Czuje pani misję promowania kraju na obczyźnie?

– Nie myślę o Polsce w kategoriach literackiej misji czy ambicji. Urodziłam się i dorastałam w Polsce. Sięgam po polskie tematy, bo są dużą i ważną częścią moich doświadczeń.

A dzisiaj są istotne, bo obecny minister kultury marzy o wielkiej hollywoodzkiej produkcji promującej nasz kraj i dziedzictwo kulturowe. O czym mógłby być taki film?

– Dobrych polskich historii nie brakuje. Tyle że promowanie kraju i jego dziedzictwa kulturowego to bardziej domena polityków niż pisarzy.

Napisałaby pani scenariusz filmu np. o Zygmuncie Krasińskim albo królu Stanisławie Augustie Poniatowskim?

– Moje książki są precyzyjnie skonstruowane i wyrzucenie czegośkolwiek byłoby dla mnie zbyt bolesne. Poza tym po ukończeniu każdej książki rzucam się natychmiast na nowy temat; pisanie scenariusza byłoby hamulcem. Prawa filmowe sprzedawałam już – i to kilka razy – jedynie do „Katarzyny Wielkiej”. Ale od sprzedania praw do realizacji droga niestety jest długa i jak dotąd nic z tego nie wyszło.

Pisze pani po angielsku. Jak się osiąga poziom literacki w języku obcym?

– Przykładów osiągnięcia poziomu „literackiego” wśród emigrantów jest wiele. Nabokova nie muszę przedstawiać. Yiyun Li, emigrantka z Chin, pisze po angielsku w Stanach z wielkim sukcesem. Aleksandar Hemon, emigrant z Serbii, miał 16 lat, kiedy



EWA STACHNIAK

– kanadyjska pisarka powieści o Polsce

przyjechał do USA bez znajomości angielskiego. Teraz jest doskonałym i uznanym pisarzem. Eva Hoffman, autorka „Zagubione w przekładzie”, przyjechała do Kanady jako nastolatka i wtedy dopiero „przetłumaczyła się” na angielski. Ewa Hryniewicz-Yarbrough, tak jak ja wrocławska anglistka, wyśmienicie tłumaczy polską poezję na angielski, m.in. wydała w USA tłumaczenia wierszy Janusza Szubera. Pisze też po angielsku eseje, uznane i nagradzane. Z kolei Żanna Słoniowska jest Ukrainką i pisze po polsku. Osiągnięcie poziomu „literackiego” w tym drugim języku nie jest aż taką rzadkością.

Mówi to pani z perspektywy obywatelki kanadyjskiej. W Polsce wciąż się zachwycamy naszą monokulturą etniczno-językową.

– Mój syn, który wychował się w Kanadzie, jako dziecko nie był w stanie sobie wyobrazić kogoś, kto włada jednym językiem. Dzieci, z którymi się bawił na co dzień i z którymi chodził do szkoły w Montrealu, znały co najmniej trzy – francuski, którym mówiły w szkole, angielski, który był językiem przerw i zabaw,

i ten domowy, emigrancki, którym mówiło się w domu, z rodzicami. W odróżnieniu od wspomnianej monokultury etniczno-językowej mnie ciekawi stosunek pisarza emigranta do tego adaptowanego języka. Może odmówić pisania w kraju, w którym mieszka, pisać w języku ojczystym, tak jak to zrobili Gombrowicz czy Miłosz, którzy pisali dla polskiego czytelnika, a świat zdobywali w przekładach. Conrad uważał, że gdyby nie pisał po angielsku, nie pisałby wcale. Angielski dał mu wolność stylu, wyrazu, tematu, możliwość zgłębiania myśli w polszczyźnie dla niego

niewyraźalnych. Themerson z kolei był pisarzem w pełni dwujęzycznym, przechodził płynnie z jednego języka na drugi, czuł się doskonale i w angielszczyźnie, i w polszczyźnie.

Czyli literacki angielski jest prostszy od polskiego?

– Nie jest prostszy, ale łatwiej emigrantowi w nim się odnaleźć. Jest bardziej otwarty dla „obcych”. Jest angielski z Anglii, ale również ten ze Szkocji, z Irlandii, z Walii, w którym nadal słychać echa często już zapomnianych języków. Jest całe były imperium brytyjskie, w którym pokolenia emigrantów kształtowały angielszczyznę na swój sposób: Kanada, Australia, Nowa Zelandia, no i Stany Zjednoczone. Są Indie, gdzie angielski po części funkcjonuje jak kiedyś w Europie średniowieczna łacina. Wszystko to sprawia, że angielski jest mniej hermetyczny.

Wybór angielskiego jest więc dla pani przepustką do światowej percepcji?

– Jest naturalną konsekwencją emigracji. Gdybym mieszkała w Polsce, pisałabym po polsku, we Francji po francusku. W Kanadzie piszę po angielsku, bo to język, który mnie otacza i w którym na co dzień funkcjonuję. Decyzja o pisaniu po angielsku była naturalna. Z angielskim rostałam od dziecka. We Wrocławiu

miałam nauczycielkę Angielkę, emigrantkę ze Szkocji, żonę polskiego lotnika. Studiowałam anglistykę, najpierw w Polsce, potem w Kanadzie. W Polsce pracę magisterską pisałam po angielsku, doktorat na Uniwersytecie McGill w Montrealu też po angielsku. Pierwsze opowiadania i pierwsza powieść powstały w późnych latach 90., kiedy już od ponad 10 lat uczyłam w kanadyjskim college'u i literatury, i pisanie. Pisałam o emigrantach, o moim wyjeździe z Polski. Wtedy były to dla mnie najważniejsze doświadczenia. Pisałam w Kanadzie dla Kanadyjczyków... więc po angielsku.

Mówiło się, że np. Jerzy Kosiński korzystał z licznych korektorów native, gdy pisał pierwszą powieść, „Malowanego ptaka”.

– Każdy pisarz potrzebuje redaktora i korektora, kogoś, kto spojrzy na tekst na nowo, dostrzeże to, czego autor nie jest już w stanie dostrzec, gdyż jest z tekstem zbyt blisko, zbyt mocno mu ufa. Kosiński może potrzebował więcej takiej redakcyjnej pomocy niż inni. Dla mnie zawsze liczy się końcowy efekt, styl, ekspresywność, rytm i plastyczność języka, jego oryginalność. Poprawność językowa, zgodność z przyjętym przez wydawnictwo stylem to końcowy etap redakcji tekstu. Czy moje książki wymagają więcej pracy redaktorskiej niż te napisane przez kogoś, kto w Kanadzie się urodził? Nie sądzę. Kiedy uczyłam pisanie w college'u, poprawiałam prace studentów, którzy w Kanadzie urodzili się i wychowali. Nikt nie pisał bezbłędnie.

Dla wielu z nas umiejętność poprawnego pisania po polsku – co wynika z lektury wpisów internetowych – to koszmarny ciężar. Ale ludzie mało czytają, nie mają dobrych wzorców ładnego wypowiedzenia się. To chyba światowa bolączka?

– Też nad tym boleję. Użycie formy dzierżawczej w angielszczyźnie

umiera na moich oczach. Nawet uznane i szacowne czasopisma przepuszczają potknięcia, które byłyby niemożliwe przed kilkoma laty. Oczywiście język zawsze podlega prawom ewolucji. Dzisiejsze błędy, jeśli przetrwają, zostaną w końcu „ułaskawione” i uznane za język poprawny. Akceptuję to, ale zgrzytam zębami, kiedy napotykam niechlujne, nieprecyzyjne zdania, bo cierpi na tym dyscyplina myśli i wyrazu.

Można podziwiać poziom merytoryczny i literacki narracji w pani książkach. „Dysonans” profesora-wie literaturoznawcy zajmujący się

W języku angielskim łatwiej emigrantowi się odnaleźć. Jest bardziej otwarty dla „obcych”.

Zygmunt Krasieński traktują niemal jak tekst źródłowy. Pani wiedza o postaciach, o realiach obyczajowych i historycznych jest ogromna, to niemal rekonstrukcja historyczna 1:1.

– Do pisanie „Dysonansu” przygotowywałam się tak, jak zwykle się przygotowuję. Czytałam materiały źródłowe, opracowania, biografie luminarzy Wielkiej Emigracji. Świat, który powoli się wyłaniał z tych lektur, stawał się bardziej kompletny i rozumiały. Cieszę się, że udało mi się go odtworzyć. Do „Dysonansu” doprowadziła mnie Delfina Potocka, która była synową Zofii z „Ogrodu Afrodyty”. Zaczęłam więc od niej. Znalazłam jedną biografię, ale dość fragmentaryczną. Sięgnęłam do listów Krasieńskiego do Delfiny i te okazały się rewelacją. Zawierały jedynie fragmenty jej głosu, krótkie cytaty ze spalonych niestety listów, które Zygmunt komentował, ale dzięki nim zobaczyłam ich świat. Pałace i ulice, salony i powozy, pracownię szewską w Warszawie i gabinet dentysty, czyli „zębnika” w Paryżu.

W listach Zygmunta do Delfiny pojawiła się Eliza Krasieńska, najpierw jako naręczona, potem żona. Poszłam jej śladem. Na szczęście zachowały się listy Elizy do matki, siostr, przyjaciółek, więc jej głos mogłam usłyszeć bezpośrednio, choć w tłumaczeniu z francuskiego, bo zarówno Eliza, jak i Delfina pisały i rozmawiały głównie po francusku. To był początek pracy nad powieścią. Dwie kobiety romantyzmu, muza-kochanka i żona-matka, a pomiędzy nimi poeta wieszcz, demiurg tego filozoficzno-miłosnego trójkąta, ze swoją zagmatwaną filozofią i uprzedzeniami.

Widać, że zdokumentowanie takich powieści wymagało dostępu do źródeł, archiwów, listów, memuarów. Czy Kanada jest dobrym miejscem do tego rodzaju poszukiwań?

– Zaczynam pisać dopiero wtedy, kiedy czuję się swobodnie w epoce, rozumiem dogłębnie moich bohaterów i ich rolę w powieści. Praca akademicka nauczyła mnie robienia kwerend. W Kanadzie mam oczywiście dostęp do cyfrowych bibliotek i archiwów. W zasięgu ręki są zbiory bibliotek uniwersyteckich w Toronto i Montrealu, obie mają bogaty polski księgozbiór. To od nich zaczynam pracę. Koresponduję z zaprzyjaźnionymi historykami, pytam, czytam wszystko, co wiąże się z tym, nad czym pracuję. Dodatkowo podczas każdej wizyty w Polsce przekopuję antykwariaty, poszukując ciekawych pamiętników, listów, opracowań, więc mam do dyspozycji pokazną już bibliotekę.

Często pani jeździ na takie „polowania”?

– Dotychczas tak było przy pisaniu każdej książki. Praca nad „Boginią tańca” wymagała wyjazdu do Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie, gdzie mieści się archiwum Bronisławy Niżyńskiej. To prawie 200 pudeł z listami, pamiętnikami, rysunkami, notatkami, zdjęciami. Znalazłam tam skarby, które w dużej mierze wykorzystałam podczas pisanie. Przy pracy nad „Ogrodem Afrodyty” i „Dysonansem” odwiedzałam archiwa w Warszawie i Krakowie. ▶

Ewa Stachniak – filolog angielska, nauczyciel akademicki, pisarka, od 1981 r. mieszka w Kanadzie. W roku 2000 za powieść „Necessary Lies” („Konieczne kłamstwa”) otrzymała nagrodę dla najlepszej debiutanckiej powieści kanadyjskiej (Books in Canada First Novel Award). Druga powieść, „Garden of Venus” („Ogród Afrodyty”), ukazała się w Kanadzie, Anglii, Australii, Nowej Zelandii, Grecji, Hiszpanii, we Włoszech, w Brazylii, Serbii, Polsce i na Ukrainie. Powieść „Katarzyna Wielka. Gra o władzę” znalazła się na liście bestsellerów kanadyjskiego dziennika „The Globe and Mail”.

► Jednak archiwa to tylko część mojej pracy. Potrzebuję fizycznie znaleźć się w miejscach, które opisuję. Przy pisaniu „Dysonansu” wycieczka do Opinogóry była tak samo ważna jak wizyta w Nicei. „Katarzyna Wielka” wymagała podróży do Petersburga, „Bogini tańca” skorzystała niezmiernie z wycieczek do Monte Carlo, Paryża czy Normandii, śladami Broni Niżyńskiej w ważnych momentach jej życia. Researcherów nie mam, nie potrafiłabym nikomu wytłumaczyć, czego szukam. Często to, co znajduję, mnie samą zaskakuje. Muszę sama.

Czy dla zagranicznych czytelników nasze historie są egzotyką z jakiegoś małego kraju, który nazywa się Poland (a może Holand)?

– Nie spotkałam się z opinią, że Polska to egzotyczny kraj. Kiedy przyjechałam do Kanady w 1981 r., była na ustach wszystkich! Problemy, które opisuję, są prawie zawsze wynikiem emigracji i konieczności „przepisania” swojej tożsamości. „Ogród Afrodyty” to historia greckiej emigrantki w stanisławowskiej Polsce, a jej zapierający dech awans społeczny do dziś budzi podziw. „Katarzyna Wielka” to pruska księżniczka, która została Rosjanką. „Bogini tańca” to też historia emigracyjna. Bronia Niżyńska, wybitna artystka, tancerka, zostaje choreografką Baletów Rosyjskich, jednego z najstawniejszych zespołów

tanecznych w historii światowego baletu. Książka wyszła niedawno w chińskim tłumaczeniu – dowód, że moje bohaterki potrafiły zainteresować czytelników poza Europą i Ameryką.

„Katarzyna Wielka. Gra o władzę” stała się w Kanadzie bestsellerem. Czy w jej czasach była jeszcze szansa na powstanie unii polsko-rosyjskiej, gdyby król Staś bardziej się postarał?

– Staś nie miał szans przy Katarzynie. Nie miał kart w ręku. Co innego, gdyby Katarzyna została królową Polski.

Każdy pisarz potrzebuje redaktora, który spojrz na tekst na nowo.

Bohaterki pani książek to głównie kobiety, choć pisze pani też o mężczyznach, często krytycznie i z przekąsem, a o kobietach raczej ze współczuciem i sympatią. Czy to wynika z głębszego poglądu na sprawy płci i osobistego, feministycznego programu?

– Oczywiście, kobiecie postrzeganie świata jest mi bliskie. Ponadto wychowałam mnie kobiety silne i niezależne. Pociągają mnie bohaterki, które potrafią wyprowadzić rodzinę z sowieckiej Rosji przez zieloną granicę, tak jak zrobiła to Bronia Niżyńska. Lub jak Zofia Glavani z Bursy pod

Stambułem zostać polską hrabiną i nie dać się zjeść na warszawskich salonach stanisławowskich. Bądź jak Eliza i Delfina, które, choć zakochane w Zygmuncie, potrafiły odmówić bycia pionkami w jego psychologicznych grach. Jeśli feministyczny program to przekonanie, że kobiety są pełnowartościowymi współczesniczkami życia, że ich punkt widzenia jest ważny, że powinny mieć takie same prawa jak mężczyźni, to tak.

Co pani sądzi o współczesności w literaturze i w życiu? Jak ocenia pani pisarki buntowniczkę, Annę Bojarską, Manuelę Gretkowską czy Dorotę Maślowską?

– Trudno byłoby mi tworzyć fikcję literacką z tego, co obecnie się dzieje. Dla mnie temat musi dojrzeć, uleżeć się. „Koniem kłamstwa” napisałam po 10 latach emigracji. Pisarki buntowniczkę znalazły na swój sposób. I dobrze, że znalazły.

A jak nie buntowniczkę, to kto?

– Moi ulubieńcy to Olga Tokarczuk i Wiesław Myśliwski. Powieści Tokarczuk odkryłam podczas mojej pierwszej poemigracyjnej podróży do Polski, w 1991 r. „Prawiek...”, „Dom dzienny, dom nocny”, „Podróż ludzi Księgi”. A to był dopiero początek jej literackiej drogi. „Księgi Jakubowe” to jedna z najlepszych powieści historycznych, jakie czytałam od lat. Bardzo czekam na angielskie wydanie i jego recepcję, ciesząc się, że nie muszę już opowiadać moim angielskojęzycznym przyjaciółom, kim jest Tokarczuk! „Widnokrąg” Myśliwskiego także mnie zachwycił. Zarówno cykliczną konstrukcją powieści, jak i skondensowaniem etapów polskiej historii. Czytam też dużo polskich reportaży, moje ostatnie odkrycia: Monika Sznajderman, Cezary Łazarewicz, Iza Klementowska, Ewa Winnicka.

Co będzie tematem następnej książki?

– Nowa książka jest już ukończona. „The School of Mirrors” to angielski tytuł. O Polsce tym razem niewiele. Jest wprawdzie Maria Leszczyńska w Wersalu, ale nie jest ona postacią pierwszoplanową. Żyje w cieniu Burbonów. Głównymi bohaterkami są postacie fikcyjne, zainspirowane krótkimi fragmentami XVIII-wiecznych pamiętników.

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl



KURTYNA W GÓRĘ

NA EKRANACH



„Inwigilacja”, na podstawie „Wigilii” Daniela Kehlmana, reżyseria Adam Krawczuk, Teatr WARSawy, premiera 6 marca 2021

PAŃSTWO PRAWA I PRZEMOC

Bezbłędnie zrealizowany thriller psychologiczny i polityczny. Uczestniczymy w policyjnym przesłuchaniu, w trakcie którego wykorzystywane są rozmaite chwytły, aby złamać kobietę podejrzaną o sprzyjanie dżihadystom. Czas nieubłagane upływa, a Ona nie chce odkryć swoich tajemnic. Rzecz jakby dzieje się naprawdę, wspomniany jest np. okrutny zamach w Paryżu. Czy teraz będzie jego kontynuacja? Mammy dwie doskonałe role aktorskie: Moniki Mariotti i Dominika Bąka, a przesłuchaniu towarzyszy psychodeliczna muzyka. Dramat napisał Daniel Kehlmann, wschodząca gwiazda austriackiej literatury.

Bronisław Tumitowicz

ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA

reż. Mariusz Wilczyński, prod. Polska, już w kinach

– Nigdy nie przytuliłem mamy, nie powiedziałem, że ją kocham. Z ojcem było tak samo. Nie pożegnałem się z nimi przed śmiercią – zawsze myślałem, że mam czas – mówi Mariusz Wilczyński. I przekonuje, że jego animacja, w której



BYĆ SOBĄ

Najtrudniej zaakceptować samego siebie. W piątej już premierze flagowego cyklu Debiut TR, w którym realizują spektakle wybijający się reżyserzy młodego pokolenia, czarnoskóry polski aktor i reżyser Wiktor Bagiński zmagają się z korzeniami. Nigdy nie poznał swojego ojca Nigeryjczyka i po latach próbuje dociec, skąd się wywodzi. W tej wciąż odkładanej podróży do Afryki



„Serce”, reżyseria Wiktor Bagiński, scenariusz Wiktor Bagiński, Martyna Wawrzyniak, TR Warszawa, premiera 5 marca 2021

jako lustro posłuży mu „Jądro ciemności” Conrada. Bohater uwikła się w związek ze starszą od niego dziewczyną z Kenii i stanie wobec niełatwych wyborów. Rośnie w nim poczucie bycia kimś niepełnowartościowym. Kolor skóry staje się stygmatem i trudną do pokonania przeszkoą.

Mimo rangi podjętego tematu Bagiński nie stroni od komizmu – scena w gabinecie terapeutycznym, będąca spotkaniem po 10 latach z dawną ukochaną, daje takie możliwości, z których brawurowo korzysta występujący w roli bohatera Dobromir Dymecki. Źródłem komizmu są także elementy „teatru w teatrze”, odśladujące fikcyjność granych ról i sytuacji.

Tomasz Miłkowski

ożywia rodziców, powstała właśnie po to, żeby naprawić błędy zaniechania. Pracował nad nią 14 lat, a efekt mocno wyróżnia się na tle tego, co oferują nam inni animatorzy. Zamiast kolorowych, odjechanych światów z wyobraźni dostajemy szaro-czarno-czerwoną, brudną rzeczywistość, w której dominują napięte relacje międzyludzkie, przemoc fizyczna i psychiczna oraz zamiany ról między ludźmi a rybami (i tych pierwszych patroszą te drugie). Twórcą podąża ścieżką własnych wspomnień, głównie bolesnych, związanych z Łodzią z przeszłości, jak i z ważnymi w jego życiu osobami (poza rodzicami to także artyści, m.in. Andrzej Wajda czy Irena Kwiatkowska). Kreśli zarazem portret wewnętrzny artysty i panoramę polskości, która na zmianę odstrasza i przyciąga. Warto sprawdzić, jak zadziała na nas.

Artur Zaborski

BYLIŚMY

TEST NA WIERNOŚĆ KOBIET

Opera Mozarta nosi tytuł „Cosi fan tutte” – „Tak czynią wszystkie”. Czy rzeczywiście wierność kobiet kończy się, gdy zaczynają działać siła pieniądza i wola odmiany? Na to pytanie dał odpowiedź sam Mozart, a za nim Jerzy Stuhr, reżyserując to arcydzieło. I nieważne, że Stuhr przeniósł akcję z Neapolu końca XVIII w. na plażę Lido z lat 20. XX w., a bogatych Albańczyków zastąpił szejkami. Dzieło Mozarta, z kategorii teatru buffo, w krakowskiej inscenizacji nie sypie gagami, choć są sytuacje humorystyczne (badanie na covid). Bardziej mają znaczenie śpiew i gra aktorska, scenografia, odtwórcy drugiego czy trzeciego planu – chór i balet. Ale przede wszystkim ma wybrzmieć muzyka i samo przesłanie opery, zawarte w tytule.

Wśród szóстки śpiewaków wybijają się nieznacznie pannie, Katarzyna Oleś-Blacha i Monika Korybalska, a także

Wolfgang Amadeusz Mozart, „Cosi fan tutte”, reżyseria Jerzy Stuhr, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, Opera Krakowska, premiera 12 marca 2021



Paula Maciołek. Panowie Adam Szerszeń, Jarosław Bielecki i Robert Gierlach też udźwignęli rolę, w czym wydatnie pomógł im dyrygujący Tomasz Tokarczyk.

Tak wszystkie czynią? Na to już niech każdy sobie sam odpowie, najlepiej po obejrzeniu przedstawienia.

Paweł Dybicz

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Futbol w czasach covidowej zarazy

Utracone wpływy, obniżone wypłaty
piłkarzy, pomoc państwa i PZPN

Futbol to prosta gra, w której – jak mawiał nieodżałowany Kazimierz Górski – możesz wygrać, przegrać albo zremisować. W czasie pandemii reguły mocno jednak się zmieniły. Pod względem finansowym sukcesem każdego klubu jest remis, czyli zbilansowanie wydatków z przychodami. O wygranej, czyli zarabianiu na piłce nożnej, nikt nie myśli. Przy braku kibiców na trybunach nawet spięcie budżetów graniczy z cudem.

Bezpowrotnie stracone pieniądze

COVID-19 okazał się zagrożeniem także dla piłkarzy, i to pod każdą szerokością geograficzną. Warto uzmysłwić sobie, jak wpłynął na szacowaną (według specjalistycznego portalu Transfermarkt) wartość rynkową reprezentantów Polski pracujących w zagranicznych klubach. Wycena Roberta Lewandowskiego

Na konta zawodowych klubów z tarcz finansowych wpłynęło ponad 30 mln zł. Kolejne 30 mln dołożył PZPN.

z najwyższego w karierze pułapu 90 mln euro spadła do 60 mln. Podobny zjazd nastąpił w przypadku innych kadrowiczów – Piotra Zielińskiego (z 42 do 24 mln), Arkadiusza Milika (z 40 do 22 mln), Krzysztofa Piątka (z 40 do 17 mln) i Kamila Glika – z 20 do zaledwie 3 mln euro (!). Ta przecena ma również miejsce na krajowym rynku. Wartość niedawnej nadziei polskiej piłki, Bartosza Kapustki, spadła z 7 mln do 1 mln euro. Oczywiście przyczyn spadków jest więcej; w przypadku Glika to po prostu PESEL, natomiast u Kapustki – przebyte urazy. Tyle że to powody współwystępujące, faktem bezspornym jest bowiem, że śmiertelność wirus nauczył wszystkich pokory. W świecie futbolu też.

Kluby bogatej niemieckiej Bundesligi w trakcie rocznej walki z pandemią i związanych z tym obostrzeń odnotowały aż 250 mln euro utraconych wpływów z dnia meczowego. W przeliczeniu na złotówki to ponad 1,1 mld. Nie można

sprzedawać biletów, nie ma obrotów związanych z cateringiem na stadionach i merchandisingiem. Siłą rzeczy budżety klubów muszą być niższe niż przed pandemią. W roku 2019 wpływy całej, składającej się z 16 klubów, PKO BP Ekstraklasy, przekroczyły 570 mln zł. Natomiast w obecnym sezonie, jak oszacował jeszcze przed startem rundy wiosennej prezes zawodowej ligi Marcin Animucki, tylko z tytułu absencji widzów na stadionach straty przekroczą 80 mln zł. Przepadnie zatem siódma część budżetu. To jednak nie koniec zmartwień.

– Skutki koronawirusa odczuwają mocno kluby tureckie, które przed pandemią chętnie zatrudniały Polaków i godnie płaciły za transfery naszym klubom. Teraz każdą lirę ogląda się nad Bosforem dwukrotnie, co spowodowało zatkanie tamtejszego kierunku transferowego – mówi były zawodnik kilku klubów Ekstraklasy, a obecnie menedżer piłkarski, Robert Kiłdanowicz. – Bardzo ostrożnie funkcjonuje także rynek rosyjski, mimo że w Premier-Lidze obostrzenia dla kibiców są mniej surowe niż w pozostałych krajach Europy. Jeszcze niedawno Arsenal Tuła czy Ural Jekaterynburg były gotowe wyłożyć pół miliona euro za stopera pokroju Jakuba Czerwińskiego z Piasta Gliwice. W czasie pandemii zainteresowanie tym graczem wykazało jedynie tureckie Göztepe, proponując za roczne wypożyczenie kwotę dziesięciokrotnie niższą. Takie obecnie są realia na rynku transferowym.

A trzeba dodać, że w roku 2019 zarobki z transferów – dla całej

ekstraklasowej szesnastki – wyniosły według raportu Deloitte „Polska liga finansowa” ponad 155 mln zł. Co stanowiło aż 27% wszystkich przychodów klubów występujących w najwyższej lidze w Polsce.

Najlepsze zespoły niemieckiej Bundesligi – z Bayernem Monachium, który wygrał prestiżową Ligę Mistrzów UEFA i został klubowym mistrzem świata – dziury budżetowe łatają dzięki udanym występom w europejskich pucharach. Kontynentalna federacja jest bajecznie bogata i chętnie dzieli się pieniędzmi nie tylko z najlepszymi, ale również ze średniakami. Dość powiedzieć, że poznański Lech za udane kwalifikacje i nieudane występy w fazie grupowej Ligi Europy – a więc w pucharze pocieszenia – w drugiej połowie 2020 r. dostał z UEFA niemal 11 mln euro – ok. 50 mln zł, tymczasem w roku 2019 budżet Kolejorza wynosił 46,1 mln zł! Cztery wygrane mecze w kwalifikacjach LE oraz zwycięstwo i remis w zasadniczej części tych rozgrywek plus przekazanie do UEFA praw telewizyjnych i reklamowych dały zatem Lechowi wpływy wyższe niż ze wszystkich innych źródeł przez cały rok przed pandemią!

Nie czas umierać

Problem w tym, że nasze drużyny w międzynarodowej rywalizacji spisuują się mizernie. Dlatego finansowe wsparcie musiały poszukać gdzie indziej i ustawiły się w kolejce po dotacje, które w kolejnych tarczach antykrzysowych zaofertował polski rząd. A także podłączyły się do kropłówki z pieniędzmi zaaplikowanej w najtrudniejszym momencie przez majątny PZPN.

Legia już w maju zeszłego roku otrzymała 3,5 mln zł z pierwszej



Wycena Kamila Gлика spadła z 20 do zaledwie 3 mln euro.

tarczy finansowej. Później w ślady mistrza Polski poszły Lech Poznań, Lechia Gdańsk, Jagiellonia Białystok i Pogoń Szczecin. O 3 mln zł skutecznie wnioskował Górnik Zabrze, o 2,7 mln zł Piast Gliwice, o 2 mln zł Raków Częstochowa. Spadkowicze z Ekstraklasy, Korona Kielce i Arka Gdynia, otrzymali z PFR po 1,6 mln zł. W sumie na konta zawodowych klubów wpłynęło z tego tytułu grubo ponad 30 mln zł. Kolejne 30 mln zł dołożył – w ramach wsparcia solidarnościowego w sezonie 2020/2021 – PZPN. Z dopłatą w wysokości 2,5 mln zł na program Pro Junior System, premiujący szkolenie młodzieży, dofinansowanie każdego uczestnika PKO BP Ekstraklasy przez krajowy związek przekroczyło w okresie pandemicznego paraliżu 2 mln zł. Zważywszy, że przygotowany przez federację zarządzaną przez Zbigniewa Bońka pakiet dla całego polskiego futbolu – łącznie z kobiecym, amatorskim i młodzieżowym – wyniósł 116 mln zł, zawodowcy odkroili z tego tortu naprawdę solidny kawałek.

„O życiu każdego z nas zazwyczaj nie decydują drobiazgowce i przemyślane plany. Najważniejsze są punkty zwrotne. Te przełomowe momenty i wydarzenia, na które nie mamy wpływu, nie jesteśmy

przygotowani i których nie mogliśmy przewidzieć – mógł napisać w felietonie w „Pulsie Biznesu” 7 stycznia br. właściciel Legii Warszawa, Dariusz Mioduski. – Dziś jesteśmy w trakcie rozgrywek, ale równolegle pracujemy nad kolejnymi projektami skierowanymi do mieszkańców miasta. Nie myślimy o tym, żeby wrócić do tego,

Aby zachować płynność finansową, prezesi klubów musieli renegecować z zawodnikami wysokość wypłat.

co było, tylko cały czas skupiamy się na przyszłości i rozwoju. Nowe przygody Jamesa Bonda też w końcu ujrzą światło dzienne, a świat zostanie ponownie uratowany. Czy obejrzymy je w kinie, czy na jednej z platform streamingowych, to kwestia wtórna. Najważniejsze jednak, że aktualny i wymowny pozostanie tytuł filmu... »Nie czas umierać«”.

Negocjacje i łamistrajki

Aby jednak zachować płynność finansową, prezesi klubów musieli renegecować z zawodnikami wysokość wypłat w okresie od marca do maja 2020 r., gdy rozgrywki zostały całkowicie zawieszone. Generalnie

zarządcy zabiegali o 50-procentową redukcję apanaży pracobiorców. I niemal wszyscy zawodnicy ze zrozumieniem podeszli do nietypowych próśb, mimo że na okoliczność takiej sytuacji nie istniały żadne przepisy – ani polskie, ani przygotowane przez FIFA. A ówczesny kapitan Cracovii Janusz Gol, który nie zgodził się na cięcie, z miejsca został karnie – decyzją trenera i wiceprezesa ds. sportowych w jednej osobie, Michała Probiezja – odstawiony od zespołu. I tuż po sezonie zwieńczonym wywalczeniem Pucharu Polski rozwiązał kontrakt z Pasami.

– Proszę nie wierzyć, że wszystkim w Ekstraklasie udało się obniżyć pensje piłkarzy o 50% na pełne trzy miesiące – mówi prezes jednego z pierwszoligowych klubów mających obecnie duże szanse na awans do najwyższej klasy piłkarskiej w Polsce. – Ogłaszanie, że udało się osiągnąć porozumienie przy redukcji kontraktów o połowę, było w mojej ocenie czystym zabiegiem PR-owym. Mającym na celu utrzymanie względnie dobrej atmosfery w klubach i przyzwoitego samopoczucia zawodników, którzy poszli na takie rozwiązanie. Wiem, co mówię, bo też miałem jednego łamistrajka. A rozmawiałem o obniżce o niecałe 40% i najslabiej zarabiającym – po 4 i 5 tys. zł – nie obcinałem poborów w ogóle. Gdy wyczerpałem już wszelkie możliwości

ugody, po prostu zapłaciłem delikwentowi tyle, ile innym zawodnikom pozostającym na jego pułapie płacowym. Z adnotacją, że jeśli czuje się pokrzywdzony, niech zgodnie z literą prawa pozowie mnie do sądu działającego przy PZPN. Dotąd nie otrzymałem jednak żadnego wezwania.

Kluby I ligi, czyli występujące na drugim poziomie rozgrywkowym, ale również w pełni zawodowe, także chętnie korzystały z subwencji z tarcz antykrzysowych oraz pakietu pomocowego PZPN. Z tego pierwszego źródła mogły uzyskać milionowe kwoty, z drugiego – prawie drugie tyle. Konkretnie – w ubiegłym sezonie po 120 tys. zł. Natomiast w obecnym – 10 mln zł z funduszu ▶

► solidarnościowego do podziału na 18 zespołów i 6 mln zł dopłaty (także do rozdzielania) do programu Pro Junior System

Choć jest skromniej niż w poprzednich latach, i to znacznie, a powszechne jest zaciskanie pasa, zawodowym klubom piłkarskim katastrofa finansowa nie grozi. Ale co z innymi?

zarabiający zawodnik mógł liczyć na 16 (słownie: szesnaście) tys. zł miesięcznie! A mówimy o czwartym poziomie rozgrywek. Uznałem, że to patologia. Najwyższe kontrakty porównywałem, a niższe, ale również niewspółmiernie wysokie w odniesieniu do klasy rozgrywkowej – z młodszymi i perspektywicznymi graczami

do trudności finansowych klubu ze zrozumieniem. Dotacje z samorządu i od sponsorów zostały zablokowane, toteż bez obniżki płac upadki klubów w III lidze i niższych byłyby nieuchronne.

Kluby I ligi, czyli grać trzeba na okrągło

Niezwykle istotna jest informacja, że przed meczami (i nie tylko) poniżej II ligi – w przeciwieństwie do zasad obowiązujących w futbolu w pełni profesjonalnym – nie przeprowadza się testów covidowych. – To proste, brakuje funduszy. Koszt jednego testu to 450 zł, proszę pomnożyć tę kwotę przez 30 osób, a następnie jeszcze cztery razy, bo tyle przeciętnie razy gramy w miesiącu – wyjaśnił prezes grającego w III lidze Bałtyku Gdynia, Jacek Paszulewicz. Zapytany, czy widzi jakieś wyjście z tej sytuacji, szczerze odparł, że nie. Wygląda na to, że tak naprawdę w przypadku koronawirusa jesteśmy skazani na... zrządzenie losu.

PKO BP Ekstraklasa nie ma aż takich problemów. Wpływy od sponsorów w poprzednim sezonie wyniosły 36 mln zł. To kwota, z której bez uszczerbku dla innych wydatków można uszczknąć na testy i sukcesywnie odseparowywać zainfekowanych, a dzięki temu uniknąć paraliżu rozgrywek. Aby zarabiać, trzeba bowiem grać na okrągło. A jest o co. Ze sprzedaży praw telewizyjnych do 16 klubów najwyższej ligi popłynęło w minionym sezonie w sumie niemal ćwierć miliarda złotych (niemal, gdyż 25 mln kosztowała produkcja sygnału telewizyjnego ze wszystkich stadionów). Posiadacze praw do transmisji – Canal + i TVP – również u progu 2021 r. stanęli na wysokości zadania. Już w momencie startu rundy rewanżowej, który w tym roku przypadł na ostatni weekend stycznia, na kontach klubów z elity znalazło się dwie trzecie należnych środków – 146 mln zł. PKO BP Ekstraklasa sama więc się wyżywi nawet w dobie koronawirusa. Co stanie się z półzawodowcami, a także z futbolem amatorskim i młodzieżowym – dziś nie sposób przesądzać. Choć nie brakuje opinii, że covidowe roczniki mogą być stracone. Dla reprezentacji, a nawet Ekstraklasy.

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Przed meczami poniżej II ligi z braku funduszy nie przeprowadza się testów covidowych.

– Widmo bankructwa zajaśniało w oczy wielu klubom, ale i przyczyniło się do wyczyszczenia finansów w niższych ligach – zwraca uwagę Andrzej Grajewski, były właściciel Widzewa Łódź, który w ubiegłym roku odpowiadał za politykę kadrową i transferową w trzecioligowej Kotwicy Kołobrzeg. – Kiedy rozpocząłem współpracę z Kotwicą, najlepiej

– renegocjowałem. W efekcie w nowym rozdaniu pensje nie przekraczały 6 tys. zł miesięcznie. Sześć miesięcy w 2020 r. było jednak bezpowrotnie straconych, nie było gry na tym poziomie, zawodnicy przez długi okres nie mogli nawet trenować, więc obligatoryjnie obniżyliśmy pobory o połowę. Nikt – mimo braku przepisów – nie protestował, wszyscy podeszli

Przeraźliwie smutne mecze

O to, jak radzą sobie w nowych okolicznościach zespoły z niższych lig, zapytaliśmy trenera Jerzego Jastrzębowskiego (w 1983 r. z Lechią Gdańsk zdobył Puchar Polski), obecnie prowadzącego gdyński Bałtyk w III lidze.

– 8 marca mogłem wrócić do pracy. Dołączyłem do grona pocovidowych ozdrowieńców.

6 marca 2020 r. nastąpił start rundy wiosennej i...?

– Rozegraliśmy pierwszy mecz ligowy i wprowadzono *lockdown*. Rozgrywki zostały zawieszone, obiekty sportowe zamknięte. Nikt nie mógł trenować, musieliśmy przejść na system zdalny. Rozesłaliśmy zawodnikom zestaw treningów na każdy dzień i zobowiązaliśmy do przesyłania informacji zwrotnej o wykonaniu zadania poprzez aplikację wgraną na telefon.

Kiedy zatem dokończyliście sezon 2019/2020?

– Nie dokończyliśmy. Jako końcową zatwierdzono tabelę po tym jedynym meczu wiosny 2020 r. Nikt natomiast nie został zdegradowany i dlatego w nowym sezonie mamy 21, a nie 17 rywali.

Zapewne z utęsknieniem czekaliście na złagodzenie restrykcji.

– Dopiero wtedy, na początku lipca, wróciliśmy do zajęć zespołowych i tak jest do dziś. Ćwiczymy zgodnie z zaleceniami, zachowując reżim sanitarny dotyczący liczby zawodników, dystansu między nimi w czasie treningu i noszenia maseczek w drodze na trening i z powrotem. Na szczęście żaden z zawodników nie był i nie jest zakażony.

Musieliście odczuć uderzenie koronawirusa po kieszeni.

– Zgadza się, ale dzięki operatywności zarządu nie było to aż tak bolesne. Mając pełną świadomość, co się dzieje, wszyscy bez żadnych sprzeciwów zrezygnowaliśmy z połowy wynagrodzenia. Grając zespołowo także w takiej kwestii, udaje się nam utrzymać odpowiednią atmosferę w klubie.

Chyba znacznie trudniej było się pogodzić z faktem, że rywalizujecie przy pustych trybunach?

– W żaden sposób nie da się z tym pogodzić. Piłka nożna bez kibiców jest jak kiedyś gra na podwórku. Kibice są nieodzowną częścią widowiska sportowego. Teraz mecze są po prostu przeraźliwie smutne.



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

„Zimne nóżki” to w slangu dziennikarskim określenie gotowca z okazji śmierci kogoś znacznego. Przygotowanego z góry, żeby mógł się ukazać nazajutrz po zgonie – chodzi nie o zwykłą klepsydę, ale o zestaw esejów i szkiców wspomnieniowych, blok materiałów poświęconych wybitnemu nieboszczykowi. Nigdy nie pracowałem etatowo w żadnej redakcji, więc nie wiem, kiedy się wskakuje na listę „zimnych nóżek”, czy decyduje bariera wieku, czy przecieki ze szpitala, wzmacnia je z pewnością rosnące prawdopodobieństwo śmierci. Nie wiem też, czy redakcje zaprzyjaźnione mają w zwyczaju dawać „zimne nóżki” do wglądu żyjącym bohaterom, bo ktożby nie chciał z góry autoryzować mowy pogrzebowej nad własną trumną, a przynajmniej poczytać o sobie zestawu chwalebnych tekstów – wszak o umarłych dobrze albo wcale. Po ujawnieniu „taśm Obajtki” i natychmiastowym uruchomieniu przez prorządowych propagandystów wątku turetyzmu przyszło mi do głowy, że pisowskie organa muszą mieć arsenał takich gotowców na wypadek przyłapania swoich

pierwszej prezydenckiej elekcji partyjnego lizuska, bogobojnego slalomisty z Krakowa. „Z przemodlenia, z przeomdlenia senny” przespałby wirusowe tsunami – gdyby go nie wybudziły wiosenne roztopy, dalej szusowałby z przerwami na msze święte i siedział cichutko jak rezerwowowy ministrant na zakrystii; jemu już niepotrzebna troska o poparcie, trzeciej kadencji nie będzie, jeszcze cztery lata w pałacu pomieszka i polata z misjami specjalnymi na plażę do Juraty lub stok do Wisty.

Co do mnie, ulegam nieustannemu zamgleniu, czym tłumaczę się radykałom, oni wszystko widzą w skrajnie wyostrożonych konturach. Na przykład znajoma radykalna feministka gani mnie, że wychwalam publicznie figurę własnej Żony, choć czynię to niejako na marginesie litanii na cześć innych jej przymiotów – nie gani mnie więc za seksizm, ale za to, że wykazuję postawę *body negative*. Uwłaczam tym samym godności kobiet, które nie mają czasu ani pieniędzy na to, by dbać o ciało. Przyparty do muru przepraszam za niefrasobliwość, tłumaczę się mgłą,

Mglistość rzeczy

grubych ryb na jakiejs niedogodności. Jest to szczególny rodzaj „zimnych nóżek” na okoliczność śmierci politycznej – i tu nie mam wątpliwości, że ich treść jest z zainteresowanymi konsultowana.

Na czym wywalił się rząd PO? Na wulgaryzmach, osmiorniczkach i aferach finansowych – aby zatem rząd PiS nie wypadł za bandę z tych samych przyczyn, należało przygotować materiały dezorientujące. Ktoś z naszych klnie jak szewc? To koprolalia, nerwicowe natręctwo, biedak walczy, jak może, ale czasem mu się ulewa więzanka. Żre cymeszy i frykasy? Cierpi na bulimię, pokątnie wszystko potem wyrzuca. Kradnie? To nie złodziej, lecz kleptomani, chachmęci kompulsywnie, to straszna choroba, co weźmie i tak odda na tacę. A teraz za sprawą pandemii nauczyliśmy się nowego, lirycznego określenia, które jest prawdziwym jokerem w talii tłumaczeń – oto nadciąga mgła mózgowa. Każde podejrzané zachowanie, jak również każde partactwo, niekompetencję, bełkot, kłamstwo, przekręt – wszystkie stałe elementy pisowskiej codzienności politycznej będzie można wytłumaczyć za pomocą mgły mózgowej, jak niegdyś za sprawą pomrocności jasnej szukano alibi dla pewnego świętej już pamięci pirata drogowego.

Mgłą mózgową to ja mam, od kiedy sięgam pamięcią, a sięgam raczej niedaleko z powodu mgły mózgowej; tydzień temu nie dałem rady z jej powodu napisać felietonu, och, mgła mózgowa nie pozwoliła mi napisać moich najlepszych książek, tych, za które powinienem już dawno otrzymać Nagrodę Nobla. Mgliście widzę przyszłość Polski spowitej mgłą mózgową co najmniej od sześciu lat, tj. od

zmieniam temat na kinofilę, tu zwykle łatwiej nam się dogadać jako filmoznawcom.

Oglądam teraz niemal wyłącznie stare, przedwojenne filmy, a wyszukuję takie, które opinia publiczna i rządy wysmażały za szkalowanie imienia narodu. Wynałazłem np. ostatnio kostiumowe cacko Jacques’a Feydera „Zwyciężyły kobiety” z 1935 r., komedię wspaniale ożywiającą malarstwo dawnych mistrzów flamandzkich. Rzecz dzieje się opodal XVIII-wiecznej Antwerpii, dziarscy w warunkach pokojowych mężczyźni na wieść o przemarszu wojsk hiszpańskich chowają się gdzie popadnie (także na... marach), kobiety zatem muszą wziąć sprawy w swoje ręce. Zamiast panikować, ucieszone świeżym ładunkiem wygodniactwa przystojniaków o południowym temperamentem spędzają z nimi bez mała orgiastyczną noc, co łagodzi obyczaje najemników i oszczędza miasteczko przed spodziewanym spłodowaniem. Niektóre opieszale damy dają nazajutrz wyraz rozczarowaniu, że Hiszpanie wyjeżdżają, nie spełniwszy złowieszczych zapowiedzi: „Jak to, przecież mieli nas gwałcić...”. Ten dowcip nie powinien być mnie rozbawiać, rzecz znajoma, tłumaczę się zatem mgłą mózgową, mówię, że Kaja Staśko myli mi się z Mają Godek i tu już nawet mgła nie pomaga, znajoma się obraża.

Radykałowie z obu stron mają uwiad poczucia humoru. Prawica wszystko musi utopić w tromtadrackim patosie, lewica w każdym dowcipie znajdzie wykluczające szyderstwo. Nie ma co się unosić, i tak wszyscy utoniemy we mgle.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



Konrad Malec

Plemienny totem

Nawet mieszcuchy mają szansę spotkać bociana, gdy tylko miną rogatki miast. A świadomość, że co czwarty bocian jest Polakiem, napędza narodową dumę

Z pierwszymi pomrukami odwilży, jeszcze w lutym, usłyszałem sakramentalne, coroczne „bociany już w drodze?”. Te, które zimowały w południowej Afryce, już były w drodze. Te, które pofatygowały się jedynie na południe od Sahary, jeszcze nie. Informowałem grzecznie i wyczerpująco, ale jako zimoluba drażniło mnie to pytanie.

Same bociany są bez winy, darzę je dużą sympatią. Rzecz jasna, piszę o bocianach białych, czarne, choć blisko spokrewnione, prowadzą odmienny styl życia. Podejrzewam, że pytania o bociany nie wynikają z tęsknoty za wiosną, mamy wiele innych powszechnie znanych zwiastunów, ot, choćby przebiśniegi i skowronki. Sądzę, że bociany są naszym ptakiem plemiennym, narodowym, w dużo większym stopniu niż bieliki. Wzniosły bielik wylądował w godle, ale ze swoją orlą powagą jest odległy, przebywa w świecie ideałów, kołując na niebotycznych wysokościach. Co innego bocian – ten jest swojski i nawet mieszcuchy mają szansę go spotkać, gdy tylko miną rogatki miast. Gniazduje po sąsiedzku, a powszechna świadomość, że co czwarty bocian jest Polakiem, napędza narodową dumę. Wprawdzie ostatnio boćkom w Polsce nie wiedzie się najlepiej i nie jesteśmy już najbardziej bocianim krajem świata, o czym za chwilę, ale Wojtusie i Kajtki są swoistym totemem. Nie jestem znawcą sztuki, lecz wydaje mi się, że

to właśnie przysporzyło popularności obrazowi Józefa Chełmońskiego „Bociany”, na który dziś patrzymy z sentymentem, choć bije z niego bieda i zacofanie polskiej wsi.

Owo zacofanie było przyczyną, dla której Polska bocianem stała. Już w XIX w. bociany ustępowały z Europy Zachodniej. Świetnym przykładem tego zjawiska jest Dania, która wiek pary i elektryczności witła z kilkoma tysiącami par bocianów. Kolejne stulecie zaledwie z kilkoma setkami, a obecne z kilkoma. Może kilkunastoma, ale palców na pewno by nam wystarczyło do ich policzenia. Ta sytuacja dotyczy większości krajów zachodnich. Owszem, nowoczesność powoli przesączała się na polską wieś w drugiej połowie XIX w., głównie za sprawą z jednej strony wielkich majątków, a z drugiej spółdzielni rolniczych, były to jednak zmiany na małą skalę. Zresztą pożogi wojenne pierwszej połowy minionego stulecia zredukowały postęp, bezlitośnie rujnując i arystokratyczne majątki, i chłopską samoorganizację. Dość wspomnieć, że wielu moich

sąsiadów pamięta czasy sprzed elektryfikacji kurpiowskiej wsi i opowiada ciekawe, często figlarne historie sprzed epoki żarówek. Wprawdzie reforma agrarna powiększyła gospodarstwa z paru mórg do kilku hektarów, o wielkich pegeerach nie wspominając, ale mechanizacja i chemizacja następowały powoli. Okres transformacji dodatkowo przyhamował ten proces zmian. Wprawdzie już w połowie minionego stulecia prof. Jan Sokołowski, najpiękniej piszący o ptakach ornitolog, alarmował, że od stu lat ubywa w Polsce bocianów, jednak dopiero przemiany wywołane wejściem do Unii znacząco przyspieszyły przykre zjawisko.

Rolnictwo stało za sukcesem bocianów, lecz i ono jest przyczyną ich porażki. Nie znamy liczebności bocianów sprzed tysiąca lat, ale na podstawie ich biologii możemy podejrzewać, że były to ptaki bardzo nieliczne. Bociany lubią otwarte i podmokłe przestrzenie, porośnięte niską roślinnością, na której pasą się duzi roślinożercy. Takie warunki panowały przede wszystkim w dolinach



dużych rzek, gdzie okresowe powodzie niszczyły roślinność drzewiastą. Tam też żerowały jelenie, żubry i tury mające sojusz z trawami, wymierzony w drzewa. Wraz z wkroczeniem człowieka ustępowały pradawne puszcze. Ustępowały też zwierzęta – tur wyginął zupełnie, istnienie żubra zawisło na włosku, a jelenie zostały zepchnięte do lasów. Ich miejsce zajęły krowy i woły, będące podstawową siłą pociągową. Zwierzęta te płoszyły pasikoniki, jaszczurki i myszy, będące przysmakami bocianów. Niestety, obecna chemizacja rolnictwa, komasacja, często nieoficjalna, gruntów z towarzyszącym temu zanikiem miedzi i chwastów, z zasiewami jedną i tą samą rośliną olbrzymich obszarów zmniejsza ilość pokarmu: owadów i innych bezkręgowców. W ciągu 30 lat zniknęła jedna czwarta ogółu owadów. To z kolei sprawia, że giną kolejne organizmy, zależne od owadów. Widać to wyraźnie na przykładzie ptaków – liczebność tych związanych z krajobrazem rolniczym zmniejszyła się o ok. 30% od początku XXI w. Redukcje nie ominęły bocianów.

Owady stanowią podstawę diety naszych boćków, przynajmniej latem, kiedy jest ich naprawdę dużo. Powszechne przekonanie o szczególnie upodobaniu bocianów do żab wzięło się najpewniej z wiersza Marii Konopnickiej „Co dzieci widziały w drodze”, niegdyś bardzo popularnego, w którym bocian nie sie w dziobie żabę. W rzeczywistości bociany to oportuniści, jedzą wszystko, co się rusza i da w dziób złapać.

Z owym ruszaniem się związana jest historia z drugiej połowy lat 30., kiedy nieopodal Lwowa prowadzono badania nad bocianami. Schwytane ptaki przez pewien czas przetrzymywano w spichlerzu, gdzie karmiono je myszami i żabami, zwykle martwymi. Bociany odmawiały konsumpcji nieruchomej zdobyczy, dopiero pociąganie truchła na sznurku przyniosło pożądane rezultaty. Badania przykuły uwagę całej ówczesnej Europy, a ich wyniki znalazły się w najbardziej prestiżowych czasopismach naukowych tamtego czasu. Pracami kierował Kazimierz Wodzicki, znakomity biolog. Po fatalnym wrześnie prof. Wodzicki został aresztowany przez NKWD, ale szybko go zwolniono. Jego ojciec tyle szczęścia nie miał, deportowany na Syberię nie wrócił, Kazimierz zaś przedostał się do Paryża i oddał do dyspozycji emigracyjnego rządu. Służba dyplomatyczna powiodła go z Paryża do Londynu, a potem do Wellington, gdzie spędził resztę życia. Wszędzie udzielał się na polu nauki i ochrony przyrody. Za sprawą państwa Wodzickich Nowa Zelandia przyjęła polskie sieroty po więźniach GUłagu, o czym było niedawno bardzo głośno. Szkoda, że rząd wychwalający polskiego dyplomatę jednocześnie opluwa tę

Bociany lubią otwarte i podmokłe przestrzenie, porośnięte niską roślinnością, na której pasą się duzi roślinożercy.

samą osobę, odsądzając od czci i wiary wszelką ochronę przyrody. Nadmienię, że Wodzickiemu asystował w badaniach Włodzimierz Puchalski, prekursor fotografii i kinematografii przyrodniczej.

Wracając do boćkowej diety, żaby, wraz z dżdżownicami, zwykle są podstawą strawy krótko po przybyciu ptaków do kraju. Owadów jeszcze nie ma, a gryzonie są przetrzebione przez zimę, lisy, sowy i myszołowy. Bociany nie gardzą również inną zdobyczą, chętnie jadają krety, w ubiegłym roku kolega widział osobnika pochłaniającego szczurą, a mnie trafił się mały zając w czerwonym dziobie. W takim przypadku bocian najpierw długo miażdży ofiarę dziobem, by ją zmiękczyć – jego dziób nie jest przystosowany do ćwiartowania łupu. W innych krajach żywią się pokarmem tam dostępnym, np. w Hiszpanii sporą część ich diety stanowią pewne

raki, skutkiem czego dzioby i nogi bocianów są bardziej jaskrawe – ich czerwień nie bierze się z barwników produkowanych w organizmie, ale z pokarmu, a wspomniane raki są bardzo bogate w karotenoidy. W Hiszpanii bociany żerują też intensywnie na wysypiskach śmieci, co ma dwojakie konsekwencje. Po pierwsze, tamtejsza populacja mocno się zwiększyła, przez co bociany z iberyjskim paszportem wyprzedziły demograficznie nasze Wojtki i Kajtki. Po drugie, dzięki łatwo dostępnemu, całorocznemu źródłu pokarmu coraz więcej boćków nie podejmuje wędrówki zimowej. Wprawdzie i nad Wisłą mnożą się doniesienia o zimujących bocianach, ale wydaje się, że chodzi o ptaki, które fizycznie nie są w stanie podjąć zimowej podróży. Takie boćki często trafiały pod opiekę ludzi, co znalazło odzwierciedlenie w „Chtopach” Reymonta i jest kanwą „Kajtkowych przygód” Marii Kownackiej, lektury szkolnej mojego dzieciństwa. W każdym razie i u nas coraz częściej bociany żerują na wysypiskach, kto wie, może zmieni to ich migracyjne zwyczaje.

Trasy wędrówek długo były zagadką. Wiedzano, że bociany zimują w Afryce, widzieli je tam podróżnicy, świadczyły o tym strzały, które nie

uśmierciły ptaków, a z którymi bocianom udało się dotrzeć w rodzinne strony. Osobniki ze strzałami trafiają się i dziś, te, których dosięgły kule, zwykle nie mają tyle szczęścia. O ile w Afryce bociany często są zabijane dla zaspokojenia głodu, o tyle na Bliskim Wschodzie giną jako efekt tradycji, choć inna islamska tradycja nakazuje je czcić, gdyż w czasie wędrówek mają zawsze odwiedzać Mekkę. Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że i u nas nie zawsze bociany były bezpieczne, w drugiej połowie XIX w. strzelano do nich, oskarżając o powodowanie strat w drobnej zwierzynie. W polskim tłumaczeniu fundamentalnego „Życia zwierząt” Alfreda Brehma czytamy, że bociany rozpoznają pastuchów i oraczy, przed którymi nie uciekają, lecz myśliwym nie pozwalają zbliżyć się na odległość strzału. Nie jest jasne, czy to oryginalny opis samego Brehma z drugiej

► połowy lat 60. XIX w., dotyczący sytuacji w Niemczech, czy dodatek polskiego tłumacza z połowy lat 30. XX w. Przekładu dokonała plejada polskich uczonych, którzy miejscami sporo dodali od siebie. W każdym razie przez wiele lat trasy wędrówek były nieznane. Ustalono je dopiero w latach 30., donosiło o tym czasopismo „Przyroda i technika” z 1933 r. W artykule „Którędy lecą bociany?” donoszono, że te zasiedlające tereny na zachód od Wezery lecą przez Francję, Hiszpanię i Gibraltary, bytujące zaś na wschód od tej rzeki – nad

gniazda, szczególnie w zasobnych okolicach, gdzie czasem bociany gniazdują w koloniach. W takich sytuacjach częste są kradzieże budulca z gniazda sąsiada, toteż zwykle jeden z ptaków strzeże nieruchomości. W dziobobiciu udział biorą obie płcie. Niekiedy dochodzi do bójek samic o faceta. Wynika to z tego, że samce przybywają na miejsce dwa tygodnie przed samicami. Gdy partnerka się spóźnia, mąż nie zasypia gruszek w popiele i łapie pierwszą chętną stanu wolnego. Gdy jednak wcześniejsza małżonka wróci i zastanie rywalkę

wróbłom i jerzykom, blokowanie otworów w stropodachach bloków z wielkiej płyty odbiera lokum kawkom. Zagospodarowane strychy eksmitują płomykówki (sowy), a piwnice przerobione na kotłownię odbierają nietoperzom zimowe legowiska. Bociany nie są tak zaborcze i w niższych kondygnacjach często mają domostwa wróble, mazurki, szpaki, pleszki, kopciuszki, pliszki siwe czy kawki, a nawet puszczyki. Ba, to nie koniec wsparcia udzielanego przez bocianie gniazda innym organizmom. Wedle opublikowanych w ubiegłym roku badań polskich naukowców związanych z Uniwersytetem Rolniczym w Krakowie i Uniwersytetem w Białymstoku z nanoszonego materiału tworzy się gleba! Takie środowisko okazuje się idealne dla wielu mikroorganizmów, stwierdzono w nim również 22 gatunki owadów i 82 grzybów, z tych ostatnich połowa nie była znana nauce. Naukowcy nazwali bocianie gniazda hot spotami różnorodności biologicznej.

Do niedawna wierzący, że bocianie gniazdo w obejściu zwiastuje powodzenie i chroni przed piorunami. Przynajmniej jeden piorun o tym nie wiedział, gdyż na oczach mojego kolegi uderzył w bociana na gnieździe. Ptak przeżył, choć przez dwa dni był



Badania ze znakowaniem ptaków dowiodły, że bociany wracają w tę samą okolicę, a gniazdo... cóż, wybierają najlepsze jeszcze niezajęte.

Bosforem. „Te dwie drogi spotykają się następnie w Afryce Południowej”, konkludowano w gazecie i pytano o mechanizm, według którego ptaki orientują się w drodze. Czasopismo informuje o planowanych badaniach niemieckich tej kwestii. Tego też dotyczyły wspomniane badania Wodzickiego.

Od tamtej pory wiele się dowiedzieliśmy o ptasiej nawigacji i sposobie wyboru tras, niemniej jednak ciągle brakuje odpowiedzi na wiele pytań. Grunt, że bociany skutecznie wracają do... No właśnie, do czego? Powszechne przekonanie mówi, że zawsze wracają do tego samego gniazda, rzeczywistość jest odmienna. Badania ze znakowaniem ptaków dowiodły, że bociany wracają w tę samą okolicę, a gniazdo... cóż, wybierają najlepsze jeszcze niezajęte. Niekiedy dochodzi do sporów o dobre

u boku chłopa... sprawniejsza wojownicza bierze wszystko, tj. i samca, i gniazdo. Gdy młode dojrzej do założenia rodziny, najczęściej osiedlają się w okolicy, z której pochodzą, choć znane są odstępstwa od tej reguły i ptaki osiedlają się nawet dalej niż 600 km od miejsca klucia.

Bocianie gniazda bywają rozbudowywane przez dziesiątki lat. Każdego roku bociany zaczynają od porządnej nadbudowy, później przez cały sezon donoszą po trochu budulca. Przeciętnie to 64 kg na sezon. Dla porównania, gdyby tak robili ludzie, co roku nasze mieszkania zyskiwałyby półtony. Taką też masę osiągnęły rekordowe bocianie gniazda, mierzące 2 m wysokości i 1,5 m średnicy.

Ludzkie mieszkania w ostatnich latach są coraz mniej przyjazne nieludzkim mieszkańcom. Termomodernizacje odbierają miejsce do życia

nieco oszołomiony i nie miał apetytu. Wierzący także, że bociany sejmikują niczym polska szlachta. Do dziś stada bocianów przed afrykańską odyseją zwie się sejmikami. W ich trakcie miało egzaminować młodzię oraz sądzić odstępstwa od prawa, m.in. zadziobując na śmierć cudzołożników. Do kraju, gdzie winą jest popsować gniazdo bocianie, tęsknił Norwid, a Słowackiego ogarniał smutek na widok lecących bocianów. Szkoda by było stracić ten element swojskości; niestety, jeśli pilnie nie zmienimy polityki i gospodarki rolnej, bociana będziemy kojarzyć co najwyżej z wątpliwymi pożyczkami.

Dziękuję Tomaszowi Janiszewskiemu i Jarosławowi Górskiemu za rozmowy, które podsunęły mi interesujące wątki do niniejszego artykułu.

Konrad Malec

Filary władzy

Jeżeli resortowe wiewiórki się nie mylą, to pierwszą osobą, która skorzysta z dobrodziejstwa nowej ustawy o służbie zagranicznej, będzie Małgorzata Gosiewska, ważna postać w PiS, obecna wicemarszałkini Sejmu. A pojedzie ona na stanowisko ambasadora do Gruzji, czego sobie zażyczyła.

Hm... Nie brakuje osób, które w ten wyjazd wątpią. Z dwóch powodów. Po pierwsze, oznaczałby on, że pani Gosiewska udaje się na polityczną emeryturę, że wybiera góry Kaukazu i przyjemne życie, rezygnując z polskiej polityki – ze stanowiska wicemarszałkini Sejmu i z ważnej pozycji w Komisji Spraw Zagranicznych. Gosiewska była promotorką wcześniejszego projektu ustawy o służbie zagranicznej. Akurat ten projekt padł, ale warto przypomnieć jeden z jego zapisów. Otóż przewidywał on, że przy szefie MSZ powstanie Rada Służby Zagranicznej. Teoretycznie miało to być ciało doradczo-opiniujące, a w praktyce komisja składająca się z posłów (chyba nikt nie wątpi jakich), nadzorująca decyzje kadrowe ministra. I wiadomo było, że główną postacią w tej komisji byłaby Gosiewska. Ten zapis pokazywał jej ambicje – *de facto* drugiej osoby po szefie MSZ. Dlaczego więc mamy sądzić, że je straciła?

Po drugie, wcale nie jest pewne, że Gruzini dadzą jej *agrément*. Gosiewska lubi jeździć do Gruzji i nie ukrywa przy tym sympatii politycznych. Z góry byłoby więc wiadomo, komu by kibicowała, a kogo krytykowała. „W Gruzji demonstranci są bici i katowani. W kraju tym droga awansu uzależniona jest od koneksji z rządzącymi: nieważne, czy ktoś jest kompetentny, czy nie. Liczy się, aby był lojalny” – nie, nie jest to opowieść o Polsce, ale słowa Gosiewskiej o Gruzji, o której mówi również, że zmierza od demokracji do autokracji. No, jeżeli tak jest, to władze *agrément* Gosiewskiej nie dadzą.

I przy tym wszystkim najmniejszym problemem jest postać obecnego ambasadora w Tbilisi Mariusza

Maszkiewicza, który jest tam od roku 2016, więc siłą rzeczy powinien wracać do Warszawy.

Nawiasem mówiąc, placówka w Tbilisi jest znakomitą przykładem tego, jak poszczególne ekipy traktują politykę zagraniczną i na jakich ludziach najchętniej się opierają. Maszkiewicz, socjolog, religioznawca, związany wcześniej z grupą Wolność i Pokój, to przedstawiciel ekipy, która przyszła do MSZ w początkach lat 90. Był pierwszym przedstawicielem RP w Wilnie, zakładał konsulat w Grodnie, w latach 1998-2002 był ambasadorem w Mińsku.

Potem odnalazł się w otoczeniu Lecha Kaczyńskiego i był doradcą ds. polityki wschodniej premiera Jarosława Kaczyńskiego. Następnie pracował w centrali MSZ. Gdy PiS wróciło do władzy, w 2016 r. pojechał do Tbilisi.

Placówka była wolna, bo poprzedniego ambasadora, Andrzeja Cieszkowskiego, PiS odwołało po trzech latach ambasadorowania. Dlaczego? Spójrzmy na jego życiorys. Studiował na MGIMO (choć w latach 1990-1995), potem ukończył studia podyplomowe na SGH. A w MSZ wpadł w oko ministrowi Sikorskiemu, sprawnie realizując politykę Partnerstwa Wschodniego. Zdaje się, że i MGIMO, i Sikorski – to już okazało się dla PiS nie do strawienia.

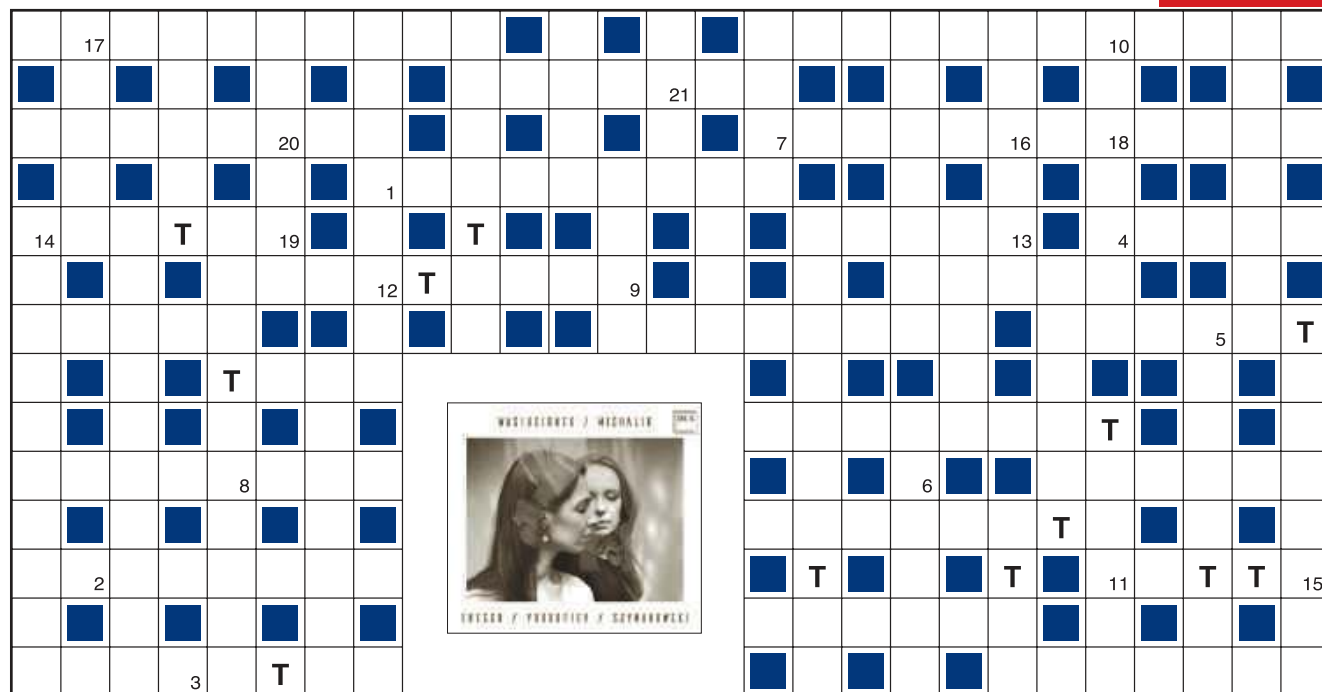
Poprzednikiem Cieszkowskiego w Tbilisi była z kolei Urszula Doroszevska (ur. 1954), harcerka z Czarnej Jedyńki (tej od Macierewicza i Naimskiego), od zawsze w opozycji (KOR, Solidarność itd.), z MSZ nic wcześniej niemająca wspólnego. Nominację uzyskała w roku 2008 z błogosławieństwem Lecha Kaczyńskiego (w którego kancelarii pracowała) i PO (bo zasłużona).

Teraz od roku 2017 jest ambasadorką na Litwie, a wyjechała tam w wieku emerytalnym. Gdyby więc ktoś nie wiedział, po co PiS jest MSZ i nowa ustawa o dyplomacji, to już wie.

Attaché

Pożegnalny taniec dla króla Zulusów Goodwilla Zwelithiniego, który zmarł 12 marca po 50 latach panowania. Mongoma, RPA, 17 marca.





Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 21 tworzą końcowe hasło.

- jego muzeum w Odense
 - krzewiciel chrześcijaństwa
 - przyrząd do pomiaru ciśnienia atmosferycznego
 - preparaty, odczynniki itp. w laboratoriach
 - ...von Pless, baronowa na Książu
 - młodości, miłości lub wielosokowy z „Harry’ego Pottera”
 - imię autora „Słońce też wschodzi”
 - czasem chcemy zamknąć pewien... w życiu
 - swawolna zabawa, dokazywanie
 - pruski złożony Zygmuntowi Staremu
 - anonimowy tak samo jak Iks
 - miasto w Szwecji albo kalamarnica
 - łódź indiańska lub eskimoska
 - dawna nazwa gaźnika
 - samochodowe – z ekranem plenerowym
 - zbiorowy, figurowy taniec, modny pod koniec XVIII w.
 - z rodziny jastrzębiowatych, poluje na ptaki przy karmnikach
 - szpital, przychodnia lub weterynaryjna
 - deus ex...
 - drgające światło, skrzemie się, ruch czegoś błyszczącego
 - podobnie o kimo niezadowolnym
 - obramowanie, linia wokół
 - szkarłatny – nadaje się na wyplot
 - dypsomania to ...okresowe
 - badacz ptaków
 - stroma ścieżka górską
 - sfilmowana powieść Anki Kowalskiej
 - statek unoszący się tuż nad wodą lub lądem
 - „Wszystko jest...” Edwarda Stachury
 - uczciwość
 - i szlachetność
 - tworzone na portalach społecznościowych
 - transplantat
 - i mały port, i bezpieczne miejsce
 - na tenże...kimo wykonuje służbę na igrzyskach zimowych
 - w budce na proscenium
 - zostawiany na piasku, na śniegu
 - ma być budowana następna na Wiśle
 - stroma skała lub szczyt o ostrym wierzchołku
 - minerałów – mierzona w skali Mohsa
 - szacunek, poważanie
 - fermentuje w gorzelnii
 - słusznosc poparta racjami
 - stok, skłon
 - żąda za coś zbyt wysokiej ceny
 - imię odkrywcy i wydawcy twórczości Norwida
 - można gnać na ...karku

KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś „Przełęgłdzi”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1005”. Do rozlosowania płyty „Wasiucionek/Michalik. Enescu/Prokofiev/Szymanowski” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 marca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1002” z nr. 10: *Wielcy nie rodzą się wielkimi.*
Nagrody otrzymują: Michał Bajko z Białegostoku, Janina Kaczmarek z Kielc, Aleksandra Kowalewska z Ełku.

PENETRACJE

POLSKA

**PROF. JERZY
BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA**

Żart jest jednym ze sposobów obrony. Bronimy się przed rzeczami groźnymi, trochę się z tego śmiejąc. Wszystkie te jednoimienne szpitale czy współwystępujące objawy... Czy też „wypląszczanie krzywych”. Wyszczepianie jest kategorią socjologiczną. Różnica między zaszczepieniem a wyszczepieniem jest taka, jak między zamordowaniem a wymordowaniem – przepraszam za drastyczność porównania. Wyszczepia się grupy ludzi. A zaszczepić można jedną osobę czy dwie osoby; w każdym razie ma to charakter bardziej medyczny.

RES HUMANA

**MAREK PRAWDA,
DYPLOMATĄ**

W końcu lutego ponad 80% krajów nawet nie rozpoczęło akcji szczepień. Unia zamówiła wielokrotnie więcej preparatów, niż potrzebuje, z góry zakładając przekazanie ich tym, których na to nie będzie stać, albo np. odsprzedań bez zysku sąsiadom, którzy mogą mieć do nich trudniejszy dostęp. To Unia jest największym darczyńcą w ramach wielkiego programu COVAX na rzecz udostępnienia szczepionek 92 krajom o niższych dochodach.

URODA

**MAGDA
DYGAT-DUDZIŃSKA,
PISARKA**

Mam tylko jedną jedyną mądrość do przekazania. Taką, która przychodzi z wiekiem. Życie jest nieludzko krótkie, nie warto tracić go na bzdury, na małostkowe kłótnie. Trzeba z życia korzystać, nie odkładać niczego na później, bo okazja może się już nie powtórzyć. Mój ojciec uważał, że jeśli dostajesz jedno jabłko lepsze, a drugie gorsze, to lepiej zacząć od tego lepszego, bo jak się zacznie od gorszego, to tamto lepsze też już może być później gorsze. Kiedy był mały, na urodzinach kolegi zjadł wszystkie ciastka i wyjaśnił: „Nikt nie lubi ciastek tak jak ja”.

STYL

**AGATA KULESZA,
AKTORKA**

Najbardziej lubię się śmiać, dużo teraz się śmieję. Z małych rzeczy zaczynam się cieszyć. Kończę 50 lat i podoba mi się, co powiedziała przyjaciółka, Kaśka Nosowska: „Słuchaj, kończymy pięćdziesiątkę, będziemy wiedźmami! – Wiedźmami?! – Tak, to słowo pochodzi od wiedzy! – Aha, to ekstra!”. Cieszy mnie taka wizja. Mam nadzieję, że będą lepsze czasy i zrobię huczne obchody 50. urodzin.

Aby język giętki...

MAGDA UMER O AGNIESZCZE OSIECKIEJ

Żyła na swoich zasadach, do końca świadomie decydowała, czego chce.

JAN ENGLERT O BEZRADNOŚCI

Nienawiść bierze się z bezradności. A ponieważ nie lubię być bezradny, rzadko nienawidzę.

**PROF. KRZYSZTOF SIMON
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM**

To publiczny striptiz. Patrzcie, jaki jestem nieszczęśliwy, współczujcie mi wszyscy. I płacicie.

**ANTONI DUDEK
O JAROSŁAWIE GOWINIE**

To inteligentny polityk, który przygotowuje się do zmiany frontu po raz kolejny.

LUDWIK DORN O WIOŚNIE

Może dojść do masowych demonstracji z jednym żądaniem – przedterminowych wyborów.

DOROTA SEGDA O TYM, CO WIDZI

Zakłamanie fundamentalistycznego, kościółkowego myślenia, że kobieta jest winna za grzechy Ewy.

MAGDA MOŁEK O „DZIEŃ DOBRY TVN”

Nie pozwalałam sobie na prawdziwe emocje. Zawsze musiałam być w stanie euforycznym, żeby wszystkim dobrze się ze mną wstawiało.

MAREK PIWOWSKI O NATURSZZYKACH

Żaden zawodowy aktor, nawet najlepszy, nie zastąpi naturzyczka, który jest obdarzony cechą naturalnej siły komicznej.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O TRENINGACH

Bardzo ciężko, wręcz katorzniczo trenowałam. To nie miało nic wspólnego z relaksem czy przyjemnością.

URSZULA DUDZIAK O STAROŚCI

W tym roku kończę 78 lat. Trzymam taki wycinek z gazety: „Sześćdziesięcioletnia staruszka wpadła pod auto...”.

ANDRZEJ GRABOWSKI O MIŁOŚCI

Ja też byłem odrzucany przez kobiety, które kochałem, albo odrzucałem te, które mnie kochały.



Latająca kolacja w jednej z restauracji Dinner in the Sky.

Rozum pod młotkiem

Amerykańska firma technologiczna nabyła na aukcji grafikę ukazującą aukcję, spaliła ją, a następnie wystawiła na aukcję i sprzedała z zyskiem. Już tłumaczymy, jak to możliwe. Injective Protocol za 100 tys. dol. pozyskała pracę Banksy'ego zatytułowaną „Morons” (Kretyni), przedstawiającą licytację obrazu i opatrzoną napisem: „Nie mogę uwierzyć, że jesteście takimi kretynami, że naprawdę kupicie to g...”. Następnie nowi dysponenti dzieła publicznie je zniszczyli i zaczęli szukać nabywcy jego cyfrowej reprodukcji, która ostatecznie osiągnęła cenę 380 tys. dol. Panie Banksy, może pan w to uwierzyć?

Wszystko gra?

Amazon zwiększa produktywność personelu swoich amerykańskich magazynów, angażując go w gry powiązane z obowiązkami zawodowymi. Przykładowo: im szybciej sortujesz produkty, tym szybciej cyfrowy samochód mknie po torze. Firma twierdzi, że takie wyzwania minimalizują znużenie powtarzalnymi czynnościami, oraz podkreśla, że uczestnictwo w nich jest w pełni dobrowolne. Jednocześnie kusi nagrodami, takimi jak wirtualne pingwiny. Nie wiemy, jak wy, ale nas właśnie ogarnął zapał do pracy!

Lektura czyni złodzieja

Włoska policja ujęła 48-latkę, który od lat okradał wypożyczalnie książek. W jego mieszkaniu znaleziono ponad 1,1 tys. dzieł naukowych, biografii i innych ambitnych tomów o łącznej wartości 80 tys. euro. Mieszkaniec Dolo



Rude harce. We własnym gronie w Anagach Woods w Szkocji i w towarzystwie sikorki w Bispgården w Szwecji.

tłumaczy, że nie spełnił marzenia o zostaniu naukowcem i w ogóle nie osiągnął niczego konkretnego, więc zaczął realizować się „budując, kawałek po kawałku, coś tak pięknego jak biblioteka”. Okolicznością łagodzącą może być to, że mężczyzna przeczytał wszystkie przywłaszczone pozycje. Ciekawe tylko, co z nich zapamiętał, bo jak mówi bibliotekarskie przysłowie, kradzione nie uczy!

Na wielokrotnym gazie

Rutynowa kontrola katalońskiej drogówki dowiodła, że prowadzenie samochodu po zażyciu wielu różnych narkotyków, choć zdecydowanie niezalecane, jest fizycznie możliwe. Mundurowi zatrzymali pojazd na autostradzie Ronda Litoral, by upewnić się, że jego kierowca nie znajduje się pod wpływem alkoholu ani innych substancji psychoaktywnych. Okazało się, że mają do czynienia z wyczynowcem: w organizmie mężczyzny wykryto wszystkie substancje, które potrafi rozpoznać narkotest. Cóż, jedni dają w palnik, drudzy od razu w całą kuchenkę.

Wędlina – nowotworów przyczyna

Hayek Hospital w Bejrucie zdecydował się serwować wyłącznie wegańskie posiłki. Oddajmy głos szefostwu ośrodka: „Od dziś, 1 marca 2021 r., nasi pacjenci budzący się po operacjach nie będą witani szynką, serem, mlekiem czy jajkami – produktami, które mogły się przyczynić do ich problemów zdrowotnych”. Libański

MEMY BEZ ŚCIEMY





szpital przypomina, że szkodliwe jest zwłaszcza spożywanie przetworzonego mięsa. Wykazuje ono bardzo silne działanie rakotwórcze, dlatego jego obecność na talerzach rekonwalescentów placówka porównała do serwowania im papierosów. Jako zapaleni antynikotyniści idziemy za tą analogią jak w dym!

Edukacja w stroju Adama (i Ewy)

W Holandii kontrowersje wzbudziła zapowiedź programu telewizyjnego, w którym nadzy dorośli odpowiadają dzieciom na pytania dotyczące seksu. Sprawę skomentowali m.in. politycy, choćby lider eurosceptycznej partii Forum na rzecz Demokracji, który uważa przedsięwzięcie za „promocję pedofilii”. Prowadzący audycję oraz rzecznik publicznej stacji NTR tłumaczą, że chcą pokazać młodym widzom różnorodność ludzkich

ciał, i zapewniają, że odpowiednio dbają o komfort nieletnich uczestników show. Jedno jest pewne: przepytywane w nim osoby nie mają nic do ukrycia.

Wykiwają wirusa?

Zenit Sankt Petersburg oferuje swoim kibicom możliwość darmowego zaszczepienia się przeciw COVID-19. Do końca bieżącego sezonu Priemier-Ligi fani wybierający się na trybuny Gazprom Areny mogą otrzymać zastrzyk zawierający preparat Sputnik V. Klub przypomina sympatykom, by udając się na mecz, brali dowód tożsamości i „papiery” dokumentujące historię medyczną. Drużynie z Petersburga życzymy samych pomyślnych wyników... testów.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Close



Kudzu

SATURACJA

Ogromną rolę w twórczości Kai Soleckiej odgrywają kolor oraz jego parametry, takie jak saturacja – subiektywna intensywność barwy – czy jasność, dzięki którym buduje ona nastrój prac. Artystka ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, studiując malarstwo w pracowni prof. Janusza Tara-buły. Jej obrazy kryją w sobie zarówno zmysłową cielesność, jak i opowieść o naturze w wymiarze intelektualnym. Malarka pracuje z elementami geometrii oraz symbolem, za pomocą których odnosi się i do przetworzonych psychicznie zdarzeń, i do rozmyślań nad nimi.

Zamek Żupny w Wieliczce
ul. Zamkowa 8
do 31 marca



Rose garden



Border zone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Daj z siebie 1%

Przeznacz 1% podatku i pomóż nam rejestrować nowych potencjalnych Dawców szpiku i skutecznie wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

JAK PRZEKAZAĆ 1% FUNDACJI DKMS?



formularz
ePIT



formularz
w bezpłatnym programie



tradycyjny
formularz papierowy

Wpisz w PIT KRS 0000 318 602
dkms.pl/1procent

1% - tyle wystarczy,
by potencjalnych Dawców szpiku było więcej,
a Pacjenci otrzymali odpowiednią pomoc!

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Twarzą w twarz

**Kleczewska, Chotkowski, Libera
Adamczyk, Bożek, Ciężkowska,
Duchnowski, Fertacz, Jarmicki, Kęska,
Kos, Kwiatkowski, Mrowiec-Matuszak,
Parol, Pieczyński, Pyć, Robaszkiewicz,
Stolarska, Stramowski, Świeżewski,
Witkowska, Wysokińska, Żemła**

**premiera warszawska: 19 marca 2021
premiera bydgoska: 27 marca 2021**

Nowy spektakl w reżyserii Mai Kleczewskiej na podstawie filmów Ingmara Bergmana, ze scenografią autorstwa artysty i performerera Zbigniewa Libery.

Bergman w swojej twórczości skupiał się na badaniu wnętrza psychiki człowieka w ekstremalnej sytuacji. Swoich bohaterów zamykał na „wyspie” – w relacjach rodzinnych, w państwach objętych stanem wyjątkowym. Jest Przewodnikiem po czasie „kwarantanny” – zamknięcia, izolacji, wglądu i konfrontacji. Przeprowadza nas przez proces przemiany. Intymny proces transformacji i przewartościowania. I śmierci.

koprodukcja Teatru Powszechnego w Warszawie i Teatru Polskiego w Bydgoszczy

Patroni
medialni

Wyboreza

wyboreza.pl
WARSZAWA

cojosi.grano24

P
Przełęcz

repertuar online: www.vod.powszechny.com
www.powszechny.com